U SCHYŁKU PIS
Im mniej władzy, tym więcej hałasu

DEMONY DZIWISZA
Winy kardynalne, ślepy system

WIRUS WRACA
Brytyjskie lato w cieniu Delty

JEDEN Z DZIESIĘCIU
Tadeusz Sznuk ciągle w grze

BUNT NA MORZU
Co się wydarzyło na HMS „Bounty”

Kraków 11 lipca 2021 nr 28 (3757) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Co ja mogę

RATOWANIE ŚWIATA DLA REALISTÓW

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425

Podkast Powszechny na Patronite

Wspieraj wartościowe dziennikarstwo i ciesz się przywilejami!

MICHAŁ KUŹMIŃSKI, POMYSŁODAWCA PODKASTU POWSZECHNEGO:

Podkast Powszechny ruszył w lutym 2019 r. i po emisji ponad 150 audycji ma już dziesiątki tysięcy Słuchaczek i Słuchaczy. Stworzyliśmy tematyczne cykle, nagraliśmy też wiele rozmów z naszymi gośćmi, którymi byli m.in. Katarzyna Nosowska, Wojciech Mann, Anna Dymna, Marek Kondrat, Dorota Masłowska, Jerzy Stuhr czy Adam Wajrak. Otwieramy zbiórkę w serwisie Patronite, by przyspieszyć rozwój Podkastu Powszechnego, przy okazji zachowując jego darmowy charakter. Słuchajcie nas w ulubionych platformach streamingowych!

MARTA FILIPIUK-MICHNIEWICZ, PROWADZĄCA PODKAST POWSZECHNY:

Przeprowadzka z Wiślnej na Dworską udała się wspaniale – dzięki Wam! Przekazaliście ponad 630 tysięcy złotych na nową siedzibę „Tygodnika Powszechnego". Dziękujemy. Z tych pieniędzy powstało także nowe, profesjonalne studio Podkastu Powszechnego. Nie spoczywamy na laurach, planujemy kolejne projekty i otwieramy konto w serwisie Patronite, by je realizować.

Dlaczego Patronite?

Patronite to internetowa platforma, przez którą odbiorcy wspierają swoich ulubionych autorów i ulubione tytuły. To tutaj współpracujący z „Tygodnikiem" Dariusz Rosiak otrzymuje wsparcie w powstawaniu „Raportu o stanie świata". Rejestrując się na Patronite, możecie wspierać podkast „Tygodnika Powszechnego" regularnymi wpłatami, wybierając jeden z siedmiu progów – kwot przekazywanych twórcom raz w miesiącu. Jeśli uzyskane wsparcie będzie odpowiednio duże, będziemy w stanie zrealizować założone cele, takie jak większa liczba odcinków Podkastu Powszechnego czy reportaże z terenu lub zakup sprzętu i oprogramowania.

Progi

5 zł Każda złotówka się liczy, nawet jeśli to truizm. Przekazując tyle co miesiąc, stajesz się Patronem lub Patronką Podkastu Powszechnego. „Tygodnik Powszechny" jest suwerenny dzięki Czytelnikom, Podkast będzie niezależny dzięki Wam!

25 zł Twoje nazwisko pojawi się na liście Patronek i Patronów na oficjalnej stronie Podkastu Powszechnego.

40 zł Poza wszystkim, co powyżej, będziesz mieć **dostęp do wybranych odcinków Podkastu Powszechnego 24 godziny przed premierą** przez aplikację Patronite Audio.

70 zł Poza wszystkim, co powyżej, otrzymasz prezent, który otrzymują wyłącznie prenumeratorzy „Tygodnika Powszechnego". W ostatnich latach były to wyjątkowe „książki do pisania" ks. Adama Bonieckiego i Jerzego Turowicza.

120 zł Poza powyższymi **Twoje nazwisko (lub nazwa firmy) zostanie wydrukowane w „Tygodniku Powszechnym"** na Liście Patronów Podkastu Powszechnego, publikowanej przynajmniej raz na miesiąc.

* Nagroda dostępna przy minimum trzymiesięcznym wsparciu.

500 zł Poza powyższymi wymienimy Twoje nazwisko (lub nazwę Twojej firmy) w przynajmniej dwóch odcinkach Podkastu Powszechnego miesięcznie.

* Nagroda dostępna przy minimum trzymiesięcznym wsparciu.

2000 zł Poza wszystkimi powyższymi dostaniesz tytuł Mecenasa Podkastu Powszechnego, a logo Twojej firmy pojawi się na jego oficjalnej stronie. Przed wybraniem tego progu skontaktuj się z nami w celu ustalenia indywidualnych warunków.

* Nagroda dostępna przy minimum trzymiesięcznym wsparciu.

Wpłacaj na
patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

PATRONITE

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA X3

KS. ADAM

Boniecki: *Miecz Damoklesa*

W raporcie zatytułowanym „Problemy ludzkiego środowiska” (1969 r.) sekretarz generalny ONZ U Thant ostrzegał przed skutkami dewastacji środowiska naturalnego i wzywał wszystkie kraje do solidarnego wysiłku dla ochrony ekosystemu. Był to pierwszy tego rodzaju głos na forum międzynarodowym. Ostrzegał: „Nie chciałbym, aby moje słowa zabrzmiały zbyt dramatycznie, ale na podstawie danych, do których mam dostęp jako sekretarz generalny, mogę wysunąć jeden tylko wniosek, a mianowicie, że członkom Narodów Zjednoczonych pozostało może 10 lat na uregulowanie zastarzałych waśni i podjęcie wspólnej ogólnoświatowej inicjatywy w celu zahamowania wyścigu zbrojeń, poprawy warunków środowiskowych człowieka, zlikwidowania groźby eksplozji demograficznej oraz nadania należytego rozmachu wysiłkom w dziedzinie rozwoju. Jeżeli w tym czasie nie zorganizuje się współdziałania na skalę światową, to obawiam się, że wspomniane przeze mnie problemy osiągną tak zatrważające rozmiary, że ich opanowanie nie będzie już w naszej mocy”.

Wiosną sekretarz generalny ONZ António Guterres uznał rok 2021 za przełomowy w zmaganiach z globalnym kryzysem klimatycznym. Powiedział o rosnącej koalicji rządów, przedsiębiorstw, inwestorów, miast, regionów i społeczności obywatelskich, które się zobowiązały do zerowej emisji dwutlenku węgla netto do roku 2050. Jego zdaniem teraz konieczna jest dekada transformacji. Mimo starań niektórych państw, według oceny ramowej konwencji Narodów Zjednoczonych ds. klimatycznych, wysiłki dotychczas podejmowane dalekie są od potrzeb skutecznej walki z globalnym ociepleniem.

Oczywiście od czasów U Thanta świadomość zagrożenia katastrofą klimatyczną niepomiernie wzrosła, także dzięki badaniom naukowym. Chociaż na tej świadomości wyrósł pasożyt – *greenwashing*, czyli „ekościema” (pisze o tym w numerze Krzysztof Story), to świadomość zagrożenia katastrofą przekłada się na konkretne, międzynarodowe decyzje oraz – mimo oporów i trudności – działania.

Jednak szósty Raport IPCC (Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu), którego publikacja rozpocznie się w tym roku, a zakończy w przyszłym, nie jest pocieszający. Piąty Raport (2013-2014) stwierdzał, że z dziewięciu parametrów gwarantujących stabilność naszej planety cztery już zostały przekroczone. Z tego, co wiadomo o szóstym Raporcie, wynika, że sytuacja nie uległa poprawie i katastrofa wciąż wisi na włosku, jak miecz nad głową Damoklesa.

Pisząc o piątym Raporcie IPCC odwoływałem się do encykliki papieża Franciszka „Laudato si” (2015 r.). Dziś warto do lektury tego dokumentu wrócić. Po sześciu latach jest tak samo aktualny. Franciszek, cytując Romano Guardiniego, pisał: „Aby sprostać sytuacji tak złożonej, przed jaką staje współczesny świat, nie wystarczy, aby każdy był lepszy. Wyizolowane jednostki mogą utracić zdolność i wolność przezwyciężania logiki rozumu instrumentalnego i ostatecznie paść łupem konsumizmu bez etyki oraz bez zmysłu społecznego i ekologicznego. Na problemy społeczne odpowiada się więziami wspólnotowymi, a nie samą sumą dóbr indywidualnych: »Wymagania tego dzieła będą tak olbrzymie, że nie będą im mogły sprostać inicjatywy indywidualne ani współpraca ludzi wychowanych indywidualistycznie. Będzie to wymagało połączenia sił wszystkich i jedności w działaniu«. Nawrócenie ekologiczne, niezbędne do stworzenia dynamiki trwałej zmiany, jest także nawróceniem wspólnotowym”. A pół wieku wcześniej U Thant pisał o konieczności podjęcia „wspólnej ogólnoświatowej inicjatywy” dla ratowania naturalnego środowiska.

To oczywiste, że kiedy zagrożenie jest globalne, skuteczna może być tylko solidarna odpowiedź całego globu. Nie chciałbym, aby moje słowa zabrzmiały zbyt dramatycznie, ale jakoś jej nie słychać. ©℗

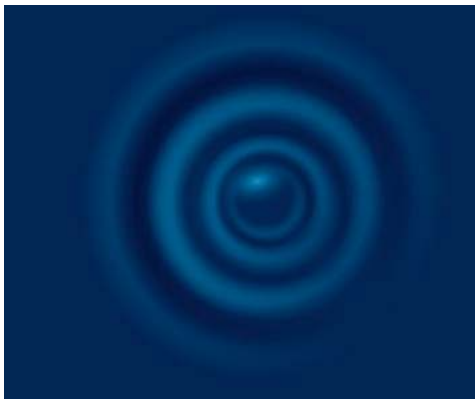

Głusi w Polsce
Niewysłuchana mniejszość

Bohaterami tekstów Anny Goc są osoby głuche, które posługują się polskim językiem migowym (PJM), a język polski jest dla nich językiem obcym. Jak się im żyje w naszym kraju? Czy ich prawa są respektowane? Na czym polega audyzm, czyli dyskryminacja osób głuchych? Kim są Głusi przez duże „G” i co się kryje za hasłem „duma z bycia Głuchym”?

Czytaj w specjalnym serwisie powszech.net/niewysluchani

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 To nie jest czas dla umiarkowanych
KLAUS BACHMANN
Obóz prawicy zachowuje się tak, jakby wybory miały odbyć się zaraz. Najlepiej widać to w polityce zagranicznej.

32 Demony kardynała Dziwisza
ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM:
Nie wystarczy już zmiana złych biskupów na dobrych. Potrzebujemy głębokiej reformy episkopalności.

42 Lato w cieniu Delty
PATRYCJA BUKALSKA
Europa z niepokojem patrzy na Wielką Brytanię, która ma najwyższy na kontynencie odsetek zaszczepionych – i kolejną falę zachorowań na covid.

60 Istotnie, mamy problem
MIROSŁAW SZREDER
Jak odróżnić ciąg zbiegów okoliczności od prawidłowości statystycznej? Nauka radzi sobie z tym coraz lepiej.

64 Między Wenecją a Itaką
DARIUSZ KOSIŃSKI
Pierwsze wielkie sukcesy Krzysztof Warlikowski odnosił przedstawieniami zrodzonymi z buntu i rozpaczy.

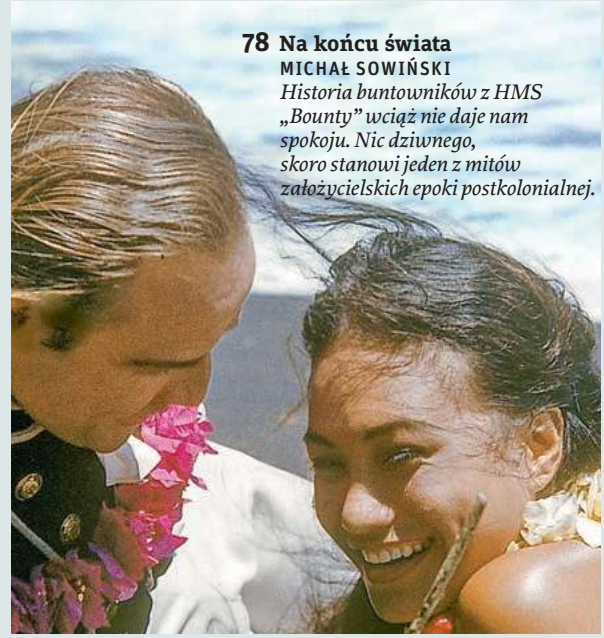

78 Na końcu świata
MICHAŁ SOWIŃSKI
Historia buntowników z HMS „Bounty" wciąż nie daje nam spokoju. Nic dziwnego, skoro stanowi jeden z mitów założycielskich epoki postkolonialnej.

ADAM WARZAWA / PAP // ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS // JACEK NOWAK / ALAMY / BE&W // METRO GOLDWYN MAYER / ARCOLA PICTURES // KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM // AMER GHAZZAL / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

6 Dokąd poniósł biały koń
PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 To nie jest czas dla umiarkowanych
KLAUS BACHMANN

26 Zapomniana izolacja
KRZYSZTOF STORY
Pomimo skutecznej akcji szczepień wiele domów pomocy społecznej nadal nie pozwala na odwiedziny u swoich podopiecznych

29 Narodowy test powszechny
ROZMOWA Z TADEUSZEM SZNUKIEM *o fenomenie teleturniejów*

■ ■ WIARA

32 Demony kardynała Dziwisza
ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM

36 Byliśmy uchodźcami
JACEK TARAN

39 Młoda i rozważna
ŁUKASZ GRAJEWSKI
25-letnia studentka na czele synodu niemieckich ewangelików

■ ■ ŚWIAT

42 Lato w cieniu Delty
PATRYCJA BUKALSKA
Z LONDYNU

46 Dwa obce słowa
PAWEŁ BRAVO
Włosi z ulgą zdejmują maseczki, ale letnie odprężenie miesza się z lękiem przed Deltą

TEMAT TYGODNIKA

JOANNA RUSINEK

12 Co ja mogę
KRZYSZTOF STORY
Skupianie się na słomkach i foliówkach może być największym błędem w walce z katastrofą klimatyczną.

16 Pierwszy koniec świata
ROZMOWA Z PSYCHOLOŻKĄ MAGDALENĄ BUDZISZEWSKĄ
O depresji klimatycznej i sposobach na jej ujarzmienie.

■ FELIETONY ■

41 WOJCIECH BONOWICZ **58** HANNA KRALL
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 JACEK PODSIADŁO
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: JOANNA RUSINEK
Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

48 Coś się kończy, coś się zaczyna
MARTA SZPALA *o politycznym trzęsieniu ziemi w Kosowie. Nowy rząd ma być ostatnią szansą na zbudowanie sprawnego państwa*

■ ■ HISTORIA

51 Wszyscy wiedzą, mało kto pamięta
ANNA WYLEGAŁA
Podczas rzezi dokonanej przez UPA Polacy ginęli także na Podolu. Oto wędrówka śladami kilku miejsc. Oraz ludzi: Polaków i Ukraińców

■ ■ NAUKA

60 Istotnie, mamy problem
MIROSŁAW SZREDER

■ ■ KULTURA

64 Między Wenecją a Itaką
DARIUSZ KOSIŃSKI

69 Żywot polityczny
GRZEGORZ JANKOWICZ
o biografiach Zygmunta Baumana

72 Osiem kątów ciszy
KAJETAN PROCHYRA
oprowadza po Rothko Chapel

74 Biedni Żydzi, dobrzy Polacy
ANITA PIOTROWSKA *o filmach „Cudak" i „Ciotka Hitlera"*

76 Grecja, Polska
LEKTOR *o książce Dionisiosa Sturisa „Zachód słońca na Santorini. Ciemniejsza strona Grecji"*

■ ■ WAKACJE

78 Na końcu świata
MICHAŁ SOWIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Kościół w pandemii [Podkast Powszechny]
Kto w Kościele zyska, a kto straci na pandemii? I czy nowe doświadczenie zmieni Kościół na lepsze?
Z **PIOTREM SIKORĄ**, autorem raportu pt. „Nowy zasięg Kościoła", rozmawia **MICHAŁ KUŹMIŃSKI** **powszech.net/podkast**

Rosyjska ruletka
Obywatele dzwonią, piszą, przysyłają filmiki – zadają pytania, a prezydent Putin odpowiada. Seans łączności transmitowany przez telewizję dociera do wszystkich zakątków Federacji Rosyjskiej
– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

DOKĄD PONIÓSŁ BIAŁY KOŃ

Po uroczystym powrocie Donalda Tuska nie wiadomo, co merytorycznie z tego wyniknie. Na razie jesteśmy traktowani jak dzieci.

PAWEŁ BRAVO

Donald Tusk, Warszawa, 3 lipca 2021 r.

Były premier aspiruje, by zakończyć kiedyś swoją karierę jako emerytowany ratownik polskiej demokracji – to złośliwa aluzja do słów Jarosława Kaczyńskiego o emerytowanym zbawcy narodu. Wiele obecnych jej słabości – tych specyficznie polskich, niezwiązanych z szerszym kryzysem liberalnego państwa dobrobytu – wynika wprost ze sposobu, jakim nią zarządzał do roku 2014, ale dziś ten powrót faktycznie może kondycję polskiej demokracji poprawić. Nie dlatego, że w konstytucji zapisano, iż Polską musi współrządzić na wieki akurat Platforma Obywatelska, ale dlatego, że brak sprawnej przeciwwagi dla obecnie rządzącej partii, która wykazuje ciągoty do naginania reguł gry, jest zły dla demokracji. Ten ustrój ma sens, dopóki każdy – lewy, prawy, liberalny czy etatystyczny, proeuropejski czy suwerennościowy – ma z kim przegrać. Jego zaletą jest przede wszystkim uśrednianie stanowisk, godzenie interesów i szukanie

kompromisu. Z lat pracy w europejskich strukturach Tusk na pewno wyniósł naukę, że nic do tego nie skłania równie skutecznie, jak konkurencja na karku.

Nie ma wątpliwości, że ponowne objęcie kierownictwa przez Donalda Tuska przysłuży się PO. A jak wielkie są na to nadzieje, widać choćby po formalnych sztuczkach, do których partia się uciekła, by prędko i bez zbędnej dyskusji czy wyborów złożyć przewodnictwo u stóp starego szefa. Wiara we własne siły, poczucie sprawczości, a nawet pewna zuchwałość w szacowaniu szans to konieczne warunki powodzenia w polityce. Jaką więc Platformę po reanimacji Tusk chce wyszykować do najbliższych wyborów (których nie pragnie wcale przyspieszać, przytomnie oceniając obecne szanse na pokonanie PiS)?

Niestety, w swoim pierwszym programowym wystąpieniu Tusk odnosił się do rzeczywistości kraju, który chce ratować, z populistyczną nonszalancją. Jak bardzo trzeba infantylizować potencjalnych wyborców, by wmawiać im, że ostatnie sześć lat ich życia to był „czarny sen"? Dowiedzieliśmy się, że słowo „ale" należy wyrzucić ze słownika rozmowy o rządach i ich ocenie. Czym taka retoryka różni się od czarno-białych wizji, którymi karmi swoje partyjne wojsko i elektorat Kaczyński? Czy to nie właśnie on przyzwyczaił nas do nazywania konkurencji politycznej „złem"? Jak brzmiałyby w naszych uszach słowa o mitycznych zwykłych ludziach, którzy nawołują, by z przeciwnikami politycznymi „zrobić porządek", gdyby wypowiedzieli je Kaczyński albo Ziobro?

Być może Tusk jako unijny urzędnik widział dynamikę rozpadu tradycyjnej demokracji w wielu krajach i jest przekonany, że tak trzeba – że jeden populizm można zwalczyć tylko innym, a nam pozostaje rozsądnie między nimi wybierać, bacząc, który populista lepiej rozumie globalne zagrożenia, i za którą prostacką retoryką kryje się mniej paternalistyczna wizja społeczeństwa. Który z samozwańczych pogromców zła woli raczej gasić, niż wzniecać zbędne wojny kulturowe. Traktowani przez polityków jak dzieci, w wielu innych dziedzinach aktywności lokalnej, pracowniczej, biznesowej Polacy potrafią działać dorośle i wykazują się zbawiennym unikaniem skrajności. Naszą demokrację możemy i zdołamy zatem ratować sami. Z bycia rozsądnym obywatelem nigdy nie odchodzi się na emeryturę. ©℗

GRZEGORZ KRZYŻEWSKI / FOTONEWS / FORUM

Wariant Delta zbliża się do Polski

MAŁGORZATA SOLECKA

Prognozy są jednoznaczne: we wrześniu, a może jeszcze w sierpniu, wariant Delta wirusa SARS-CoV-2 zdominuje zakażenia w naszym kraju, mimo że na początku lipca zidentyfikowano zaledwie ponad sto przypadków. Moc Delty poznali Brytyjczycy i Włosi; tam już co piąty przypadek jest zidentyfikowany jako ów – pierwszy raz dostrzeżony w Indiach – wariant. Delta wyróżnia się dużo większą zakaźnością. Jedna osoba może przekazać wirusa nawet ośmiu innym.

Co to oznacza? Patrząc na dane z Wielkiej Brytanii – gdzie w ciągu kilku tygodni liczba nowych zakażeń zwiększyła się pięciokrotnie, do ponad 20 tys. dziennie, lecz liczba hospitalizacji i zgonów ciągle jest na bardzo niskim poziomie – można by powiedzieć, że nie ma się czego bardzo obawiać. Zwłaszcza że brytyjskie władze testują obywateli na nieosiągalnym i niewyobrażalnym, nie tylko dla nas, poziomie, wykonując dziennie niemal 16 testów na tysiąc mieszkańców. Dla Polski ten wskaźnik wynosi 1, dla Niemiec 1,2 – ale już Czesi zdają się wyciągać wnioski z poprzednich fal pandemii i testują na potęgę (ponad 10).

Jednak zasadnicza różnica między Polską a Wielką Brytanią dotyczy poziomu zaszczepienia. Brytyjczycy obawiają się Delty, ale grupy wysokiego ryzyka ciężkiego przebiegu COVID-19 mają zaszczepione niemal w całości (93 proc. osób powyżej 80 lat, 97 proc. osób powyżej 70 lat i 90 proc. sześćdziesięciolatków). W Polsce na pierwszą dawkę czeka blisko 40 proc. 80-latków i 60-latków, a także co piąta osoba z przedziału 70–79 lat. Biorąc pod uwagę, że od pierwszej dawki do pełnego zabezpieczenia (dwa tygodnie po drugiej dawce) musi minąć co najmniej pięć tygodni (jeśli odstęp między dawkami Pfizer/BioNtech wyniesie minimalne 21 dni), aby w połowie sierpnia czuć się względnie bezpiecznie, musielibyśmy zaszczepić wszystkich seniorów do 10 lipca.

Być może właśnie dlatego rząd po pół roku kampanii szczepień chce prosić hierarchów Kościoła katolickiego o wsparcie. Na razie na apel odpowiedziała Polska Rada Ekumeniczna – jej prezes i zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP bp Jerzy Samiec nawołuje, by szczepić się dla dobra wspólnego i przekonywać do tego tych, którzy podważają konieczność szczepień. ©

I ty nie zostaniesz milionerem

ZE SZWAJCARII – państwa luksusowych zegarków, prywatnej bankowości i podatków, których wysokość najbogatsi mogą negocjować z lokalnymi władzami – napłynęły doprawdy krzepiące dane. W 2020 r., jak wynika z najnowszego raportu banku Credit Suisse, mieszkało w Polsce już 149 tys. osób z majątkiem wartym co najmniej milion dolarów. Do 2025 r. ich liczba ulegnie niemal podwojeniu do 295 tys. W równie zawrotnym tempie nie będzie przybywać milionerów w żadnym z krajów, włącznie z Chinami (skok o 92 proc.) oraz Indiami (81,8 proc.), które od lat przewodziły temu sześciocyfrowemu peletonowi.

Nim jednak otworzymy szampana i zaczniemy planować przyszłość jako rentierzy, wczytajmy się dokładniej w treść raportu, którego autorzy podkreślają, że Polacy będą bogacić się głównie za sprawą drożejących nieruchomości. Polska znajduje się wśród krajów, w których ich ceny poszybowały w minionym roku najbardziej w górę – aż o 11 proc. Ten trend prawdopodobnie utrzyma się co najmniej przez kolejne cztery lata, windując w górę majątki tych, którzy już są właścicielami domów lub mieszkań. I jednocześnie pozbawi szans na własną hipotekę wiele osób, które się jej dotychczas nie dorobiły, pogłębiając jeszcze bardziej nierówności majątkowe.

Na pocieszenie pozostaje nam fakt, że więcej z nas zyska na tym, niż straci. Z danych Eurostatu za rok 2019 wynika, że w Polsce ok. 84 proc. populacji mieszka w domu lub mieszkaniu będącym ich własnością. To jeden z najwyższych takich wskaźników w Unii Europejskiej, choć warto zaznaczyć, że Eurostat do właścicieli nieruchomości zaliczył także dzieci oraz większość z ponad dwóch milionów pełnoletnich Polaków, którzy nadal mieszkają z rodzicami.

©℗ MAREK RABIJ

DR HAB. MAGDALENA ARCZEWSKA,
PRAWNICZKA I SOCJOLOŻKA:

Prawa dziecka i ustawa widmo

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak wypowiedział się w „Dzienniku Gazecie Prawnej" przeciw projektowi Serious Case Review, czyli systemowego badania najcięższych przypadków przemocy wobec dzieci.

B.HEIC / ARCHIWUM PRYWATNE

MAGDALENA ARCZEWSKA: To projekt, nad którym pracują eksperci Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę i Kancelarii Prezydenta. Zakłada, że niezależnie od postępowania karnego eksperci będą badać każdy przypadek śmierci dziecka spowodowany przemocą. Chodzi o to, by zdiagnozować słabe ogniwa systemu. A jeśli chodzi o rzecznika, jego stanowisko jest dla mnie zadziwiające i niezrozumiałe.

Argumentuje, że bardziej niż analizowania spraw potrzebujemy surowszych kar.
Nie widzę sprzeczności. Analiza jest potrzebna, by szacować ryzyko przemocy i jej zapobiegać. Dostrzegam też poważniejsze problemy niż penalizacja. Największym jest rozdźwięk między działaniem dwóch systemów – pomocy społecznej i wymiaru sprawiedliwości. Bardzo często sąd bada przemoc bez dostatecznej współpracy i informacji ze strony instytucji pomocy społecznej. Bywa, że pracownicy socjalni czy kuratorzy rodzinni wskazują na konieczność odebrania władzy rodzicielskiej, a sąd utrzymuje dzieci w rodzinie. Zdarza się też, że podejmowane są nieskuteczne próby powrotu, mimo że rodzice nie są w stanie podołać obowiązkom.

Serious Case Review powstaje i nie może powstać od niemal dwóch lat. Dlaczego?
Skoro po takim czasie nie mamy gotowych uregulowań, to oznacza, że nie ma woli, by one się pojawiły. Zwłaszcza w kraju, w którym ustawy powstają często z dnia na dzień, a uchwalane są w nocy... W ogóle dzieci i ich prawa nie cieszą się w Polsce – wbrew hasłom wypisanym na politycznych sztandarach – zainteresowaniem. Problem z powołaniem antyprzemocowej procedury jest kolejnym na to dowodem. ©℗

DR HAB. MAGDALENA ARCZEWSKA *pracuje w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Jest ekspertką z zakresu polityki społecznej.*

KRAJ W SKRÓCIE

LOT PREZYDENTA
Coraz więcej mamy powrotów. „Dziennik Gazeta Prawna" podsumował np. loty najważniejszych osób w państwie, odbywanych w misjach oficjalnych, o tzw. statusie HEAD. Okazuje się, że niemal jedna czwarta z nich to organizowane z okazji weekendu wyprawy na trasie Warszawa–Kraków z prezydentem Dudą na pokładzie.

WYBÓR PARTII
W kategoriach powrotu możemy też mówić o wyborze Jarosława Kaczyńskiego na funkcję prezesa PiS (w głosowaniu delegatów na kongres partii uzyskał 1245 głosów za, 18 delegatów było przeciw, 5 osób się wstrzymało) – choć lider ugrupowania zadeklarował, że to jego ostatnia kadencja, a w gronie wiceprzewodniczących znalazł się Mateusz Morawiecki.

ZMARTWIENIE URZĘDNIKÓW
Wracają też maile z prywatnej skrzynki ministra Michała Dworczyka – w ostatniej fali wyciekającej do mediów korespondencji urzędnicy martwią się sposobem, w jakim podczas kampanii prezydenckiej grano tematem LGBT.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

KOMPROMIS POSŁÓW
Do Sejmu wróciła kandydatura prof. Marcina Wiącka na rzecznika praw obywatelskich: wiele wskazuje na to, że za szóstym podejściem uda się wybrać nowego RPO, bo wsparcia prawnikowi wskazanemu przez PSL i popartemu przez opozycję zdecydowało się udzielić PiS.

Koniec chowu klatkowego coraz bliżej

KOMISJA EUROPEJSKA zobowiązała się, by do 2023 r. przedstawić rozwiązania prawne wycofujące, a następnie zakazujące stosowania klatek w przemysłowej hodowli zwierząt. To odpowiedź na inicjatywę obywatelską „End the Cage Age" („Koniec Epoki Klatkowej"). Chodzi o ponad 300 mln zwierząt hodowlanych w Unii, w tym cielaki, króliki, kaczki, gęsi, a przede wszystkim – kury. W naszym kraju w klatkach zamkniętych jest ponad 40 mln niosek.

Polscy hodowcy podkreślają, że wielu z nich nie zdążyło jeszcze pospłacać kredytów za wcześniejsze dostosowanie swoich hodowli do unijnych standardów tuż po wstąpieniu do Wspólnoty. Boją się też zalewu tańszej, niespełniającej norm, żywności spoza Europy. KE deklaruje, że w nowej Wspólnej Polityce Rolnej znajdą się rozwiązania wspierające hodowców, także finansowe. Mówi się też o narzuceniu podobnych norm na towary spoza Europy.

Małgorzata Szadkowska, prezeska polskiego oddziału Compassion in World Farming, organizacji odpowiedzialnej za inicjatywę, uważa, że czas skończyć z przerzucaniem kosztów taniej żywności na środowisko i zwierzęta. – Myślenie, że możemy mieć tanie jedzenie w nieskończoność, to pułapka – mówi „Tygodnikowi".

© BARTOSZ RUMIEŃCZYK

Atlas na indeksie

ZA NARUSZENIE dobrego imienia samorządów oraz piętnowanie „prorodzinnych" uchwał staną przed sądem twórcy tzw. Atlasu Nienawiści. Pierwsza rozprawa odbędzie się 20 lipca w Ostrołęce, kolejna – 29 lipca w Nowym Sączu. Aktywistów czekają także procesy w Piotrkowie Trybunalskim, Radomiu, Tarnowie i Jeleniej Górze. W każdym samorządowców reprezentować będzie prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski.

Zespół Atlasu nagłaśnia działania lokalnych władz przyjmujących uchwały przeciw „ideologii LGBT", oznaczając je na mapie Polski kolorem czerwonym. Rezolucji przybywało przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, a potem przed parlamentarnymi. W 2020 r. praktycznie przestały być przyjmowane, a te już przegłosowane zaczęto uchylać, także dzięki wnioskom RPO Adama Bodnara. ©℗ MOC

MENAHEM KAHANA / AFP / EAST NEWS

EVIATAR to nazwa nowej żydowskiej osady na okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegu Jordanu. Położona niedaleko palestyńskiego miasta Nablus, stała się zarzewiem wielodniowych protestów Palestyńczyków, podczas których zginęły cztery osoby, a także pierwszym poważnym testem dla nowego izraelskiego rządu premiera Naftalego Bennetta. W wyniku negocjacji uzgodniono ostatecznie, że osadnicy opuszczą Eviatar, zostaną tu jednak ich mobilne domy, a całość zostanie przekształcona w bazę izraelskiej armii, która w przyszłości ma zdecydować o ewentualnym powrocie mieszkańców. Na Zachodnim Brzegu Jordanu żyje ponad pół miliona żydowskich osadników. Na zdjęciu: dotychczasowi mieszkańcy Eviatar oślepiani laserami przez Palestyńczyków z sąsiedniej wsi, 28 czerwca 2021 r. ©℗ ŻYM

Euro 2020 utrudnia walkę z pandemią

BARTOSZ KABAŁA

W pochłoniętej piłkarskimi mistrzostwami Europie wzbiera czwarta fala pandemii. W niedawnym komunikacie Światowa Organizacja Zdrowia zaapelowała do organizatorów turnieju o uważniejsze kontrolowanie zachowań kibiców, nie tylko na stadionach, ale też przed i po meczach. W wielu państwach, gdzie odbywają się rozgrywki, od kilku tygodni obserwuje się znaczny wzrost zakażeń, za co odpowiada głównie wariant Delta koronawirusa. W Sankt Petersburgu w dniu ćwierćfinałowego meczu Szwajcarów z Hiszpanami odnotowano 1733 nowe przypadki, a w całej Rosji blisko 23 tys.

Problemem są też wracający kibice. Fiński Instytut Zdrowia podaje, że 40 proc. nowych zakażeń jest związanych z powrotami fanów z Rosji. Z kolei szkockie służby informują o 1300 zainfekowanych osobach, które pojechały do Londynu na mecz fazy grupowej z Anglią. Z nich blisko czterysta oglądało spotkanie z trybun stadionu Wembley.

W ogóle sytuacja na Wyspach jest coraz gorsza, a to właśnie w Londynie zaplanowano półfinały i finał Euro [o sytuacji w Wielkiej Brytanii piszemy w dziale Świat – red.]. UEFA zezwoliła na 75-procentowe zapełnienie trybun w Anglii i władze lokalne mają zamiar z tego skorzystać. Brytyjski rząd zapowiada, że na stadionie finał obejrzy 60 tys. kibiców. Tyle samo kibiców, ale przy pełnym wypełnieniu obiektu, uczestniczyło wcześniej w czterech meczach na Puskás Aréna w Budapeszcie. To podejście spotyka się jednak ze znaczną krytyką. Niemiecki minister spraw wewnętrznych, Horst Seehofer, już po przegranym przez Niemcy meczu z Anglią określił decyzje UEFA jako „całkowicie nieodpowiedzialne".

Tymczasem w Brazylii, drugiej na liście krajów z największą liczbą zgonów na świecie, bez udziału publiczności odbywa się turniej Copa América, który przeniesiono tam z Argentyny i Kolumbii z powodu, odpowiednio, pandemii i kryzysu politycznego. Zarażają się jednak uczestnicy rozgrywek. Do tej pory wśród delegacji i pracowników obsługi wykryto 166 zakażeń, w tym 17 wśród piłkarzy. ©

Ofensywa talibów w Afganistanie

PO NIEMAL 20 LATACH amerykańscy żołnierze opuścili bazę Bagram. Choć mieli ją przekazać armii afgańskiej, wyglądało to na porzucenie. Opuścili ją w pośpiechu, nie informując sojuszników. Przez jakiś czas stała pusta, będąc celem szabrowników. Bagram było centralą operacji USA w Afganistanie, jej opuszczenie zwiastuje rychły koniec obecności lądowych sił amerykańskich w tym kraju. Kiedy dokładnie to się stanie? Wciąż pojawiają się nowe daty, ale nie później niż 11 września, w 20. rocznicę ataku na World Trade Center. Czy Amerykanie będą wspierać rząd w Kabulu w razie zagrożenia? To też nie jest jasne.

W czasie, gdy Amerykanie i ich zagraniczni sojusznicy ograniczają swoją obecność, w szybkim tempie powiększają ją talibowie. Prowadzą szeroko zakrojoną ofensywę i zbliżają się do kluczowych miast, będących bastionami afgańskich władz. Amerykański portal Long War Journal wylicza, że od 1 maja do 29 czerwca talibowie zajęli ponad 80 dystryktów (to odpowiednik powiatu; jest ich prawie 400). Afgańskie wojsko często miało poddawać się bez walki. Dziś talibowie kontrolują 46 proc. dystryktów, a afgański rząd 19 proc.; status pozostałych 34 proc. jest sporny.

W ostatnich dniach sytuacja nie uległa poprawie. Od początku lipca talibowi zajęli co najmniej 22 kolejne dystrykty. Rząd w Kabulu tłumaczy porażki, a przynajmniej ich część, celowym wycofywaniem się, by uniknąć ofiar cywilnych, a także przygotowaniami do obrony strategicznych celów.

Dziennik „The New York Times" szacuje, że w czerwcu zginęło przynajmniej 703 afgańskich żołnierzy i policjantów, a także 208 cywilów. To największe straty po stronie rządowej od 2018 r., tj. odkąd gazeta prowadzi tę statystykę. Afgańska telewizja Tolo News podaje niższe liczby (łącznie 638 zabitych żołnierzy, policjantów i cywilów, a także 1038 rannych), ale stwierdza też, że był to najkrwawszy miesiąc w ciągu ostatnich 20 lat. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

DAVE CHIDLEY / ANADOLU AGENCY / EAST NEWS

Kanada: narasta gniew na Kościół

„BYLIŚMY DZIEĆMI". „Nasze życie ma znaczenie" – takie napisy znalazły się na jednym z jedenastu kościołów w Calgary (na zdjęciu świątynia prezbiteriańska) pomalowanych podczas demonstracji rdzennej ludności z okazji święta narodowego Kanady (1 lipca). Czerwone odciski rąk i stóp znalazły się także na pomniku Jana Pawła II przy kościele Różańca Świętego w Edmonton. W kraju tym eskalują reakcje antykościelne. Dotychczas podpalono sześć świątyń. Akty te związane są z odkryciem pod koniec maja szczątków 215 dzieci, uczniów Kamloops Indian Residential School w Kolumbii Brytyjskiej. Później znajdowano kolejne takie cmentarze – szczątki 182 dzieci przy budynku byłej szkoły w pobliżu Cranbrook (również Kolumbia Brytyjska) oraz 751 dzieci przy szkole Marieval (Saskatchewan).

Szkoły te należały do systemu przymusowego przystosowania do kultury zachodniej. Od 1883 r. powstało 139 takich placówek finansowanych przez państwo, a prowadzonych przez instytucje religijne (w 60 proc. katolickie). Istniały do lat 90. XX w. Opublikowany w 2015 r. raport Komisji Prawdy i Pojednania szacuje, że przeszło przez nie 150 tys. dzieci. Raport określił szkoły jako „kulturowe ludobójstwo" i opisał niszczenie języka, kultury, prześladowania i przemoc.

Kanadyjski episkopat zapowiedział zorganizowanie w grudniu wizyty delegacji rdzennej ludności Kanady w Watykanie. Papież spotka się odrębnie z przedstawicielami Indian, Metysów i Inuitów oraz na koniec z całą delegacją. Podobny problem stoi przed Kościołem katolickim w USA, gdzie funkcjonowało prawie trzy razy więcej takich szkół, bo aż 357, z których 84 prowadziły katolickie zakony. Działały od 1819 r. – i były wzorcem dla Kanady. ©℗ ARTUR SPORNIAK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

LIST OD PAPIEŻA
Boży „styl" zawiera trzy elementy: bliskość, współczucie i czułość – „myśląc o twojej pracy duszpasterskiej, widzę, że nieustannie starasz się naśladować ten styl Boga" – napisał Franciszek w liście do amerykańskiego jezuity ks. Jamesa Martina, który wspiera duszpastersko społeczności LGBT, za co jest ostro krytykowany przez środowiska konserwatywne.

PAPIEŻ OPEROWANY
U Franciszka zdiagnozowano objawowe zwężenie uchyłka jelita grubego domagające się interwencji chirurgicznej. Zaplanowany zabieg laparoskopowy pod znieczuleniem ogólnym przeprowadził 4 lipca ordynator Oddziału Chirurgii Układu Pokarmowego Polikliniki Gemelli prof. Sergio Alfieri. Komunikat głosił, że 84-letni pacjent „zniósł dobrze operację". Rutynowo pobrano próbki tkanki jelita.

KIEROWCA PAPIEŻA
„Jest on jednym z tych ludzi, którzy rozwijają Kościół swoją pracą, swoją życzliwością i swoją modlitwą. Dziękuję mu bardzo i jednocześnie przy tej okazji dziękuję wszystkim świeckim, którzy pracują z nami w Watykanie" – powiedział Franciszek podczas audiencji ogólnej o swoim kierowcy Renzo Cecim (na zdjęciu), który przeszedł na emeryturę.

VATICAN MEDIA

Dyplomatyczna gafa

SKANDALEM PACHNIE wrześniowa wizyta Franciszka w Budapeszcie. 4 lipca Watykan poinformował, że papież spędzi na Węgrzech zaledwie trzy godziny. Tymczasem na Słowacji – której pierwotnie nie było w programie pielgrzymki – zatrzyma się trzy dni. Poza Bratysławą odwiedzi Koszyce (osiedle Romów), Preszów (siedzibę biskupów greckokatolickich, prawosławnych i luterańskich) i sanktuarium maryjne w miejscowości Šaštín.

Zamieszanie zaczęło się w marcu, gdy papież powiedział dziennikarzom słowa, które zmroziły jego służby dyplomatyczne: „We wrześniu będę musiał pojechać na Węgry, na mszę kończącą Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny. Nie do kraju, tylko na mszę. Ale Budapeszt jest zaledwie dwie godziny autem od Bratysławy – dlaczego więc nie odwiedzić Słowaków?".

Niechęć Franciszka do Viktora Orbána stała się aż nadto widoczna. Niektóre węgierskie media pisały o zniewadze ojczyzny i antychrześcijańskiej postawie papieża. Biskupi próbowali ratować sytuację zapewniając, że spotka się on z władzami po mszy, ale Watykan do dziś tego nie potwierdził – szczegółowego planu nie ogłoszono.

Z dumą oczekiwana przez Węgrów wizyta w Budapeszcie stała się nagle mało znaczącym punktem na marginesie podróży do Słowacji. Biorąc pod uwagę dyplomatyczne standardy, a także trudne relacje obu krajów, to ruch naprawdę karkołomny. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Moguncja: powstała kościelna Komisja Kobieca

WYBRANYCH NA DWA LATA dwanaście kobiet będzie doradzać biskupowi Moguncji i diecezjalnej radzie duszpasterskiej, w jaki sposób „promować i wdrażać udział kobiet i równouprawnienie płci na wszystkich szczeblach kościelnych i w strukturach diecezjalnych".

Zanim powstała Komisja Kobieca, na stronie diecezjalnej ukazał się apel wzywający diecezjanki do spotkania online, na którym przedstawią problemy, z którymi zmagają się kobiety w Kościele, oraz pomysły na ich rozwiązanie. Zgłosiło się 260 uczestniczek, które następnie wybrały 12 przedstawicielek. Najmłodsza ma 21 lat, najstarsza 60 (średnia wieku w komisji to 40 lat). Wstępnymi tematami dyskusji były przywództwo, niesprawiedliwość strukturalna, przemoc seksualna i język. ©℗ AS

KULTURA W SKRÓCIE

MYŚLIWSKI LAUREATEM
Wiesław Myśliwski odebrał Nagrodę Polskiego PEN Clubu im. Jana Parandowskiego. Rozmowa z pisarzem oraz laudacje wygłoszone przez Wojciecha Bonowicza, Iwonę Smolkę i Małgorzatę Szczurek dostępne są na facebookowych profilach organizatorów oraz kanale YouTube PEN Clubu. Pierwszym laureatem przyznawanej od 1988 r. nagrody był Jerzy Turowicz.

LWY HOLLAND
Nagrodę Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych za całokształt twórczości otrzyma w tym roku Agnieszka Holland. Reżyserka i scenarzystka odbierze statuetkę Platynowych Lwów 25 września podczas finałowej gali 46. FPFF. Holland to laureatka trzech Złotych Lwów za filmy: „Gorączka", „W ciemności" i „Obywatel Jones".

GRY WOJENNE
Łódzkie studio Play of Battle oraz stołeczne Noobz from Poland pracują nad realistyczną grą wojenną dla ekspertów i analityków z ośrodków wojskowych. W projektowaniu rozgrywek udział biorą m.in. gen. Waldemar Skrzypczak, historyk Norman Davies i politolog George Friedman. „Play of Battle" rozgrywa się w latach 2008-30 w Europie Środkowo-Wschodniej i przedstawia najbardziej prawdopodobny rozwój relacji międzynarodowych w realiach współczesnych konfliktów zbrojnych.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „Tygodnika" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Upały w Kanadzie: nas też to czeka

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Biednego Lytton już nie ma". Tak Edith Loring-Kuhanga, administratorka z miejscowej szkoły, pożegnała na Facebooku swój dom. Ocaliła komputer, walizkę i poduszkę. Reszta spłonęła.

Licząca 250 mieszkańców wieś w Kolumbii Brytyjskiej ucierpiała podczas upałów, które dotknęły w ostatnich dniach zachodnią Kanadę i USA. Temperatura sięgnęła tam 49,6 stopni Celsjusza. Dla porównania: absolutny rekord temperatury na Florydzie to 43 stopnie.

Upały zabiły setki ludzi. Doprowadziły też do powodzi, błyskawicznie topiąc górskie lodowce, oraz wywołały serię pożarów, które zmiotły m.in. Lytton. Spłonęło tu 90 proc. budynków.

Dym z pożarów spowodował powstanie ogromnych chmur burzowych. W ciągu 15 godzin nad Kolumbią Brytyjską zanotowano 700 tys. błyskawic. To ok. 5 proc. wyładowań atmosferycznych zazwyczaj notowanych w Kanadzie w ciągu całego roku.

Badacze z Uniwersytetu Yale nazywają tę falę upałów „najbardziej ekstremalną w historii prowadzenia pomiarów". Kryzys klimatyczny sprawi, że tak ekstremalne zjawiska będą zdarzały się coraz częściej. Według oficjalnych prognoz już w połowie stulecia także Polskę będą nawiedzać wielodniowe upały o temperaturach powyżej 43 stopni. Nie możemy zatrzymać tego zjawiska, możemy jedynie starać się je hamować i ograniczać jego skutki.

Te już dziś są śmiertelnie groźne. W czerwcu w piśmie „Nature Climate Change" ukazała się analiza, z której wynika, że aż 37 proc. wszystkich zgonów związanych z wysokimi temperaturami jest bezpośrednią konsekwencją zmian klimatu. „Zmiany klimatu nie są czymś, co wydarzy się w przyszłości, one już dziś wpływają na nasze zdrowie w dramatyczny sposób – pisze kierująca badaniem Ana Vicedo Cabrera z Uniwersytetu w Bernie. – Wartość 37 proc. będzie rosnąć wykładniczo". Piekielny upał w Lytton to także zapowiedź naszej przyszłości. ©

Sentymenty na bok

ADOBE STOCK

INTERESY rodziców i dzieci nie są do końca zbieżne. Dla każdego dziecka byłoby najlepiej, gdyby to jemu (kosztem rodzeństwa) rodzice przeznaczali najwięcej zasobów – zwłaszcza w dzieciństwie, gdy szybki wzrost oznacza większe szanse na przetrwanie. Dlatego u dzieci wyewoluowały sygnały domagania się jedzenia, które mogą niezbyt uczciwie oddawać to, jak faktycznie są one głodne. W naturze zasoby rodziców zawsze są jednak ograniczone i muszą oni wybierać, komu je przydzielać, by maksymalizować szansę na zwrot z inwestycji – w postaci wnuków.

Zespół Keitha Bowersa opisał w „Animal Cognition", jak kalkulują rodzice u bursztynki (na zdjęciu), niewielkiego ptaka występującego w Ameryrkach. Preferują one dokarmianie najsłabszych dzieci. Co ciekawe, te większe i silniejsze czasem altruistycznie powstrzymują się od proszenia o jedzenie. Sytuacja się zmienia, gdy potomstwa w lęgu jest mało – wtedy rodzice zdają się stawiać wszystko na jedną kartę i najlepiej traktują te najbardziej wyrośnięte i rokujące na przyszłość młode. ©℗ ŁK

Fioletowe światło dobre dla oka

U KRÓTKOWIDZÓW promienie świetlne wpadające do oka skupiają się przed siatkówką – w efekcie obraz przedmiotów znajdujących się w oddali nie jest ostry. Ze statystyk WHO wynika, iż z tą wadą wzroku żyje przeszło 2,5 mld osób, a w ciągu ostatniej dekady ta liczba wzrosła o przeszło 600 mln. Mamy więc do czynienia z epidemią krótkowzroczności (sytuacja najgorzej wygląda w Azji) – a pandemia COVID-19 może tylko pogorszyć sytuację.

Badacze Xiaoyan Jiang i współpracownicy potwierdzili bowiem hipotezę, iż za rozwój krótkowzroczności odpowiada zbyt mała ekspozycja na światło fioletowe. Wprawdzie na zewnątrz jest go wystarczająco, ale w budynkach niemal nie występuje. Nasz styl życia, lockdowny i urządzenia elektroniczne emitujące głównie światło niebieskie sprzyjają więc powstawaniu krótkowzroczności. W eksperymencie przeprowadzonym na myszach, opisanym w „PNAS", badacze wykazali, że światło fioletowe pobudza produkcję opsyny OPN5 – i że białko to jest niezbędne dla prawidłowego rozwoju oka. © MICHAŁ ŚWIĄTEK

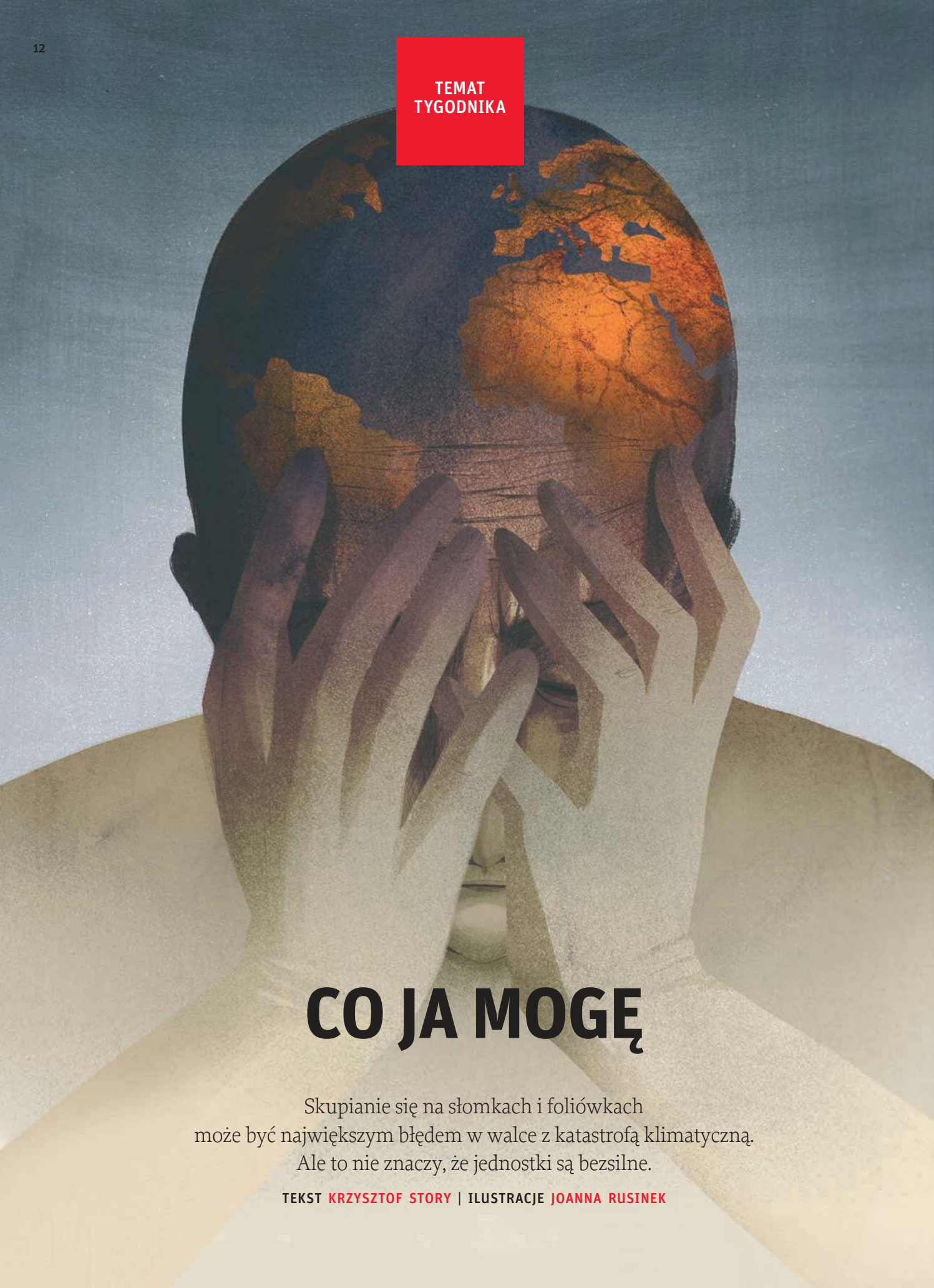

CO JA MOGĘ

Skupianie się na słomkach i foliówkach może być największym błędem w walce z katastrofą klimatyczną. Ale to nie znaczy, że jednostki są bezsilne.

TEKST KRZYSZTOF STORY | ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

Gdy przed trzema laty CBOS pytał Polaków o największe zagrożenia wynikające z rozwoju cywilizacji, 75 proc. osób wskazało na „zanieczyszczenie środowiska". Na „zmiany klimatu" – 37 proc. Zuzanna Legan byłaby w tych trzydziestu siedmiu. Ma 25 lat, pochodzi ze Szczecina, studiuje na Uniwersytecie Warszawskim. Pisze wiersze i fotografuje. Chciałaby podróżować, a kiedyś zamieszkać w domu za miastem i mieć psa.

A jednak rzadko myśli o przyszłości. Daty takie jak 2030 czy 2050 przestały się jej kojarzyć z dorosłością i planami. Stały się progami wyczerpania, limitami wytrzymałości.

– O zmianach klimatycznych zaczęłam na poważnie myśleć trzy lata temu, kiedy powszechny stał się komunikat: „sytuacja jest poważna" – mówi. – Na początku szukałam prostych rozwiązań. Ze wstrętem patrzyłam na plastik, torebki w sklepach, słomki. Ze łzami w oczach śledziłam kampanie o uduszonych ich resztkami żółwiach.

Zuzanna Legan nie była jedyna. Trzy lata temu o stan środowiska naturalnego w kraju obawiało się 68 proc. Polek i Polaków. Pięć lat temu, według tego samego badania – tylko 45 proc. Ten szybki wzrost zbiegł się z długotrwałą suszą, kolejnymi rekordami temperatur, wycinką w Puszczy Białowieskiej, a zwłaszcza – nagłośnieniem problemu smogu w polskich miastach.

– W kawiarni, którą prowadziliśmy z rodziną, zorganizowaliśmy Wielkie Sprzątanie – wspomina Legan. – Na krótkim kawałku plaży zebraliśmy ponad 500 litrów śmieci. Później zamieniliśmy plastikowe słomki na papierowe, chociaż te, które zostały po poprzednim sezonie, walały się po magazynie. Papierowe kubeczki na wynos i drewniane łyżeczki oczyszczały mi i klientom sumienie. Ale były też masy opakowań, których musieliśmy używać. Omijałam wzrokiem kolorowe, niepotrzebne nikomu do życia produkty, sprzedawane kilka metrów obok. Ja byłam „po dobrej stronie".

Udany recykling

Slogany i hasła mają tym mniej pokrycia w rzeczywistości, im częściej są powtarzane. „Być po dobrej stronie". „Ratować planetę". „Być eko".

To ostatnie wpisuję w wyszukiwarkę. Wyniki: „Ekologiczne życie w 2021 r. – kompletny poradnik" (napisany dwa lata temu), „25 prostych sposobów na ekologiczne życie", „61 sposobów, aby stać się bardziej ekologicznym", „120 sposobów na bardziej ekologiczne życie". Wszystkie rady są podobne. „Segreguj śmieci". „Nie bierz foliówek". „Nie marnuj jedzenia". „Jedz mniej mięsa". „Zamontuj w kranie perlator". „Zakręcaj wodę i gaś światło". „Nie miej dzieci" (w bardziej radykalnych tekstach). Jak lista zadań w grze komputerowej.

Wszystkie dostępne obecnie dane naukowe wskazują na to, że katastrofa klimatyczna została wywołana przez działalność człowieka i że będzie miała fatalne konsekwencje. Konsekwencje, które obserwujemy już dziś, i to tuż za naszymi granicami. 24 czerwca w nawałnicy na Morawach zginęły trzy osoby, a wiatr wiał z prędkością 300 kilometrów na godzinę (nasilenie się ekstremalnych zjawisk pogodowych jest bezpośrednią konsekwencją zmian klimatu). Dostrzegamy zagrożenie. Ale rozwiązania, na których się koncentrujemy, nie mogą pomóc, bo większość z nich jest daleko od właściwego problemu.

Przykład? Najpopularniejsze działanie proekologiczne, czyli segregacja śmieci (deklaruje je 95 proc. Polaków). Trochę się przy tym okłamujemy. Albo raczej: nas okłamano.

– Powiedziano nam, że jeśli posegregujemy, to będzie dobrze – mówi Michał Paca, ekspert ds. gospodarki odpadami, autor bloga Sortownia Opinii. – Więc dumamy nad każdym papierkiem, zamiast skupić wszystkie siły na jednym: żeby produkować mniej śmieci, bo za chwilę w nich utoniemy. W posegregowanych czy nie, to ma trzeciorzędne znaczenie.

W 1975 r. Europejska Wspólnota Gospodarcza, poprzedniczka Unii Europejskiej, uznała, że głównym celem gospodarki odpadami jest zmniejszenie ich ilości. Skuteczny recykling był dopiero trzecim filarem dyrektywy 75/442/EWG. Ale do dziś jest jedynym, dla którego wyznaczono jakiekolwiek mierzalne cele.

Michał Paca: – Niech ten system istnieje, skoro go z takim trudem zbudowaliśmy. Sortowanie u źródła oczywiście wspiera recykling. Najważniejsze w Polsce jest zbieranie bioodpadów, bo stanowią aż 30 proc. śmieci. Umiemy też przetwarzać szkło i metal. Papier – tylko jeśli jest czysty, niepomalowany, suchy. Plastik? Nie istnieje recykling plastiku rozumiany jako ponowne użycie produktu czy materiału w tej samej roli, czyli gdy z butelki PET robimy butelkę PET. To dzieje się najwyżej raz i to w stosunku do ułamka tych butelek. Dzisiaj umiemy taką butelkę przetworzyć i zrobić z niej np. dywan albo polar, który za kilka lat i tak wyląduje na wysypisku.

Ekspert wskazuje na fakt, że unijne cele recyklingu są wyrażone w procentach, nie zaś wartościach bezwzględnych, a to nie motywuje do zmniejszania ilości odpadów. W 2019 r. statystyczny Polak wyprodukował 336 kg śmieci. Średnia w UE to 502 kg, a mniej od nas wyrzucają tylko Rumuni. Problem w tym, że będąca na ostatnim miejscu w rankingu Dania (844 kg śmieci) równie łatwo może spełnić unijne cele recyklingu.

– Ten system został stworzony po to, żeby producentom było łatwo transportować i sprzedawać – tłumaczy Paca. – Nie muszą po sobie sprzątać, bo my zrobimy to za nich nad odpowiednim koszem na śmieci. Poświęcamy energię na zastanawianie się, czy lepiej tetrapak, czy plastikowa butelka, zamiast skupić się na ograniczaniu ilości odpadów. To tak jakbyśmy na skali od 0 do 100 zawiesili się tylko w przedziale między 0 a 10. Wysyłamy przez pół świata bezwartościowe butelki, żeby ktoś je spalił, a w statystykach piszemy, że to był udany recykling.

Zrób to sam

Przeczytałem „120 sposobów na bardziej ekologiczne życie" i inne podobne artykuły. Dowiedziałem się, na jaką temperaturę ustawić lodówkę albo że nie powinienem mieć dywanów – za to koniecznie gąbkę do naczyń z ogórecznika morskiego. Niektóre z rad są cenne, inne niemądre – jak korzystanie z bawełnianych „eko" toreb, które rozdaje się jako gadżet na imprezach firmowych. Każdej z nich trzeba by użyć kilkaset razy, by zwrócił się środowiskowy koszt jej produkcji. Podobnie jest ze wszystkimi „ekogadżetami" – najbardziej eko jest ten produkt, który już masz i nie musisz kupować.

Prawie wszystkie porady zachęcały, żebym zrobił coś sam. Szukamy indywidualnych rozwiązań globalnego problemu – i to być może nasz największy błąd w myśleniu o katastrofie klimatycznej.

30 czerwca Kacper Ropka, 19-latek z Krzeszowic w woj. małopolskim, usmażył jajecznicę kładąc patelnię ↦

↦ na rozgrzanej płycie tamtejszego rynku, na którym ostało się ledwie kilka drzew. Takich „zrewitalizowanych" betonem pustyń są w Polsce tysiące, a tworzące się dzięki nim wyspy ciepła już zwiększają śmiertelność wśród osób starszych. Receptą byłoby lepsze planowanie przestrzenne, uwzględniające potrzebę zieleni w miastach.

Mimo to ciągle słyszymy o naszej osobistej odpowiedzialności. Kolejne organizacje udostępniają kalkulatory śladu węglowego. Możemy wyliczyć, jak bardzo szkodzimy planecie, jak bardzo jesteśmy źli.

– Po pewnym czasie przywarła do mnie łatka „ekolożki", jakby to było hobby – wspomina Zuzanna Legan. – Zaczęłam dostawać wielorazowe butelki na urodziny i prezenty w papierowych torebkach na święta. Niektórzy bali się przy mnie jeść mięso albo wziąć foliówkę w sklepie.

Czytała książki i oglądała filmy na temat zmiany klimatu. Coraz trudniej było jej myśleć i zajmować się czymkolwiek innym. By być bliżej nauk przyrodniczych, poszła na studia interdyscyplinarne.

– Nie stałam się aktywistką ani głosicielką „prawdy", więc z mojej wiedzy na pewno nie ma wielkiego pożytku. Wykład o torfowiskach czy film o tamach wodnych inspirowały mnie do pisania wierszy, ale nie nawodniłam żadnego terenu, nie zburzyłam ani jednej tamy – mówi Zuzanna. Do dziś wspiera organizacje pozarządowe. Dlaczego do żadnej nie dołączyła? Odpowiada, że chyba brak jej odwagi. Podziwia ludzi, którzy nadal wierzą, że zmiana jest możliwa.

Słowo ze Szwecji

– Nie da się żyć „ekologicznie", bo samo życie ludzkie nie jest już ekologiczne – dodaje Zuzanna. – Wszystko, co ukształtowało mnie, jako osobę, powstało jako kampania marketingowa. Liczą się zawsze zysk i postęp, choćby po trupach. Teraz hasło „bycie eko" kojarzy mi się z reklamą szamponu w zielonym opakowaniu.

Zmaganie się w pojedynkę z katastrofą klimatyczną nie tylko jest nieskuteczne, ale też obciąża zdrowie. Coraz częściej stanowi przyczynę stanów lękowych i depresyjnych. A także wprowadza niepotrzebne podziały i stereotypy – na przykład ten, że ludzie „eko" to głównie młodzi z dużych miast. Ostatnie badanie European Climate Foundation pokazuje, że ze zdaniem „skutki zmian klimatu mogą być katastrofalne dla człowieka" najczęściej zgadzają się w Polsce osoby starsze niż 60 lat (ponad 80 proc.). W grupie wiekowej 25–34 lata to tylko 52 proc. Starsi są też bardziej gotowi do podjęcia działań.

> Korporacje chętnie pokazują nam zielone, zatroskane o losy planety oblicze, **uprawiając fałszywy marketing ekologiczny,** czyli greenwashing. Produkują, jak chcą, a klient posegreguje butelki.

Spychanie odpowiedzialności na jednostkę staje się problemem, gdy ta nie wywiązuje się ze swoich „ekologicznych obowiązków". A wywiązać się nie sposób, bo wszystko, co robimy, niesie koszt dla środowiska. Sam fakt, że żyjemy w rozwiniętym kraju, oznacza, że Polska emituje 8,8 tony dwutlenku węgla na mieszkańca rocznie (dla porównania Indie: 1,9 tony). Łatwo o poczucie bezradności.

Albo o poczucie winy, które doczekało się już swojego słownika. Jako pierwsze trafiło do niego słowo *flygskam*, czyli po szwedzku „wstyd przed lataniem". Chwilę później doszło *eco-shaming* (eko-zawstydzanie).

– *Shaming* to obwinianie człowieka za coś, co jest naszym wspólnym zaniedbaniem – mówi Michał Paca. – Mogę opowiedzieć, o co się troszczę, czego chcę na świecie i jak ważne jest z tej perspektywy ograniczenie produkcji mięsa. Ale jeśli powiem komuś, że jest współsprawcą „holokaustu zwierząt", bo kupił dziecku kurczaka, przekreślam kontakt między nami. I nie mam co liczyć na zmianę.

– Nic nie osiągnę pouczając i robiąc wykłady, które im bardziej są naukowe, tym mniej zrozumiałe – dodaje Zuzanna Legan. – Z nikim nie porozmawiam przez zamknięte drzwi. Nawet z moją rodziną. Moja babcia wywiesiła ostatnio kartkę obok śmietnika, żeby sąsiedzi nie wyrzucali odpadów bio w plastikowych torebkach. Jestem z niej dumna. To, że to może być za mało, wydaje mi się krzywdzące wobec jej intencji.

Płaszcz z sieciówki

Anna Pięta pierwszy raz weszła do sklepu H&M 19 lat temu. To było w Nowym Jorku i myślała, że się popłacze ze szczęścia. W rodzinnym Płocku chodziła głównie do lumpeksów. Kupiony wtedy płaszcz nosiła przez następne 10 lat. Dwanaście lat temu założyła własny sklep *vintage*, a później wraz ze wspólniczką wymyśliły targi, które po kilku latach stały się jedną z największych imprez modowych w Polsce – HUSH Warsaw.

– Dla mnie momentem zwrotnym był film „True Cost", dokument o tzw. szybkiej modzie. Za pierwszym razem obejrzałam go jako ciekawostkę – wspomina. – Kiedyś nie miałam ani pół milimetra świadomości, nawet zachwycałam się sieciówkami. Za drugim razem film położył mnie na łopatki. Zrozumiałam, że nie wiemy nic o własnych ubraniach.

Ostatni HUSH Warsaw odbył się w 2017 r. W styczniu 2018 r. Anna Pięta wrzuciła na Instagram pierwszy post o tzw. świadomej modzie.

– Jestem maksymalistką. Wszystko co czuję, robię na całość. Byłam więc radykalna. „Mesjaszowałam". Pozbyłam się mnóstwa ubrań, znajomym wywróciłam szafy do góry nogami, przez ponad rok nie latałam samolotem. Na imprezie wystarczyło nacisnąć guzik i zaczynałam opowieść o ciemnej stronie mody. O wykorzystywaniu pracowników, o beznadziejnej jakości, o tym, że w tkaninach są kancerogenne barwniki, ale tylko w Kalifornii dowiesz się tego z metki, bo tylko tam prawo tego wymaga – opowiada.

Trzy lata później Anna Pięta prowadzi podkast MUDA Talks o ekologii, ekonomii cyrkularnej i aktywizmie. Mówi, że skupia się na dostarczaniu wiedzy, a „mesjaszowanie" sobie odpuściła.

– Mam ochotę zrobić na Instagramie cykl: „W czym wam nie doradzę?". Mam dość ekoinfluencerów różnej maści, cioć i wujków „dobra rada", którzy wszystko wiedzą najlepiej; co kupować, na kogo głosować, z kim się kochać i jakie podpaski nosić. Kiedyś łykałam to wszystko jak pelikan i sama to ludziom robiłam. Dzisiaj skupiam się na komplikowaniu pytań. Bo proste odpowiedzi już były i doprowadziły nas oraz planetę na skraj wycieńczenia – mówi.

Wśród wielu ekologicznych wyliczeń i rad często można znaleźć jedną radykalną: nie miej dzieci (bo to duży ślad węglowy).

– Kiedyś sama byłam antynatalistką – mówi Anna. – Dzisiaj myślę: kim jestem, żeby powiedzieć: „nie możesz mieć dzieci, bo niedźwiedzie polarne umrą”? Nie mam prawa, sama jestem czyimś dzieckiem. Ale dziś mam raczej lęk przed zostawieniem małego człowieka w świecie, w którym temperatury w cieniu dochodzą do 45 stopni, jak ostatnio w Kanadzie.

Anna coraz częściej wycofuje się z dyskusji. Ma dość obwiniania siebie i innych o wszystko: – Boże, chroń mnie przed ludźmi, którzy mają rację. Nie palę węglem, nie latam co miesiąc samolotem, ale to wieczne zawstydzanie mnie wkurza. Na grupie *zero waste* widzę setki komentarzy o tym, co zrobić z potłuczonego talerza. Albo z tubki po soczku dla dziecka. Tracimy energię w momencie, w którym cały nacisk powinien iść na korporacje i rządy. Biczujemy się za małe wybory, a Bill Gates w tym czasie pisze książkę „Jak uratować świat”. Co zrobić z tubką po soczku? Nic, do cholery. Po prostu wyrzuć to i nigdy więcej nie kupuj, a teraz razem pomyślmy, jak zrobić lepszy świat.

Kto jest winny?

„Ludzkość”, odpowiadamy najczęściej. „Politycy i korporacje”, dodajemy czasem i mamy dużo racji.

Weźmy emisje dwutlenku węgla. Rozwinięta Europa produkuje go cztery razy więcej niż trzykrotnie większa Afryka. Ale główną osią podziału wcale nie jest geografia, tylko pieniądze. Według raportu organizacji Oxfam 1 proc. najbogatszych jest odpowiedzialny za emisję ponad dwukrotnie większej ilości dwutlenku węgla niż uboższa połowa ludzkości. Dane dotyczą lat 1990–2015.

Pięć firm o największej emisji dwutlenku węgla na świecie to: Saudi Aramco, Chevron, Gazprom, ExxonMobil i National Iranian Oil. Pierwsza dwudziestka tego rankingu jest odpowiedzialna za 35 proc. dwutlenku węgla i metanu wyemitowanego od 1965 r.

Pięć firm produkujących najwięcej plastiku (według audytu Break Free From Plastic): Coca-Cola (około 200 tys. plastikowych butelek na minutę), PepsiCo, Nestlé, Unilever i Mondelez International (właściciel m.in. marki Milka).

Oczywiście, korporacje produkują to wszystko dla nas, ale robią to na wygodnych dla siebie warunkach. Chętnie za to pokazują nam zielone, zatroskane o losy planety oblicze. Fałszywy marketing ekologiczny, czyli *greenwashing*, to dzisiaj prawdziwe pole minowe. Pewien wielki koncern spożywczy w ramach akcji promocyjnej wysyłał dziennikarzom, firmom i NGO puste plastikowe butelki z listem, który zachęcał, żeby wyrzucili je do właściwego pojemnika.

– My produkujemy, jak chcemy, a ty, kliencie, posegregujesz naszą butelkę. W zamian opowiemy ci bajkę o tym, że z 40 takich butelek można zrobić jeden polar. Albo dywan. W Polsce jest sprzedawanych 8 miliardów butelek PET rocznie. Gdybyśmy przetworzyli wszystkie, zrobimy 200 mln polarów, po 5 dla każdego Polaka – mówi Michał Paca.

– To znowu jest obrzucanie jednostki odpowiedzialnością – stwierdza Anna Pięta. – Masz nie słyszeć reklam, które cię bombardują, nie widzieć szyldów, promocji, czarnych piątków. Ale tu akurat uważam, że warto próbować. Wytykać *greenwashing*, nie dać się nabrać i nie kupować.

W 2010 r. koncern BP doprowadził do jednego z największych wycieków ropy w historii. Dziewięć lat później ruszył z ekologiczną kampanią marketingową. Uruchomił kalkulator śladu węglowego i zachęcał do wyznaczenia sobie nowego celu dla ratowania planety. Na Twitterze wpis BP skomentował publicysta Andrew Henderson: „Przyrzekam, że nigdy nie wyleję 4,9 miliona baryłek ropy do Zatoki Meksykańskiej”.

– Mamy tendencję do szukania prostych rozwiązań – mówi Anna Pięta. – Ludzie mają pretensje do Grety Thunberg, że nie ma pomysłu na zmianę świata. Jaki 18-latka ma obowiązek, żeby mieć na to pomysł? To panowie podobni do Gatesa czy Bezosa powinni się tym zająć.

Na początku 2020 r. Jeff Bezos oświadczył, że przeznaczy 700 tys. dolarów na pomoc w ratowaniu Australii zmagającej się z ogromnymi pożarami. To tak jakby osoba mająca na koncie 100 tysięcy złotych wsparła Australię kwotą 60 groszy. Szefowi Amazona udało się za to w roku 2007 i ponownie w 2011 nie zapłacić ani centa federalnego podatku dochodowego.

Budowanie poparcia

Bez głębokich systemowych zmian nasze nawet największe starania i wyrzeczenia nie pomogą planecie, a nas będą kosztowały dużo zdrowia i napięć. Ciężko też uciekać w często powtarzaną frazę o „zniszczeniu kapitalizmu”, bo nie widać żadnej rozsądnej propozycji, czym mielibyśmy go zastąpić. Chodzi raczej o to, by ratowanie planety zaczęło się opłacać.

Niektóre rozwiązania już działają. Od marca 2021 r. obowiązuje w Polsce tzw. „prawo do naprawy”. Producenci sprzętów AGD i RTV muszą zapewnić dostępność części zamiennych przez 7 do 10 lat po zakończeniu produkcji ostatniej partii. Inne to dopiero propozycje.

– Według mnie niezbędny jest jeden ruch – mówi Michał Paca. – Musimy zacząć płacić za odpady wtedy, gdy je tworzymy. To znaczy w sklepie. To wtedy musimy mieć motywację do ich ograniczenia. Dzisiaj płacimy gminie na koniec miesiąca i narzekamy, że tak drogo. A gdybyśmy zamiast tego dopłacali 50 groszy do każdego jednorazowego opakowania? Na paragonie mielibyśmy „opłata śmieciowa”. Wtedy cały nasz model robienia zakupów by się zmienił, sklepy też musiałyby się do tego dostosować. Opłacałoby się przyjść z własnym pudełkiem na ser i wędlinę. Tylko wtedy uda nam się zmniejszyć ilość śmieci. ↦

POŻEGNANIE

Zmarła

Agnieszka Mancewiczowa

Wiesławowi, Antoniemu, Stasiowi, Jasiowi i ich rodzinom
– składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Maryna i Grzegorz Turnauowie,
Antonina i Marek Kondratowie

Kolejnych wyzwań nie brakuje: transformacja energetyczna, dostosowanie planowania przestrzennego i gospodarki wodnej (susza jest piątym najważniejszym problemem Polski na najbliższe lata według sondażu European Climate Foundation), zrównoważona produkcja żywności. Budowanie poparcia dla dobrych rozwiązań, czy to podczas protestów (badania naukowe wielokrotnie potwierdziły skuteczność protestów ulicznych), w miejscu pracy, czy przy rodzinnym obiedzie, będzie skuteczniejsze niż tropienie plastikowych słomek.

Chora mama

Na czym zatem powinna polegać nasza indywidualna, codzienna odpowiedzialność za planetę?

Michał Paca: – Może to zaskakujące, ale kluczowa odpowiedzialność leży w rozwoju duchowym. Musimy się nauczyć żyć bardziej, mając mniej. Dzisiejsza rzeczywistość za wszelką cenę nie chce, żebyśmy przestali być klientami.

Anna Pięta: – Jedno słowo: umiar. Żebyśmy nie mylili wolnego rynku z wolnością. Na przekór światu, który kiedyś serwował nam 4 kolekcje ubrań w ciągu roku, a dzisiaj 45, wolności trzeba szukać zupełnie gdzie indziej niż w portfelu i galerii handlowej: w kraju, na podwórku, na planecie.

Zuzanna Legan: – Pewien pisarz namawiał, aby pomyśleć o Ziemi jak o matce, która jest chora lub umiera, i żeby się zastanowić, jak chcielibyśmy spędzić te ostatnie chwile, które z nią mamy. Pomyślałam o tym, jak często decydowanie się na eksperymentalne terapie czy obrażanie się na śmierć oddala nas od prawdziwego spotkania z osobą, która odchodzi. Warto być świadomym, że to człowiek jest przyczyną tej sytuacji, ale czy za hasłem „człowiek" stoi równo rozłożona odpowiedzialność?

Nie, ta odpowiedzialność nie jest rozłożona po równo. Nie oznacza to, że nasze codzienne wybory są pozbawione znaczenia. Na zmiany systemowe nie trzeba czekać bezczynnie. Warto szukać wiedzy, swojego wpływu we wspólnocie i sposobów nacisku na polityków czy korporacje, zamiast liczyć foliówki i czytać kolejne porady. Troska o planetę to nie gra z listą zadań. Jeśli tak ją potraktujemy, dostaniemy grę, w którą możemy tylko przegrać.

©℗ KRZYSZTOF STORY

Pierwszy koniec świata

MAGDALENA BUDZISZEWSKA, PSYCHOLOŻKA:

Osoby w żałobie klimatycznej często mówią, że straciły wiarę w ludzkość. A ja myślę, że może to dobrze.

KRZYSZTOF STORY: Przeczytałem dziś nagłówek: „Miażdżący raport wyciekł do mediów. Katastrofa bliżej, niż myśleliśmy?". Tekst ilustrowało zdjęcie płonących lasów. Niby wiem, że chodzi o klikalność, ale i tak się przestraszyłem. Co naszej psychice robi zmiana klimatu?

MAGDALENA BUDZISZEWSKA: Każdy tak ogromny problem podwyższa poziom stresu. Nakłada się na wszystko, co już mamy w życiu. Najczęstszą reakcją jest lęk, ale mogą to być też choroby somatyczne, nałogi, utrata poczucia sensu, agresja, stany depresyjne.

Można już mówić o depresji klimatycznej?

Staramy się nie stawiać osobnych diagnoz dotyczących klimatu. W psychologii nie ma tradycji wiązania choroby z konkretnym problemem.

A depresja poporodowa?

To wyjątek, w którym mamy rozpoznany biologiczny mechanizm stojący za chorobą, inny od zwykłej depresji. Ale nie rozróżniamy np. depresji po rozwodzie od tej po stracie pracy.

Troska o klimat jest elementem dobrej wrażliwości. Badania wykonane w Wielkiej Brytanii pokazały, że osoby, które przejmują się katastrofą klimatyczną, wcale nie są bardziej neurotyczne czy depresyjne od innych. Nie mają skłonności do patologicznego zamartwiania się. Co więcej, są bardziej otwarte na nowe doświadczenia i częściej działają na rzecz środowiska.

62 proc. Amerykanów uważa zmiany klimatu za najważniejszy problem naszych czasów. 36 proc. myśli o tym codziennie. Skala wydaje się ogromna.

W badaniach prowadzonych na całym świecie znacząca część ludzi, zwłaszcza młodszych, odpowiada, że ten lęk zaburza im normalne życie.

Mówiła Pani o tym, że katastrofa klimatyczna jest podobna do innych stresorów, które mamy w życiu. A czy coś ją wyróżnia?

Choćby przyszłościowy charakter naszej obawy. Martwimy się nie tym, co widzimy, ale tym, co dopiero będzie.

Przecież skutki widzimy już dzisiaj. Wystarczy spojrzeć na zdjęcia z Czech po przejściu trąby powietrznej sprzed tygodnia. To tuż za naszą granicą.

Tylko że naszym największym strachem wcale nie jest powódź, silny wiatr czy trzęsienie ziemi. Zmiana klimatu ma charakter progowy. Im bardziej postępuje, tym trudniej ją zatrzymać. Boimy się, że dojdziemy do punktu bez powrotu i uruchomimy kaskadę, której już nie zatrzymamy.

Boimy się końca świata.

Tak. I dość trafnie wizualizujemy go sobie jako wojnę. Widzimy, że demokracja, pokój, bezpieczeństwo czy dostęp do wody nie będą normą. Po raz pierwszy wizja końca świata nie jest oparta na przepowiedniach Nostradamusa czy teoriach spiskowych, tylko na opracowaniach naukowych.

Mnie zdarza się czuć lęk przed zmianami klimatu, ale chyba nigdy w takim apokaliptycznym kontekście.

Strach przed końcem świata to tylko jedna z możliwych reakcji. Innym wymiarem jest altruizm – nasz niepokój często dotyczy troski o innych. Nie tylko o własne dzieci, ale o najsłabszych. Wiemy, że zmiany klima-

tyczne najmocniej dotkną tych, którzy najmniej się do nich przyczynili – mieszkańców globalnego Południa, starszych, biednych.

Myślę, że „troska" jest tu cennym słowem. Obejmuje też wymiar pozaludzki. Troszczymy się o zwierzęta. O niedźwiedzie polarne, o koale w australijskich pożarach. Nawet jeśli robimy to w naiwny sposób, jest to wyrazem czegoś bardzo ważnego.

Czego dokładnie?

Wielu uważa, że ludzkość zasłużyła na swój los i tragiczny koniec, a problem jest tylko taki, że pociągniemy za sobą znaczną część biosfery. Że razem z nami miejsce do życia stracą inne stałocieplne ssaki, że znikną całe ekosystemy, puszcze, rafy.

Bardziej przejmujemy się rafą koralową niż własnym gatunkiem?

Scenariusz, w którym ludzkość unicestwia samą siebie, jest straszny, ale nie nowy. Przetrawiliśmy go podczas zimnej wojny. Dzisiaj przeżywamy symboliczną wszechmoc całej ludzkości, która może pociągnąć za sobą dużą część życia na Ziemi. To w tym miejscu bardzo wielu ludzi doświadcza żałoby – po skomplikowanym, pięknym świecie, który ich zdaniem zginie wraz z nami.

Żałoba klimatyczna – to trafne określenie?

Tak, bo już teraz musimy pogodzić się ze stratą wielu rzeczy. Nie przepracowaliśmy jeszcze tego. Pamiętam, jakie poruszenie wywołały zdjęcia tysięcy nietoperzy umierających z upału w Australii. Do oglądania ludzkich dramatów przywykliśmy. Dramaty świata natury, i to na skalę globalną, są nową opowieścią. Mocno do nas docierają.

Dlaczego?

Może widzimy w tym początek własnego umierania? Jesteśmy przecież zależni od tych ekosystemów. Tracimy dom, miejsce do życia. Dlatego tak ciężkie są też straty blisko nas – lasu, łąki za płotem, niedalekiego stawu. Jesteśmy świadkami, jak nasz świat ubożeje.

Czy wielu Polaków zgłasza się z tego powodu do psychoterapeuty?

Zajmuję się tym naukowo, prowadzę badania. Ale ponieważ jestem kojarzona z tematem, dostaję mnóstwo wiadomości od przyszłych pacjentów, których przekierowuję dalej. Chyba już każdemu znajomemu psychoterapeucie podesłałam kilka osób. Wiem też, że młodzi coraz częściej poruszają temat klimatu w rozmowach ze szkolnymi psychologami.

FILIP KLIMASZEWSKI

DR MAGDALENA BUDZISZEWSKA jest psycholożką. Bada m.in. narracje o doświadczeniach emocji kolektywnych, zajmuje się też tematyką prospołeczności i zaangażowania we wspólne dobro. Członkini tzw. zespołu rektorskiego ds. ekologii i kryzysu klimatycznego na Uniwersytecie Warszawskim.

Komu jest najtrudniej?

Najbardziej narażone są małe dzieci, młodzież i seniorzy. A także osoby, które wcześniej chorowały psychicznie. Oraz dobrze poinformowane – aktywiści, naukowcy i dziennikarze.

Po pomoc zgłasza się też wielu młodych ojców. A może to na nich bardziej zwracamy uwagę, ponieważ nie mieszczą się w stereotypie osoby, która przychodzi na terapię. Mówią, że nie radzą sobie z lękiem. Dla wielu mężczyzn najgorsza jest bezradność wobec kryzysu klimatycznego. Spotyka ich w najlepszym okresie życia. A kulturowo mamy nadal zakodowane, że ojciec powinien sobie radzić, znajdować rozwiązania, chronić dzieci. Tylko że przy takiej skali problemu po prostu się nie da „czegoś wymyślić".

Jest jeszcze drugi ważny aspekt. Kiedy rodzą się nam dzieci, bardzo zmienia się nasz stosunek do czasu. Rodzice urodzonego wczoraj niemowlęcia wiedzą, że za siedem lat ich dziecko pójdzie do szkoły. W raporcie Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu (IPCC) padają konkretne daty – np. 2030 i 2050. Dziecko będzie miało wtedy 9 i 29 lat. Rodzice wiedzą, że opisane w raporcie problemy dotkną właśnie ich córkę.

Z czym ludzie przychodzą do gabinetu?

Głównie ze stanami lękowo-depresyjnymi. Mówią, że ten strach dezorganizuje, rozwala im życie. To są często dramatyczne telefony. Niektórzy martwią się o własne życie. Widziałam ostatnio raport dotyczący śmiertelności z powodu nadmiernych upałów i tzw. wysp ciepła. Najbardziej narażone są starsze osoby mieszkające w miastach. Do gabinetu przychodzą z lękiem.

Lęk jest zły? Przecież jest się czego bać.

Oczywiście, nie jest zły. Samo to, że się boję, dowodzi tego, że nie jestem psychopatą. Lęk powoduje, że zachowujemy się racjonalnie. Wyobraźmy sobie ostatni rok w sytuacji, gdybyśmy zupełnie nie bali się koronawirusa. Nie wyglądałoby to najlepiej.

Ale dla niektórych ten lęk jest paraliżujący. To się czasem dzieje nagle. Czytamy artykuł i nagle dociera do nas, jak poważny mamy problem. Zdarzają się na tym etapie epizody lękowe. Możemy mieć kłopot z zaśnięciem, bo będziemy sobie wyobrażać takie lękowe sceny. Zadawać sobie pytania: A co, jak zabraknie wody? Czy przeżyjemy? Jak to wytłumaczymy dziecku? Trudno się wtedy skupić na codziennej pracy i zadaniach. Tak ostrego lęku nie da się przeżywać bardzo długo. Organizm w końcu się zaadaptuje.

Specyfika lęku o klimat jest taka, że nie możemy powiedzieć pacjentowi: „wszystko będzie dobrze". Bo nie wiemy, czy będzie. Ale w psychologii często pracuje się z realistycznymi lękami – np. z ludźmi mieszkającymi w strefie wojny. Ktoś, kto choruje na raka, też nie jest skazany na lęk i depresję do końca życia. Fakt, że zagrożenie jest realne, nie wyklucza możliwości poprawy jakości życia. ↦

↦ **Zapewne są też osoby, które nie przychodzą z lękiem, tylko z rezygnacją.**

I z opowieścią o swoim smutku. O braku poczucia sensu, braku sprawczości. Niektórzy podważają sens świata, który jak zwariowany pędzi ku coraz większej konsumpcji.

Jednak smutek to reakcja tak samo normalna jak lęk. Świat skutecznie odcina nas od smutku i refleksji. Żyjemy ciągle w jakiejś hipomanii. Żeby było fajniej, więcej, lepiej – mamy być ciągle jak na mieszance kofeiny z alkoholem. Tymczasem w dobrze przeżytym smutku jest dużo mądrości.

Dobrze przeżytym? Co to znaczy?

Mądry smutek to opowieść o pogodzeniu się ze stratą. To nasza żałoba – dostrzegamy, ile na tym świecie zniszczyliśmy, ile już straciliśmy bezpowrotnie. Człowiek godzący się ze stratą kontaktuje się z rzeczywistością. Podobno smutnymi oczami „lepiej się widzi".

Nie chcę wszystkich nakłaniać do płaczu, ale lepiej płakać niż udawać, że nic się nie dzieje. Wolałabym, żeby rozwiązania kryzysu klimatycznego były projektowane przez osoby smutne niż maniakalne albo hurraoptymistyczne.

A czy smutek nie oznacza też utraty wiary?

Ludzie w żałobie klimatycznej często mówią, że stracili wiarę w ludzkość. A ja myślę, że może to dobrze. Że może musimy wyjść jako ludzkość z fazy samozachwytu i podziwu dla swoich osiągnięć i dostrzec naszą pazerność, małostkowość.

Pewien poziom rozczarowania jest naturalny – gdybym powiedziała panu, że jestem aniołem bez wad, musiałabym być albo naiwna, albo kłamać. Każdy dojrzały człowiek wie, że nie jest idealny. Może powinniśmy to też wiedzieć jako ludzkość. Może naprawdę powinniśmy się sobą rozczarować.

Gdzie jest granica między smutkiem a depresją?

Depresja kliniczna to wcale nie jest „smutek, tylko większy". W depresji są też inne uczucia: lęk, wrogość, rezygnacja, pustka. Sama depresja to choroba, którą trzeba i warto leczyć. Smutek może być wzbogacający, depresja zawsze jest po prostu trująca.

Po raz pierwszy wizja końca świata nie jest oparta na przepowiedniach Nostradamusa czy teoriach spiskowych, tylko opracowaniach naukowych.

Jak można sobie pomóc?

Psychoterapia nie rozwiąże kryzysu klimatycznego. Uczy jednak, jak budować dobre życie w trudnych sytuacjach. Wielu ludzi jest skazanych na życie w trudnościach. Żyją ze stratą, wojną, chorobą. Funkcjonowanie w świecie, który jest obiektywnie bardzo trudny, to doświadczenie uniwersalne. Psychoterapia nie buduje lepszego świata, tylko pomaga sobie radzić z tym, jaki jest.

Czasem jednak przekłada się to na zmianę społeczną. Mówię to na podstawie własnych badań: dla niektórych osób rozwiązaniem było zaangażowanie się w pozytywne działanie. Zapisali się np. do organizacji i ruchów ekologicznych. Inni obserwują świat, godzą się na niego. Są też tacy, którzy wierzą, że już jest za późno. Za takim stwierdzeniem oczywiście może kryć się depresja w postaci jadowitej utraty nadziei, podcinającej wszystko. Ale znam parę osób, które choć wierzą, że już jest za późno – to po prostu chcą zachować się godnie w obliczu końca.

Wiara pomaga?

Być może głęboko wierzącym chrześcijanom bywa prościej. Mogą sobie powiedzieć: zrobię, co mogę, a reszta w rękach Boga.

Nie ma się wtedy poczucia winy.

Wątek poczucia winy jest w depresji istotny. Oczywiście wszystkie rzeczy, które robimy dla planety, są ewidentnie moralne. W tym sensie ekologia, ta z silnym komponentem etycznym, może być przeżywana podobnie do religii – jest w niej etyka i jest też wina. I to też jest trudne. Bo przecież wszyscy tutaj zawodzimy i przegrywamy. Nie da się być doskonale ekologicznym.

Ale też warto próbować. Inaczej – apokalipsa.

Niektórzy próbują osiągnąć taki stan, w którym w ogóle nie szkodzą planecie. Próbują też nawracać innych. I okazuje się, że to komplikuje nawet podstawowe relacje społeczne. Bo przecież ci ludzie, którzy wcale niekoniecznie chcą żyć ekologicznie, to nasi przyjaciele i rodzina.

Jeśli zacznę ich pouczać, odwrócą się i przestaną słuchać.

Oczywiście, trudno powiedzieć ekologom, żeby nie moralizowali. Trudno też temu moralizowaniu odmówić pewnej racji. Ale trzeba w tym znaleźć granicę. Kiedy zamkniemy się na rozmowę – przegrywamy.

To był potężny błąd w komunikacji organizacji ekologicznych. Skupiły się prawie wyłącznie na działaniach indywidualnych, wyborach konsumenckich. A one na pewno nie są najważniejsze. Mogą wręcz odwracać uwagę od prawdziwych problemów.

Jak to?

Stale rozmawiamy o niekorzystaniu z plastiku i zakręcaniu kranu. A powinniśmy rozmawiać o transformacji energetyki, rolnictwa, zmianie wzorów korzystania z rzeczy, które powinny być trwalsze, itp. Zasadniczo zmienić się powinny przepisy prawa i cała ekonomia. Przywołując kanon religijny: odcedzamy komara, a połykamy wielbłąda.

Poza tym dużo łatwiej naśladuje się przykłady umiarkowane niż radykalne. Cały czas nasuwa mi się analogia między ekologią a religią. Potrzebujemy teraz dużej wspólnoty, społecznej zgody na transformację, choćby energetyki. A nie kilku ekologicznych „świętych", którzy stają się herosami codzienności, komplikując sobie życie i poświęcając na to masę czasu.

Co ta wspólnota miałaby postawić na ołtarzu?

Systemową zmianę z wyraźnie ustalonymi priorytetami. I budowanie poparcia dla niej. Jeśli ustalimy, że celem jest Polska bez węgla – jak to osiągnąć? No, na pewno nie wieszając billboardy i dyskutując pod postami w internecie. Tam tylko podzielimy się na plemiona.

Rozmawiać musimy tam, gdzie są relacje.

Ktoś powiedział, że najlepszą rzeczą, którą możesz zrobić dla klimatu, jest porozmawianie ze swoją babcią. Budowanie przy niedzielnym obiedzie poparcia dla sensownej polityki klimatycznej. Społecznego przekonania, że te kwestie są teraz najważniejsze. Że nie chodzi o chwilowy interes, tylko przetrwanie.

Brzmi bardzo górnolotnie.

Ale kiedyś już się udało. W którymś momencie m.in. pod wpływem chrześcijaństwa doszliśmy do uniwersalnego wniosku, że niewolnictwo jest złe. To samo z rasizmem i nierównością płci. Oczywiście, że te zjawiska nadal istnieją. Ale norma etyczna się zmieniła. Wiem, że jeszcze nie jesteśmy w tym miejscu, ale kiedyś spojrzymy na paliwa kopalne tak samo jak dzisiaj na niewolnictwo.

Za oknem właśnie przeszła moja sąsiadka. Pracuje, wychowuje dzieci, wiecznie zajęta. Niosła śmieci, chyba nieposegregowane. Mam ją teraz obwiniać? Albo ona siebie?

Jeśli już koniecznie chcemy się z czegoś rozliczać, to z pytania: dlaczego nie spróbowaliśmy doprowadzić do zmiany systemowej?

Tracimy dom, miejsce do życia. Dlatego tak ciężkie są straty blisko nas – lasu, łąki za płotem, niedalekiego stawu. **Jesteśmy świadkami, jak nasz świat ubożeje.**

Jeszcze raz analogia religijna, wybaczy pan. Ale jeśli chcemy robić uczciwe rachunki sumienia, musimy sięgnąć do wyższych kategorii. W chrześcijaństwie to by były relacje z innymi, miłość, intencje. Tymczasem dzieci spowiadają się głównie z przekleństw i spóźnienia do szkoły. Z komarów, nie z wielbłądów.

Okazuje się, że w ekologii wszyscy jesteśmy dziećmi. W naszej klimatycznej spowiedzi powinny paść pytania: Jak mogę wpłynąć na innych? Czemu nie poszedłem na protest, choć wiem, że warto? W co mogę się zaangażować?

A najczęściej jest: Czy dobrze posegregowałem? Czy wziąłem słomkę? Czy zakręciłem kran do mycia ząbków? Przecież to jest rachunek sumienia przedszkolaka.

Jak się w tym labiryncie odnaleźć z normalnym życiem? Gdzie jest granica między troską o planetę a pouczaniem i zawstydzaniem innych?

Shaming nie pomaga, tylko jeszcze mocniej nas polaryzuje. To problem z ludźmi, którzy postępują „zbyt etycznie" – nie lubimy ich. Wolimy zwykłych śmiertelników, którzy mają trochę ubrudzone rączki. Z drugiej strony, ciężko im odmówić moralnej słuszności.

Tu jest dylemat dotyczący czynienia dobra, a jednocześnie robienia tego w sposób, który nie zniechęca innych... Nie, wycofuję się z tego. Bo teraz ja wchodzę w rolę kogoś, kto zaraz powie wszystkim, jak jest. A nie wiem, jak jest. Mamy ewidentną rację etyczną życia w sposób bardziej ekologiczny i ewidentną rację logiczną, że nadmierne koncentrowanie się na indywidualnej etyce nie wystarcza, a nawet czasem przeszkadza, bo odwraca uwagę od konieczności zmiany patologicznych polityk i systemów.

To konflikt między rozumem a etyką i kompletnie nie wiem, jak go rozwiązać.

©℗ Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Fanatyk

Pochwała religijnego fanatyzmu? Na pierwszy rzut oka trudno zaprzeczyć: skuszeni wdziękami Moabitek, Izraelici oddają się nierządowi sakralnemu. Zagniewany Bóg spuszcza plagę na obóz. Przywódca klanu Zimri publicznie pokazuje się z Kozbi – szlachetnie urodzoną Madianitką. Udaje się z nią do namiotu. Za nimi podąża Pinchas, wnuk Aarona, i przeszywa ich splecione już ciała włócznią. Plaga ustaje i Bóg wychwala mordercę, nagradzając jego potomków wiecznym kapłaństwem.

Tak dla przemocy i samosądu? Najwyższy nakazuje Mojżeszowi ukarać prowodyrów i ten wydaje sędziom stosowne dyspozycje. Nie słyszymy jednak, by ktokolwiek został skazany – ginie tylko Zimri, któremu „sprawiedliwość" wymierza Pinchas. Rabini głoszą, że sąd, który raz na 70 lat skazuje na karę śmierci, należy uznać za krwawy. Obwarowują wydanie takiego wyroku dodatkowymi koniecznymi warunkami, skutecznie wiążąc tym ręce nieomal każdemu sądowi. Nie do pomyślenia jest, by przyjęli oni czyn Pinchasa ot tak, po prostu.

Przy starannej lekturze biblijnej narracji furtka pojawia się w tym oto wersie: „I zobaczył to Pinchas, syn Elazara, syna Ahrona, kapłana, i wstał z pośród zboru, i wziął oszczep w rękę swoją" (Lb 25, 7; Cylkow). „Wstał z pośród zboru" – cóż to było za zgromadzenie? Nic innego jak posiedzenie sądu. Aaronowy wnuk działał zatem *lege artis*! Talmud stwierdza: „Jest napisane: »I zobaczył Pinchas, syn Elazara« – co zobaczył? Raw powiedział: »Zobaczył czyn i przypomniał sobie [odpowiednie] prawo«. Rzekł [do Mojżesza]: »Stryju mego ojca, czyż nie tak uczyłeś mnie, kiedy zszedłeś z góry Synaj: Ten, kto współżyje z kobietą obcą – gorliwcy wymierzają mu karę?«. Odrzekł mu: »Ten, kto odczytał dekret, niech będzie wykonawcą«". W pierwszej części Talmudu rzeczywiście jest napisane, że gorliwcy wymierzają karę m.in. w przypadku współżycia z aramejską [tzn. obcą] kobietą.

Inaczej o takim gorliwcu wypowiada się Raba syn syna Chany w imieniu rabina Jochanana: „Gdyby przyszedł zasięgnąć rady – nie pouczamy go [by tak postąpił]. Ponadto: gdyby Zimri przerwał [współżycie] i Pinchas by go zabił – sam zostałby skazany z jego powodu. Gdyby Zimri się obrócił i zabił Pinchasa [w obronie własnej], nie zostałby za to skazany na śmierć, ponieważ [Pinchas] czyhał na jego życie".

Talmud Jerozolimski klaruje: Pinchas zadziałał wbrew woli mędrców, chcieli go skazać na banicję, ale wówczas odezwał się głos, że otrzymuje on przymierze wiecznego kapłaństwa. Można odetchnąć: to okoliczności szczególne i fanatyk religijny nie zostaje uznany za wzór godny naśladowania. Czyn Pinchasa jest postrzegany przez rabinów jako problematyczny – nie trzeba do tego naszej współczesnej wrażliwości. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Tak będzie korzystniej

„Tylko w swojej ojczyźnie, wśród swoich krewnych i we własnej rodzinie prorok może być tak lekceważony" – mówił Jezus do mieszkańców Nazaretu. W swoim czasie podobnie został potraktowany prorok Amos. Od kapłana Amazjasza, występującego jako przedstawiciel władzy politycznej, usłyszał: „Idź stąd, widzący, uciekaj do kraju Judy! (...) A w Betel nie prorokuj więcej, bo jest ono świątynią króla i sanktuarium królestwa". Amos, jak na proroka przystało, bardziej słuchał Boga niż ludzi, nie ustąpił i wyrzucono go z granic Izraela. A według późniejszej tradycji został zamordowany przez syna Amazjasza. Jak widać, pokusa władania z tronu i ambony to najprostszy sposób pomnażania nieszczęść. Kiedy tymczasem dla chrześcijanina wzajemne powiązania Kościoła i państwa sprowadzają się do odpowiedzialności za los każdego bez wyjątku człowieka. Obliguje nas do tego społeczna nauka Kościoła, a przede wszystkim Ewangelia. Jednak wspominając najistotniejsze wydarzenia z życia Jezusa, niewiele, jeśli w ogóle, mówimy o roli, jaką odegrali politycy – również ci w sutannach, jak byśmy dzisiaj powiedzieli.

I tak, Poncjusz Piłat, dowiedziawszy się podczas przesłuchania, że Jezus jest poddanym Heroda Antypasa, postanawia to wykorzystać do podreperowania nadwyrężonych stosunków dyplomatycznych z tymże. Przekazuje więc podsądnego Herodowi, a ten, jako wytrawny dyplomata, w mig pojmuje, o co namiestnikowi cezara chodzi, i wysyła Jezusa z powrotem do Piłata, co znaczyło, że przyjmuje propozycję ugody. W rezultacie od „tego dnia Herod i Piłat stali się przyjaciółmi, wcześniej bowiem byli dla siebie wrogami" – mówi Łukasz.

Podobną polityczną rozgrywkę prowadził arcykapłan Kajfasz z Sanhedrynem. Widząc, że Jezus cieszy się coraz większą popularnością, zaczął się obawiać utraty władzy. On sam i jego zwolennicy bali się, że Jezus może wzniecić kolejne antyrzymskie powstanie, dlatego postanawiają Go unieszkodliwić. Sprzeciwiających się takiemu rozwiązaniu najwyższy kapłan strofował: „Wy nic nie rozumiecie. Nie bierzecie także pod uwagę tego, że będzie korzystniej, jeśli jeden człowiek umrze za lud, niż gdyby miał zginąć cały naród" – czytamy w Ewangelii Jana. Ta zwodnicza zasada: „Będzie korzystniej" do dzisiaj funkcjonuje.

Timothy Snyder pisze: „Kiedy przywódcy polityczni dają negatywny przykład, wynikające z etyki zawodowej zobowiązania do właściwego postępowania nabierają dodatkowego znaczenia. Trudno jest zniszczyć państwo prawa bez prawników lub urządzić procesy pokazowe bez sędziów. Reżimy autorytarne potrzebują posłusznych urzędników, a dyrektorzy obozów koncentracyjnych poszukują biznesmenów zainteresowanych tanią siłą roboczą". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Spotkanie w Gadarze

Gdyby Mojżesz nie prowadził owiec, nie zobaczyłby Tego, który był w krzaku.

ABBA POJMEN

Uczono nas zwracać uwagę na znaczenie czynów, odczuwać świętość dostępną w życiu codziennym, być oddanym temu, co powszednie, tak samo jak temu, co niezwykłe.

ABRAHAM JOSHUA HESCHEL

Liturgia zabrała nas niedawno wraz z Jezusem na drugi brzeg Jeziora Galilejskiego, do kraju Gadareńczyków. Ledwie Jezus wysiadł na ląd, drogę zabiegło Mu dwóch opętanych – tak właśnie jest w zapisie Mateusza (zob. Mt 8, 28-34); w równoległych tekstach Marka i Łukasza występuje jeden opętany. To nie jedyna różnica w narracji Synoptyków. Św. Mateusz radykalnie skrócił opowiadanie – pominął Jezusowe pytanie o imię opętanego („Legion"); nie zapisał też końcowego dialogu, w którym (w zapisie Marka i Łukasza) uratowany przez Pana człowiek prosi Go, by mógł zostać przy Nim jako Jego uczeń. Nie. U Mateusza został tylko sam zasadniczy trzon opowiadanej historii.

Przy tak ascetycznej narracji tym większego znaczenia nabierają równie skondensowane zwroty (o bardziej teologicznym charakterze), które z kolei znalazły się wyłącznie u Mateusza. Zwróćmy uwagę przynajmniej na jeden z nich.

Jest on zawarty w zdaniu, które opętani wykrzykują, skoro tylko zobaczyli Jezusa: „Czego chcesz od nas, Jezusie, Synu Boży? Przyszedłeś tu przed czasem dręczyć nas?" (Mt 8, 29). Chodzi o określenie: „przed czasem" (grec. *pro kairou*), którego nie znajdziemy u dwóch pozostałych Synoptyków. Złe duchy skarżą się, że Jezus przyszedł za wcześnie! Jakby chciały powiedzieć: „Zgoda. Miałeś przyjść. (Twoje prawo. Jesteś Synem Bożym). Ale jeszcze nie teraz!".

Czy nie taką właśnie obiekcję niejednokrotnie wkłada nam w myśli i w serce szatan? Tak. Chciałbym się nawrócić. Ale jeszcze nie w tej chwili. Pamiętacie zapisaną w „Wyznaniach" modlitwę św. Augustyna: „Daj mi Boże czystość i umiarkowanie, ale jeszcze nie dzisiaj"? A potem to wielokrotnie powracające: „Jutro!", „Jutro!", „Jutro!"...

Owo „jeszcze nie teraz" może dotyczyć decyzji zarówno na porzucenie popełnianego zła, do którego nawykliśmy, które nas na swój sposób „cieszy", jak i na uczynienie czegoś dobrego – to również potrafimy odwlekać w nieskończoność, wybierając raczej nicnierobienie.

Zwróćmy jeszcze uwagę na inny szczegół w przytoczonym zdaniu, a mianowicie słowo: „dręczyć" (które występuje akurat we wszystkich trzech Ewangeliach). Mamy tu greckie *basanizo*, znaczy: torturować, zadawać ból. U św. Mateusza powraca ono (ale jako rzeczownik: *basanistes*, to znaczy: kat) w przypowieści o nielitościwym dłużniku: nieszczęsnego bohatera Pan każe wydać katom (na tortury), dopóki nie odda mu całej jego własności.

To cenny odsyłacz – odkrywa dodatkowy wymiar naszej historii. Jezus „torturuje" złe duchy, gdyż chce im odebrać swoją własność. Dotknięci opętaniem Gadareńczycy należą do Niego (nie do szatana), a On przybył tu specjalnie i z pełną determinacją, aby się upomnieć o swoją „własność".

Pańscy jesteśmy. Nawet jeśli my o tym zapominamy, On nie zapomina. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 VII)

15. niedziela zwykła: Am 7, 12-15; Ps 85; Ef 1, 3-14; Mk 6, 7-13;
Poniedziałek: Wj 1, 8-14. 22; Ps 124; Mt 10, 34 – 11, 1;
Wtorek: Wj 2, 1-15a; Ps 69; Mt 11, 20-24;
Środa: Wj 3, 1-6. 9-12; Ps 103; Mt 11, 25-27;
Czwartek: Wj 3, 13-20; Ps 105; Mt 11, 28-30;
Piątek: Wj 11, 10-12. 14; Ps 116; Mt 12, 1-8;
Sobota: Wj 12, 37-42; Ps 136; Mt 12, 14-21;
16. niedziela zwykła: Jr 23, 1-6; Ps 23; Ef 2, 13-18; Mk 6, 30-34.

Wybrał PIOTR SIKORA

TO NIE JEST CZAS DLA UMIARKOWANYCH

Nie wiadomo, czy i kiedy będą przyspieszone wybory. Ale w obozie władzy wszyscy już zachowują się tak, jakby wybory miały odbyć się zaraz. Najlepiej to widać w polityce zagranicznej.

KLAUS BACHMANN

Od momentu odejścia z sejmowego klubu PiS trzech posłów mamy w Polsce rząd *de facto* mniejszościowy. Ani w Sejmie, ani w Senacie PiS już nie ma solidnej większości, nawet wliczając w to posłów i senatorów jego małych koalicjantów, których uda się jeszcze przeciągnąć, żeby formalnie przebić próg 230 głosów. Rząd Mateusza Morawieckiego może sobie kupować poparcie przed każdym ważnym głosowaniem, ale dużych, kontrowersyjnych projektów już nie przeprowadzi. Jeśli opozycja będzie wystarczająco podzielona i nieudolna, rząd może sobie przedłużyć żywot nawet do 2023 roku bez konieczności wcześniejszych wyborów, do których zarządzenia i tak potrzebuje współpracy albo prezydenta, albo skoordynowanego działania dużej części tejże opozycji.

Bardziej niż takie działania do jego implozji przyczyni się radykalizm jego własnych koalicjantów i ich posłów. Widać to już obecnie: im mniej obóz Zjednoczonej Prawicy może, tym ostrzejsze stają się wypowiedzi jego polityków, i to nie tylko znanych z buńczucznych i prowokacyjnych słów polityków Solidarnej Polski, ale też ministra Czarnka i samego premiera. Jest w tym głęboka logika, choć ani piękna, ani użyteczności nie ma.

Co się opłaca opozycji

Zgodnie z tymi przepisami konstytucji, które PiS jeszcze uznaje, do samorozwiązania parlamentu potrzeba głosów dwóch trzecich posłów – a więc także pewnej części opozycji. W normalnych warunkach, przy sprzyjających wynikach sondaży, opozycja parłaby do wcześniejszych wyborów. W normalnych warunkach mogłaby je bowiem wygrać. Ale obecne warunki nie są raczej normalne, i to nawet nie z powodu pandemii.

W ostatnich latach PiS poobsadzał swoimi nominatami wszystkie instytucje, które organizują wybory, liczą głosy i podają wyniki oraz rozstrzygają następnie o ich ważności. W dodatku wykorzystuje w kampaniach wyborczych państwowe media i wszystko to, co na Ukrainie lat 90. zyskało miano „administracyjnych resursów": zastrasza opozycję, nasyła służby specjalne, prokuraturę i policję na opozycyjnych polityków i własnych nielojalnych stronników, a za pomocą firm państwowych prowadzi propagandę, której kosztów nie musi ująć w sprawozdaniach do Państwowej Komisji Wyborczej. Firmy państwowe ciągają niezależne media po sądach.

W takich warunkach wcześniejsze wybory to większe ryzyko dla opozycji niż dla władzy. Tym bardziej że o ich wyniku rozstrzygnie potem przejęta przez PiS izba Sądu Najwyższego. Obsadzony przez partię Kaczyńskiego Trybunał Konstytucyjny i przychylny jej prezydent uniemożliwiliby zaś opozycji rządzenie nawet w przypadku wygranej. Innymi słowy: nie tylko wcześniejsze, ale jakiekolwiek wybory miałyby dla opozycji sens tylko wtedy, gdyby wcześniej zdołała przejąć władzę i poprowadzić kampanię wyborczą z pozycji tej siły, która kontroluje przynajmniej niektóre instytucje, a także np. media publiczne. W momencie, kiedy PiS dałby poważne oznaki, że naprawdę szykuje się do wcześniejszych wyborów – np. przymierzając się do nieuchwalenia nowego budżetu w terminie przewidzianym przez konstytucję albo zgłaszając wotum nieufności wobec własnego rządu – opozycja musiałaby podjąć próbę odwołania marszałka Sejmu i rządu.

Z tym też wiąże się poważne ryzyko: rząd ma siedem dni, aby kupić sobie głosy przed głosowaniem nad konstruktywnym wotum nieufności i jeśliby się to udało, dostałby trzy miesiące spokoju przed ewentualnym kolejnym takim wnioskiem. Obecnie nikt nie wie, czym by się taki wniosek skończył. Dlatego opozycja próbuje odwoływać kolejnych ↦

ADAM WARŻAWA / PAP

Prezydent Andrzej Duda oraz premier Mateusz Morawiecki na terenie przekopu Mierzei Wiślanej w Skowronkach. 1 lipca 2021 r.

ministrów. I tak zapewne będzie przynajmniej do jesieni (wcześniej PiS nie może korzystać z możliwości rozwiązania Sejmu przez prezydenta) – kiedy Polska wejdzie w czwartą falę pandemii.

Mieliśmy dotąd rząd, który zajmował się zakazem aborcji, prawami osób LGBT i innymi ideologicznymi projektami, ale nie przywiązywał dość dużej uwagi do zapaści służby zdrowia i igrał z kolejnymi mutacjami koronawirusa. Teraz będziemy mieli coraz bardziej niesprawny rząd mniejszościowy, zajęty szykowaniem się do ewentualnej kampanii wyborczej i walką o utrzymanie władzy. Stanie on np. przed dylematem: czy zrazić sobie najtwardszą część elektoratu przez wprowadzenie obowiązku szczepienia przeciw covidowi, czy raczej dopuścić do tego, że jesienią i zimą znaczna jego część będzie znów narażona na poważne zachorowania i śmierć – a wtedy krewni ofiar będą winić PiS.

Racja i reputacja

Jak ta powolna implozja będzie wyglądać, można już teraz obserwować. Politykę zagraniczną ostatnich sześciu lat można, przy pewnym uproszczeniu, sprowadzić do serii wiecowych haseł o powstawaniu z kolan, należnych nam od Niemiec gigantycznych reparacjach, do buńczucznej polityki historycznej i widowiskowych, ale przeważnie przegranych awantur w Brukseli. Prawie ze wszystkich tych haseł PiS po cichu się wycofywał. O reparacjach się nie mówi, o sprowadzaniu wraku ze Smoleńska tym bardziej, przegrane potyczki w Brukseli ogłoszono sukcesami albo zwycięstwami moralnymi, rosła za to liczba konfliktów nawet w gronie grupy wyszehradzkiej.

Tymczasem polityka zagraniczna została przejęta przez rozmaite grupy nacisku, które rząd wprawdzie finansuje, ale za to one wiążą mu ręce, głosząc bardziej radykalne hasła niż ministrowie. W tej grze MSZ już raczej się nie liczy, bo jego prerogatywy zostały rozdrapane przez inne agendy rządowe, kancelarię premiera i prezydenta. Polska ma w Tel Awiwie sprawnego ambasadora, ale nie wygląda na to, by resort dyplomacji został włączony w przygotowania do niedawnej nowelizacji Kodeksu Postępowania Administracyjnego, choć było do przewidzenia, że sprawa – pozornie czysto wewnętrzna – będzie miała reperkusje w polityce zagranicznej. Sytuacja nie jest nowa, co zauważyli dyplomaci innych państw, a co ostatnio rozgoryczyło ministra spraw zagranicznych tak, że dał temu publiczny wyraz w głośnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej".

> Im mniej obóz Zjednoczonej Prawicy może, **tym ostrzejsze stają się wypowiedzi jego polityków,** włącznie z ministrem Czarnkiem i samym premierem. Jest w tym głęboka logika, choć ani piękna, ani użyteczności nie ma.

Teraz na to nakłada się potencjalna kampania wyborcza i wyścig ugrupowań tworzących rząd o najlepszą pozycję startową w wyborach, o których nikt nie wie, kiedy się odbędą. Dlatego w gruncie rzeczy niewinna, sprzyjająca stabilności prawa inicjatywa ustawodawcza, aby w pewnych warunkach zablokować zaskarżenie decyzji administracyjnych nawet wtedy, kiedy zostały podjęte z naruszeniem prawa, mogła wywołać tak imponujące emocje. Mimo że podjęto ją zgodnie z wytycznymi Trybunału Konstytucyjnego z czasów przed „dobrą zmianą". Inaczej niż ustawa o IPN-ie, ten projekt nie zajmuje się ani kwestią, czy Polacy są współodpowiedzialni za Holokaust, ani honorem ocalałych lub pamięcią o nich. Dotyczy przede wszystkim rynku nieruchomości i reprywatyzacji. W absolutnej większości u podstaw problemu, który autorzy nowelizacji chcieli rozwiązać, leżą konflikty między Polakami pochodzenia polskiego i innymi Polakami pochodzenia polskiego.

Być może dałoby się tej burzy w szklance wody zapobiec, gdyby Polska miała jeszcze służbę dyplomatyczną mającą coś do powiedzenia, ale przede wszystkim gdyby rządzący cieszyli się minimalnym zaufaniem u swoich partnerów i antagonistów za granicą. Ale po drodze zdarzyły się: ustawa o IPN-ie, antysemickie wybryki w mediach państwowych, natrętna, a jednocześnie bezradna propaganda historyczna, przejmowanie niezależnych od rządu instytucji zajmujących się historią II wojny światowej i historią relacji polsko-żydowskich.

Można było temu zapobiec, można teraz próbować załagodzić skutki, tylko że obecnie nikt nie ma w tym za bardzo interesu. Dla obecnego premiera Izraela to fantastyczna okazja, aby umocnić własny twardy elektorat rozgoryczony kompromisami, jakich wymagało tworzenie szerokiej koalicji, która obaliła Netanjahu. Dla Solidarnej Polski to doskonała okazja, aby przypodobać się wyborcom skrajnej prawicy i odróżnić radykalizmem od PiS. Dlatego też premier Morawiecki, który zazwyczaj wypowiada się nieco bardziej wstrzemięźliwie, wiąże sobie ręce demagogicznymi komentarzami w tej sprawie. Podobnie zresztą jak patrzy biernie na to, że jego minister edukacji wywołuje w europejskiej prasie politowanie pomieszane ze zdziwieniem.

Załóżmy nawet, że narracja części PiS i Solidarnej Polski o tym, iż Polacy byli w takim samym stopniu jak Żydzi ofiarami okupacji i nie byli poza rzadkimi wyjątkami winni wydawania ich Niemcom, jest słuszna. Czy istniałyby szanse, aby się z taką narracją przebić do zagranicznej opinii publicznej, skoro nawet wielu Polaków ją kontestuje i skoro stoi ona w sprzeczności z tym, co publikują najważniejsze media amerykańskie i izraelskie?

Tę kolejną batalię rząd może tylko przegrać – razem z całą Polską, tą pisowską i tą antypisowską, tak jak tyle innych batalii wcześniej. Ale od czasów referendum o brexicie wiemy, że poświęcając interes swojego kraju, politycy czasami mogą wygrać na arenie krajowej. Boris Johnson jest tego najlepszym dowodem. A w Polsce będziemy teraz mogli obserwować wyścig klasy politycznej o to, kto stanie się polskim Johnsonem w wersji miniaturowej. Startują w tej konkurencji politycy, którzy domagają się cenzury obyczajowej w szko-

RDC POLSKIE RADIO

MICHAŁ SOWIŃSKI opowie Grzegorzowi Chlaście o buncie na Bounty (tekst na s. 78) w środę 7 lipca o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

łach, wprowadzenia różnych form dyskryminacji osób homoseksualnych albo np. radykalnej reformy systemu podatkowego. Wiedzą, że w warunkach rządu mniejszościowego nie ma na to szans. Ale łatwo wypowiadać się radykalnie i demagogicznie, łatwo żądać rzeczy niemożliwych, jeśli nie ma się możliwości wcielenia ich w życie albo nie ponosi się odpowiedzialności za skutki ich wprowadzenia. Tak czy owak spadłaby ona na następny rząd.

Do kiedy opłaca się być wiernym

Ten stan rzeczy miewa też daleko idące skutki dla funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, policji i administracji państwowej. Jest to zjawisko znane zarówno z Ukrainy pod rządami Janukowycza i Kuczmy, jak i z krajów Ameryki Południowej podczas upadku dyktatur wojskowych: im większa jest niepewność, czy rząd się utrzyma, tym większą niezależność od niego zdobywają nawet sędziowie, prokuratorzy i urzędnicy przez niego mianowani. Każdy zaczyna wtedy kalkulować, co mu się bardziej opłaca: trwać przy władzy, która być może zaraz upadnie, czy przeciwstawić się jej i poprawić sobie notowania u jej potencjalnych następców.

Nikt o tym otwarcie nie mówi, ale wszyscy widzą, że nagle nominaci partii rządzącej wydają wyroki i podejmują decyzje dla tej partii niewygodne. Posłowie PiS już są w popłochu, i to nie bez powodu. Ich partia walczy nie tylko o władzę, ale też o utrzymanie bezkarności za łamanie konstytucji, korupcję i manipulowanie procesem wyborczym. Polityk, który teraz zasili szeregi opozycji albo w jakiś inny sposób pomoże obalić rząd, liczy, że opinia publiczna wybaczy mu niecne czyny w przeszłości i pozwoli uczestniczyć w rozliczaniu tych, którzy za późno zmienią front albo wiernie trwają przy prezesie.

To spektakl wstydliwy i pełen hipokryzji – obojętne z której strony na to patrzeć – ale towarzyszy on każdej transformacji politycznej, która jest czymś więcej niż tylko zmianą rządu. Patrząc na to czysto racjonalnie, PiS mógłby jeszcze długo zachować pełnię władzy i nawet wykorzystać słabość opozycji do tego, aby przedłużyć ten stan. Ale nic z tego nie będzie, jeśli sami posłowie w to nie będą dalej niezachwianie wierzyć. Wprawdzie PiS mocno okroił władzę parlamentu, nadal jednak może on w pewnych warunkach, nawet jeśli obecnie trudnych do przewidzenia, obalić rząd. Z tej klepsydry ubywa coraz więcej piasku, ale nikt nie wie, ile go tam jeszcze zostało. Nawet prezes nie jest w stanie tego sprawdzić.

Morawiecki w rozkroku

Zasada, że brak sprawczości sprzyja nieodpowiedzialnym zachowaniom, ma też swoją odwrotną stronę: że ten, kto ma realną władzę, nie może być tak radykalny jak jego rywale pozbawieni tego brzemienia. Przekonał się o tym ostatnio premier Morawiecki, kiedy w Brukseli wybuchła potężna i wysoce emocjonalna awantura wokół węgierskiej ustawy utożsamiającej orientację homoseksualną z pedofilią i pornografią. Kiedy Ursula von der Leyen skończyła czytać niektóre artykuły tej ustawy na forum Rady Europejskiej, Orbán miał przeciwko sobie całą Radę. Tylko przedstawiciele Bułgarii i Słowenii nie atakowali go, zasłaniając się brakiem znajomości tekstu.

Morawiecki pewnie zapamiętał, jak bardzo niektóre elementy zeszłorocznej kampanii Andrzeja Dudy i „strefy wolne od ideologii LGTB" (od których premier trzymał się z daleka) szkodziły Polsce, więc bronił Orbána tak, że chyba sam Orbán tego nie zauważył. Domagał się np. (czego nikt nie kwestionował), aby to rodzice mogli decydować o tym, czego uczą szkoły, do których posyłają swoje dzieci. Przy dobrych chęciach można to nawet uznać za krytykę ministra Czarnka.

Jak długo jednak Morawiecki będzie mógł się tak zachowywać, jeśli zwalczające się frakcje i koterie obozu rządzącego wykorzystują to natychmiast przeciw niemu? Temperatura wypowiedzi na temat zmian w Kodeksie Postępowania Administracyjnego dowodzi, że ten czas już minął. Aby zapewnić sobie dobry start w krajowym wyścigu, aby dzielnie walczyć o kilka procent skrajnego elektoratu, który może zapewnić przewagę w wyborach, trzeba będzie się też zachowywać maksymalnie nieodpowiedzialnie – także, a może przede wszystkim w polityce zagranicznej. Sorry, ale taką teraz mamy sytuację w kraju.

© KLAUS BACHMANN

REKLAMA

JACEK MAJCHROWSKI, PREZYDENT MIASTA KRAKOWA I STOWARZYSZENIE MUZYKI POLSKIEJ ZAPRASZAJĄ NA

www.fmp.org.pl
17. 8-18.07 2021
KRAKÓW

FESTIWAL MUZYKI POLSKIEJ
FESTIVAL OF POLISH MUSIC

Organizatorzy: Stowarzyszenie Muzyki Polskiej, Kraków
Projekt współfinansowany ze środków Miasta Krakowa
Partner honorowy: Europe for Festivals, Festivals for Europe, Effe Label 2019-2020
Mecenas: Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu
Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji i Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca
instytut muzyki i tańca
Patroni medialni: wp, wyborcza.pl, Kraków Culture, kraków.pl, TVP Kultura, dwójka Polskie Radio, Tygodnik Powszechny

Karol Szymanowski „Hagith" • Elżbieta Szmytka i Janusz Wojtarowicz • Vilém Veverka i Kateřina Englichová • Ewa Biegas • Chór i Orkiestra Filharmonii Śląskiej • Maciej Tworek Wrocław Baroque Ensemble • Andrzej Kosendiak

Bilety dostępne na portalu eWejsciowki.pl oraz w punktach InfoKraków. Informacje www.fmp.org.pl

KATARZYNA PIECHOWICZ

Przypadkowe spotkanie seniorki z bliskimi po długim okresie rozłąki. 17 czerwca 2021 r.

Zapomniana izolacja

KRZYSZTOF STORY

Pomimo skutecznej akcji szczepień wiele DPS-ów nadal nie pozwala ani na wyjścia, ani na przyjmowanie odwiedzin przez mieszkańców. Czy dyrekcje niektórych placówek wykorzystały pandemię, by zaprowadzić u siebie quasi-więzienny reżim?

Szczecin, styczeń 2021: seniorzy z Domu Pomocy Społecznej przy ulicy Kruczej mają nie tylko zakaz wychodzenia z budynku, nie wolno im nawet przejść na inne piętro. Rodziny mogą zostawiać im paczki przed budynkiem. Po ujawnieniu sprawy przez media wojewoda zleca kontrolę.

Racławice Śląskie, marzec 2021: większość pensjonariuszy tutejszego DPS-u przyjęła już dwie dawki szczepionki. Mimo to nadal nie mogą wyjść na zakupy ani spotkać się z bliskimi. Mówią, że są traktowani jak zwierzęta w klatkach.

Kraków, początek czerwca 2021: w DPS-ie im. Anny i Ludwika Helclów mieszka 380 osób. Od początku pandemii, z krótkimi przerwami, byli odcięci od świata. Pierwsze odwiedziny bliskich mogą się odbywać dopiero od 3 czerwca, z zachowaniem ścisłego reżimu sanitarnego. Wyjścia – tylko w ważnych sprawach, np. do lekarza czy optyka. Niektórzy mieszkańcy porównują to do więzienia.

Mieszkańcy DPS-ów, ale także Zakładów Opiekuńczo-Leczniczych i innych placówek stacjonarnego pobytu, na powrót do normalności czekają od ponad roku. Czekają z wytęsknieniem, bo też ich wolność została ograniczona dużo mocniej niż ogółu społeczeństwa. Nie mogli zobaczyć się z rodzinami, załatwić spraw, a nawet wyjść na spacer. Nadzieją były szczepienia: wszyscy mieszkańcy placówek stacjonarnego pobytu byli w priorytetowej grupie I programu szczepień. Według Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w kwietniu 2021 r. zaszczepionych było już ok. 84 proc. mieszkańców.

Tych, dla których zastrzyk był też nadzieją na spotkanie z bliskimi i odzyskanie wolności, czekało rozczarowanie. I nadal czeka. Pomimo spadającej liczby zakażeń i luzowania obostrzeń w całym kraju wiele DPS-ów i ZOL-ów nadal ogranicza wolność swoich mieszkańców.

– Ostatnio postawiłem tezę, że ograniczanie praw mieszkańców domów pomocy jest jednym z największych, ale najmniej dostrzeganych problemów przestrzegania praw człowieka w Polsce – mówi Krzysztof Kurowski, przewodniczący Polskiego Forum Osób z Niepełnosprawnościami. – Mamy świadomość, że takie ograniczenia najprawdopodobniej nie wywołają jakiejś dużej społecznej dyskusji. W świadomości społecznej jest zakorzenione przekonanie, że prawa mieszkańców DPS-u powinny być ograniczane dla ich dobra i inaczej po prostu być nie może.

O aktualną sytuację pytam w ministerstwie. W odpowiedzi czytam, że dzięki wielu staraniom i m.in. sprawnie zorga-

nizowanym szczepieniom „większość domów pomocy społecznej umożliwia odwiedziny mieszkańców przez osoby bliskie (według stanu na dzień 12 maja br. było to ponad 85 proc. domów)". To oznacza, że prawie 15 proc. DPS-ów nadal przypomina więzienie.

Karton na schodach

– Personel mieliśmy zaszczepiony już w styczniu, to były jedne z pierwszych dawek w Polsce. Seniorzy zostali zaszczepieni w marcu. Przy zastrzyku co druga mieszkanka pytała mnie, czy teraz będzie już mogła zobaczyć swoją rodzinę. A ja mówiłam, że oczywiście, że będzie mogła – wspomina Katarzyna Piechowicz.

Piechowicz jest terapeutką w jednym z ZOL-ów. W ośrodku zaszczepieni są wszyscy – ani pacjenci, ani personel nie mieli medycznych przeciwwskazań. Mimo to seniorzy nadal nie mogą swobodnie wyjść z ośrodka ani spotkać się z bliskimi.

Na schodach w placówce stoi karton, w którym rodziny mogą zostawiać paczki. Przynoszą głównie jedzenie, bo to zapewnione przez ZOL nie wystarcza. Słodycze, soczki, teraz dużo truskawek, bo przecież sezon. Te paczki to jedyna dozwolona forma interakcji z seniorami.

– Ciężko mi na to patrzeć – mówi Piechowicz. – Oni wpadają w apatię. Pojawia się melancholia, bezsens. Zrozum, w ich życiu nie dzieje się wiele. Spotkanie z rodziną jest świętem. Czymś, na co można czekać, co można później wspominać. A kiedy nie masz na co czekać? Poddajesz się. Niewiele się o tym mówi, ale badania pokazują, że samotność zwiększa ryzyko śmierci o 14 proc.

– Ośrodek, który zakazuje wyjść i odwiedzin, staje się więzieniem. Taką przechowalnią dla seniorów. Duże DPS-y pomimo ciepła i starań personelu często tak wyglądają. I trzeba pamiętać, że to nie pozostaje bez wpływu na zdrowie fizyczne – tłumaczy dr hab. Paweł Kubicki, gerontolog ze Szkoły Głównej Handlowej. – Jest jeszcze jedna kwestia: odwiedziny rodzin są formą dodatkowej mobilizacji dla pracowników placówek. Może nawet kontroli. Nie mówię, że w każdym zamkniętym ośrodku dzieją się teraz straszne rzeczy. Ale jeśli się dzieją, to taki DPS jest pozbawiony dodatkowej szansy reagowania na problem.

Na kolejny aspekt zwraca uwagę Krzysztof Kurowski: – Mieszkańcy DPS-ów mogą czuć się jak obywatele drugiej kategorii, wiedząc, że i tak znacznie łagodniejsze obostrzenia dla pozostałej części społeczeństwa są luzowane o wiele szybciej.

KATARZYNA PIECHOWICZ

Seniorka w swoim pokoju w placówce, w której wstrzymane zostały odwiedziny rodzin. 9 kwietnia 2021 r.

Jeszcze w marcu Kurowski napisał list do premiera, pod którym podpisali się przedstawiciele 28 organizacji pozarządowych: „Nasze doświadczenie wskazuje, że tak daleko idące ograniczenie kontaktów i relacji społecznych dla tych osób skutkuje znacznym pogorszeniem jakości ich życia, a nawet, co jest szczególnie ważne, wpływa na długość ich życia".

Myjcie owoce

Już w 2017 r. zespół Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur działającego przy biurze Rzecznika Praw Obywatelskich rekomendował określenie ustawą konkretnych sytuacji, w których możliwe będzie ograniczanie swobodnych, samodzielnych wyjść mieszkańców z budynku i terenu należącego do DPS-u.

– Po latach zwracania na to uwagi została wprowadzona nowelizacja ustawy o pomocy społecznej, pozwalająca ograniczyć możliwość wychodzenia jedynie w przypadku indywidualnie stwierdzonych powodów medycznych, ale nie dłużej niż na pół roku – mówi Krzysztof Kurowski. – Przepis ten miał wprowadzić nową jakość i nowe zasady, jednak pandemia spowodowała, że poszliśmy w całkowicie odwrotną stronę.

W stronę samowolki. Ministerstwo wydawało bardzo ogólne zalecenia, które następnie przekazywało wojewodom, a ci rozsyłali je do poszczególnych placówek. W efekcie do dziś każdy dyrektor podejmuje decyzje samodzielnie.

– Te daleko idące obostrzenia często nadal obowiązują, bo dyrektorzy boją się odpowiedzialności – mówi Justyna Zarecka z Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur. – Ministerstwo wskazuje, że jest zbyt wiele indywidualnych czynników, by dać konkretne rekomendacje. Chodzi np. o odsetek zaszczepionych. My zwracamy uwagę, że te ograniczenia muszą być proporcjonalne. Jeśli nie ma odwiedzin, to muszą być alternatywne formy kontaktu. Już rok temu, bez szczepionek, odbywały się w DPS-ach np. spotkania na świeżym powietrzu.

Zarecka przyznaje, że zawsze jest ryzyko lokalnego ogniska koronawirusa w DPS-ie, potencjalnie tragicznego w skutkach. Ale to nie może być podstawą do odbierania ludziom podstawowych praw. Tymczasem w niektórych DPS-ach nie można było się nawet przemieszczać między pokojami.

– Dzisiaj podczas wizytacji wiele DPS-ów zaskakuje nas pozytywnie. A jeśli jakieś obostrzenia wydają się zbyt restrykcyjne, to warto, aby mieszkańcy lub ich bliscy zwrócili się ze skargą do Urzędu Wojewódzkiego. W ubiegłym roku przeprowadzany przez wojewodów nadzór był w tym zakresie skuteczny – mówi Zarecka. – Największym problemem były bardzo ogólne i niedostosowane do rzeczywistości zalecenia. Np. w wielu DPS-ach nie ma technicznej możliwości wydzielenia stref dla osób ↦

↦ zdrowych i chorych, a taka była rekomendacja. Albo „dostęp do pomocy psychologicznej": co to znaczy? Czy infolinia z dyżurującym psychologiem, którego seniorzy nigdy nie widzieli i nie znają, ma szansę być skuteczna? Gdy na początku pandemii pytaliśmy Główny Inspektorat Sanitarny o to, jak mają postępować takie placówki, dostaliśmy ogólne pismo, w którym było m.in. zalecenie mycia owoców i płacenia kartą. Dyrektorzy DPS-ów czuli się wtedy pozostawieni sami sobie.

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej dopiero 4 marca przesłało wojewodom zaktualizowaną wersję rekomendacji dla DPS-ów. W maju wysłano kolejną aktualizację. Po dwóch prośbach do ministerstwa o pełny tekst rekomendacji uzyskałem informację: „możliwa jest aktywność mieszkańców, którzy zostali zaszczepieni lub przebyli COVID-19, poza terenem placówki, jak również odwiedziny mieszkańców przez osoby bliskie. Możliwa jest również aktywność innych mieszkańców niż zaszczepieni oraz tzw. ozdrowieńcy poza terenem placówki (niemniej jednak decyzje w tym zakresie podejmują organy prowadzące domy w zależności od analizy sytuacji epidemicznej na danym terenie)".

Na stronie ministerstwa jako aktualne nadal można znaleźć zasady z 8 października 2020 r.

Ręce przy sobie

Większość DPS-ów i ZOL-ów dopuszcza dzisiaj jakąś formę kontaktu z rodzinami, choć nie zawsze jest to proste. Regulamin odwiedzin i samodzielnych wyjść w DPS-ie przy ulicy Bachusa w Warszawie ma sześć stron. Punkt 3: odwiedziny odbywają się nie częściej niż raz na dwa tygodnie. Punkt 4: w trakcie jednego kontaktu mieszkańca może odwiedzić tylko jedna osoba. Punkt 5a: na każde odwiedziny przeznaczone jest nie więcej jak 60 minut. Punkt 5b: zabronione są bliskie kontakty takie jak przytulanie, całowanie, a nawet podanie sobie rąk. Punkt 12: w uzasadnionych sytuacjach dyrektor DPS-u może odwołać odwiedziny.

– Dowiedziałem się o sytuacji w jednym z domów. Mieszkaniec może opuścić placówkę, jeśli wcześniej ktoś napisze podanie z prośbą o jego wyjście i zadeklaruje, że odbierze go z DPS-u samochodem – mówi Krzysztof Kurowski. – Widać, że to absurd i nie chodzi tu o żadne zagrożenie epidemiczne, tylko o powrót do utrwalonych zasad, zgodnie z którymi DPS kontrolował całe życie swojego mieszkańca.

W ośrodku, w którym pracuje Katarzyna Piechowicz, nadal obowiązują bardzo ostre ograniczenia. Nie chodzi tylko o balans między bezpieczeństwem a wolnością. Chodzi też o zdrowie podopiecznych. O to, że depresja może być równie groźna jak koronawirus. A kontakt może być leczeniem.

– Często wychodzę z seniorami na podwórko, teraz przecież ciepło – opowiada Piechowicz. – Kilka dni temu pod drzwi podchodziła rodzina, żeby zostawić paczkę. Zobaczyli swoją krewną, podeszli bliżej. Oczywiście, że nie wolno. Powinnam ich zatrzymać, powiedzieć, że nie wolno. Nie umiałam.

Według terapeutki rodzina często przeżywa rozłąkę równie mocno jak senior. Tym bardziej że nie widzą dla tych ograniczeń uzasadnienia, zwłaszcza jeśli wszyscy są zaszczepieni.

– Tamci podeszli do pani Pelagii – opowiada Piechowicz. – Ma kochającą rodzinę, ale wymaga całodobowej opieki, której nie są w stanie jej zapewnić. W trakcie pandemii jej stan zdrowia znacznie się pogorszył. Ucieka jej pamięć, od jakiegoś czasu podśpiewuje wciąż to samo. Wtedy też siedziała tylko i podśpiewywała pod nosem. Nagle zobaczyła rodzinę. Źrenice jej się powiększyły, jakby ducha zobaczyła. Bałam się, czy to nie będzie zbyt mocne przeżycie. A ona z miejsca zaczęła do nich mówić po imieniu, po nazwisku. Pytała, co u tego, a co u tamtej? Już po wszystkim bardzo fajnie z nami, personelem, rozmawiała. Dla nich te spotkania naprawdę są całym życiem.

©℗ KRZYSZTOF STORY

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 286/19 postępowanie z wniosku wierzyciela PROTEGAT 1 Niestandaryzowany Sekurytyzacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Cypryanie, zmarłym 25.05.2015 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tychach I Wydziałem Cywilnym pod sygn. akt I Ns 186/21 toczy się sprawa z wniosku Tyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Zuzanna" z siedzibą w Tychach o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierzu Błaszczyku, s. Józefa i Heleny, zmarłym 18 września 2020 r. w Cieszynie, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu były Tychy. W skład spadku wchodzi spółdzielcze własnościowe prawo do lokalu mieszkalnego nr 4, położonego w Tychach przy ul. Sikorskiego 153–155.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa – Śródmieścia w Krakowie I Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie I Ns 583/20/S z wniosku Spółdzielni Mieszkaniowej „Centrum" z siedzibą w Krakowie przy uczestnictwie Iwony Naskręt i Tomasza Naskręta o stwierdzenie nabycia spadku po Alicji Joannie Naskręt, z domu Bursztynowskiej, córce Władysława i Julii, urodzonej 22 sierpnia 1937 r. w Piotrkowie Trybunalskim, zmarłej 21 czerwca 2010 r. w Krakowie, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Krakowie przy ulicy Bosaków 5/59.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TVP / FORUM

TADEUSZ SZNUK jest inżynierem, dziennikarzem i prezenterem. W latach 70. popularność przyniósł mu program „Studio 2", w którym był jednym z prowadzących. Jego głos znają także słuchacze Polskiego Radia, gdzie pracował przez 43 lata. Od 1994 r. prowadzi w TVP teleturniej „Jeden z dziesięciu".

Narodowy test powszechny

TADEUSZ SZNUK, PROWADZĄCY TELETURNIEJ „JEDEN Z DZIESIĘCIU":

Pamiętam panią, która przed nagraniem była nadzwyczaj opanowana. „Mam szwagra w elektrowni, jak mi źle pójdzie, w czasie emisji wyłączy prąd w całym mieście" – wyjaśniła.

MAREK RABIJ: Panie Tadeuszu, kategoria „teleturnieje".

TADEUSZ SZNUK: Rozumiem, że mam odpowiedzieć: „Poproszę na siebie"?

Na to liczę. Kto jeśli nie Pan – prowadzący teleturniej emitowany nieprzerwanie od 27 lat – może mieć na ten temat coś do powiedzenia?

Na pewno są bardziej wszechstronnie doświadczeni prowadzący. Ja jestem „monoformatowy".

W tym roku zanosiło się wręcz, że „Jeden z dziesięciu" przejdzie do historii. TVP nie chciała przedłużyć umowy z producentami.

O tym z panem już niestety nie porozmawiam. Mamy z TVP nową umowę produkcyjną z niezwykle restrykcyjną klauzulą poufności.

Nie szkodzi. Od pewnego czasu staram się wręcz unikać informacji o tym, co się dzieje w TVP. Chciałbym za to porozmawiać o fenomenie „Jednego z dziesięciu". Chyba możemy tak to nazwać?

Kiedy startowaliśmy z tym programem w 1994 r. i w Polsce była tak naprawdę jedna telewizja – bo pozostałe dopiero raczkowały – mieliśmy oglądalność na poziomie przeszło 3 milionów osób. Dziś widownia raczej nie spada poniżej półtora miliona, co uważam za wynik bardziej niż przyzwoity – chociaż mam wątpliwości, czy powinniśmy zwać to aż fenomenem.

To proszę się rozejrzeć szerzej po telewizyjnych ramówkach. W jednym teleturnieju trzeba pokonać tor przeszkód i nie wpaść przy tym do wody. W innych uczestnicy ratują żony zanurzone w kisielu, rozpoznają piosenki, układają hasła z liter, w ostateczności – odpowiadają na pytania, z którymi poradzą sobie nawet przedszkolaki. „Jeden z dziesięciu" to ostatni przedstawiciel gatunku rozrywki wykorzystującej wyłącznie wiedzę uczestników.

Był pan uprzejmy zapomnieć o jeszcze jednym teleturnieju, emitowanym w konkurencyjnej ogólnopolskiej stacji.

„Milionerom" bliżej jednak do wymienionych wcześniej formatów. Widz śledzi tam nie tyle intelektualne zmagania uczestników, co grę emocji, w którą z premedytacją wciąga ich prowadzący.

Ale to nie zmienia faktu, że „Jeden z dziesięciu" wymyślił jegomość, który musiał być sadystą. Bo proszę pomyśleć: dziesięciu uczestników, z których tylko jeden wyjdzie w miarę zadowolony. Reszta zyska najwyżej szansę, żeby się namęczyć, bo nagrody, nie dość, że tylko dla finalistów, to są w zasadzie symboliczne. Na tym właśnie opiera się diaboliczność tego formatu. Widział pan zapewne fragmenty programu, które krążą po internecie?

Niektóre mają już status wręcz kultowy. Na pytanie o imiona pary głównych bohaterów „Nocy i dni" Marii Dąbrowskiej jeden z uczestników odpowiada: „Bogumił i Jan".

I pana to bawi?

Nie jest to dowcip stulecia, ale jak Pan widzi, zapadła mi ta scena w pamięć.

A mnie nie jest do śmiechu, bo wiem, jaki stres towarzyszy graczom. Widzę, z jakim poczuciem wstydu schodzą ze sceny ci, którzy nie odpowiedzieli na proste pytanie, bo zjadły ich nerwy lub zabrakło im czasu. W bazie mamy ponad 70 tysięcy pytań z kilkunastu dziedzin i o zróżnicowanym poziomie trudności. Nasi goście są po męczącej podróży, czasem przez pół Polski, albo i dalej. Proszę dodać do tego tremę, jaką nieobyty z kamerą człowiek musi odczuwać w studiu i krótki czas do namysłu. Sam wielokrotnie zadawałem sobie pytanie: czy ja bym w ogóle wyszedł z fazy eliminacji?

↦

↦ Kiedy czytam potem w internecie komentarze wyśmiewające niewiedzę uczestników, mam ochotę odpisać: zapraszamy na eliminacje, a potem do programu i zobaczymy, jak panu pójdzie.

Trudno się do Was dostać?

Nie mamy aż tak trudnych kwalifikacji, z jakich słynęła „Wielka gra", bo nie ma takiej potrzeby; przecież nie rozgrywamy teleturnieju monotematycznego. Chętni do udziału w programie muszą wziąć udział w teście z wiedzy ogólnej, w którym trzeba zdobyć określone minimum punktowe, żeby zostać zaproszonym na nagranie. Dwadzieścia pytań, średniej, powiedziałbym, trudności. Potem pozostaje już tylko oczekiwanie na swoją kolej. I wie pan, co mnie w tej pracy cieszy najbardziej? Pomimo upływu lat, teleturniej przyciąga nadal uczestników z niemal wszystkich grup wiekowych. Nie mamy niestety dostępu do wyników badań widowni, które by nam powiedziały coś o metryce czy wykształceniu widzów naszego i innych teleturniejów. TVP nam ich nie udostępnia. Mamy natomiast kontakt z uczestnikami, którzy powołują się na swoistą teleturniejową sztafetę pokoleń. Coraz częściej zdarza mi się usłyszeć: „mój tata startował u pana tyle a tyle lat temu, dlatego postanowiłem również spróbować". Wygląda na to, że w tym teleturnieju starzeje się jedynie prowadzący.

Wikipedia nie jest może najmłodszym dzieckiem internetu, ale również tam „Jeden z dziesięciu" ma gigantyczne, rozbudowane o tabele i statystyki hasło, które jest kopalnią wiedzy o teleturnieju.

Myśli pan, że to jakiś miernik naszej popularności?

Pod warunkiem, że nie redaguje jej ktoś od producenta.

Nie, to na pewno nie my (*śmiech*). Muszę tam zajrzeć, żeby się czegoś o nas dowiedzieć.

W rozdziale „Rekordy i sytuacje nadzwyczajne" wyczytałem, że w 17. odcinku 119. edycji zwyciężyła Aneta Kurczewska-Hołtyn i że do wygranej wystarczyło jej tylko 11 punktów. Rywale odpowiadali jeszcze gorzej.

To rezultat specyfiki tego teleturnieju, który jest kompletnie nieprzewidywalny. Niereżyserowalny. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, kto i na jakim pytaniu się wyłoży. W scenariuszu i w regulaminie nie ma również narzędzi, które by nam pozwalały w jakikolwiek sposób moderować przebieg rozgrywki.

Tak jak się to robi w innych teleturniejach – jak rozumiem?

To już pan powiedział. Ale tak, chyba nie zdradzę wielkiej telewizyjnej tajemnicy, jeśli potwierdzę, że przynajmniej w niektórych współczesnych *talent shows* o tym, kto i kiedy odpadnie, decydują producenci na podstawie badań reakcji widowni. Erudycja czy talenty uczestników mają tu drugorzędne znaczenie. Najbardziej liczą się emocje, jakie uczestnicy budzą u widzów. U nas tego nie ma. Wygrywa ten, kto odpowie na najwięcej pytań.

Chyba nie zawsze. W 16. odcinku 104. edycji – znów posiłkuję się hasłem z Wikipedii – Piotr Przęczek zdobył 483 punkty, a mimo to przegrał z Leszkiem Kędzierskim, który miał ich tylko 71. Pamięta Pan, o co tam wtedy poszło?

Wszystkiego nie mogę pamiętać. Jeśli coś takiego miało miejsce, to z pewnością można to wytłumaczyć odpowiednimi zapisami w regulaminie. A regulamin oddaje sporo w ręce ślepego przypadku.

Co utkwiło Panu w pamięci najmocniej?

Pamiętam np. panią, która przed nagraniem była zaskakująco opanowana. Uczestnicy zwykle siedzą wtedy jak na szpilkach. Niektórzy do ostatniej chwili powtarzają jakieś informacje. Są i tacy, którzy spisują pytania zadane w poprzednich odcinkach i uczą się odpowiedzi na pamięć, albo próbują znaleźć jakieś tematyczne prawidłowości, jak system w totolotku. Tymczasem tamta pani po prostu siedziała sobie w pełni zrelaksowana. „Mam szwagra w elektrowni, jak mi źle pójdzie, w czasie emisji wyłączy prąd w całym mieście" – oznajmiła.

Nie jestem pewien, czy to był żart.

Te 27 lat spędzonych wśród tysięcy osób stających przed kamerą do testu wiedzy powiedziały Panu coś, czego nie wiedział Pan wcześniej o rodakach?

Niestety, nie spędzam na planie tyle czasu z uczestnikami, ile bym sobie życzył. Produkcja telewizyjna to jest jednak taśmociąg. Nagrywamy w studiu w Lublinie, czas jest ograniczony. Widzimy się z graczami przez chwilę podczas make-upu, przed samą rozgrywką, witam się, zamieniamy parę zdań. A teraz, podczas pandemii, spotykamy się dopiero w studiu. Widzę więc tylko to, co dzieje się już w trakcie teleturnieju.

Ludzie nie udają przed kamerami?

Są tacy, którzy stają przed kamerą z gotowym pomysłem na siebie. Próbują pokazać się takimi, za jakich chcą uchodzić – choćby za luzaków, który przyszli tu tylko dla zabawy – nawet wtedy, kiedy wszystko świadczy o tym, że jest dokładnie na odwrót. Bywają też uczestnicy, których rozgrywka niesie jak fala. Najłatwiej chyba rozpoznać takich, którzy przyszli po to, żeby się pokazać w telewizji, bo zazwyczaj długo nie grają.

Proszę też pamiętać, że nie wszystkie teleturnieje sprawiają, iż w ferworze rywalizacji uczestnicy muszą pokazać więcej prawdy o sobie samych. Wydaje mi się, że nasz właśnie do takich się zalicza. Postępowanie jednego gracza ma wpływ na sytuację innych, bo ten, który odpowie na swoje pytanie, wyznacza następnego, czyli może w ten sposób realizować pewną taktykę. Ale też odsłania przez to swój charakter. Zobrazuję to może tym, co się wydarzyło dzisiaj podczas nagrania. Był pan, z dużą wiedzą, ale od początku widać było, że chce bić słabszych. No i los się na nim zemścił. Albo inni gracze – bo do finału nie dotarł.

Zastanawiam się, co mówi z kolei o samym teleturnieju nadreprezentacja mężczyzn wśród jego uczestników? Nie zdarzyło się jeszcze, aby większość zawodników stanowiły kobiety.

Myślę, że panie mogą być po prostu rozsądniejsze. Po co startować w czymś, co nie daje wielkich korzyści materialnych, za to wiąże się ze stresem i potencjalnym ryzykiem skazy na wizerunku? Możliwe, że popisy erudycyjne stanowią też większą wartość dla mężczyzn niż dla kobiet. Ale w tej chwili dzielę się z panem jedynie własnymi domysłami.

Skoro już tak krążymy wokół tej erudycji – z jakimi pytaniami uczestnicy nie mają zwykle trudności?

Wydaje mi się, że z tymi nawiązującymi do Biblii.

Minister Czarnek będzie zachwycony.

Ale chyba nie zaskoczony, bo to w naszym kraju rzecz w zasadzie możliwa do przewidzenia. Poza tym staramy się obracać na poziomie podstawowych informacji. Mnie natomiast martwi stosunkowo niski poziom zaznajomienia z przedmiotami ścisłymi. Pytania z tych dziedzin o wiele częściej sprawiają graczom problemy.

Czegoś jeszcze nie wiemy?

Nie odważę się nazwać tego niewiedzą, ale dziwi mnie, że w obrębie wiedzy o języku mniejszą trudność sprawiają uczestnikom pytania z gramatyki niż z literatury. Jestem po studiach technicznych, wiem oczywiście, że istnieje coś takiego jak przysłówek i przydawka, ale przez całe dorosłe życie radziłem sobie jakoś bez dokładniejszego rozeznania, czym jedno różni się od drugiego. Orientację w literaturze zawsze uważałem natomiast za coś, co – celowo użyję wielkich słów – konstytuuje wykształconego człowieka.

Inna sprawa, że coś, co ludziom z mojego pokolenia wydaje się oczywiste, dla młodych uczestników takim być nie musi. Gdyby pan spytał kogoś z moich znajomych chociażby o Hankę Ordonównę...

Teraz Pan trochę przesadził z osadzaniem własnej metryki w kontekście kulturowym. Mamy wspólnych znajomych.

No dobrze, to o Karin Stanek.

Teraz zgoda.

Jeśli zapytać o nią kogoś świeżo po maturze, wtedy mogą być kłopoty. Dlatego tak bardzo mi zależy na tym, żeby rozrywce, jaką jest teleturniej, nadać wymiar edukacyjny. Gdy uczestnik nie poda właściwej odpowiedzi, zawsze czytam ją za niego. Czasem także uzupełniam informacje podane przez gracza. Kto wie, być może dlatego utrzymujemy się tak długo na wizji, bo zaliczamy się do grupy „produkcji misyjnych". Mamy też stałą pulę nagród, bo zwycięzca inkasuje tyle samo bez względu na to, czy wygra mając 400 punktów, czy tylko 200. Nikt nie idzie raczej do „Jednego z dziesięciu" dla pieniędzy.

A skąd najczęściej przychodzi?

Jeśli zakłada pan, że program przyciąga głównie publikę miejską lub na odwrót – wiejską – to się pan srodze pomyli. Mamy i takich, i takich. A także młodych i starych. Zamożnych i biednych. Z dyplomami najlepszych uczelni i samouków. Nawiasem mówiąc, to chyba dobra ilustracja siły oddziaływania, jaką nadal ma telewizja. Dużo się dziś mówi o jej końcu, o słabnącym zainteresowaniu ze strony młodych – i rzeczywiście, puls współczesnych mediów bije już gdzie indziej. Ale to nie znaczy, że telewizja straciła całkowicie rząd dusz.

A wracając do samych teleturniejów: jakim cudem program z symbolicznymi nagrodami, a do tego eksploatujący coś powszechnie dziś lekceważonego, czyli wiedzę encyklopedyczną, może tak długo cieszyć się tak dużą popularnością?

Zadaję sobie to pytanie od lat. Odpowiedź słyszę często od widzów i uczestników: chcemy się sprawdzić. Jedni startują w teleturnieju, żeby w bezpośredniej rywalizacji zweryfikować wyobrażenia o własnej erudycji. Innym wystarcza do tego uczestnictwo z fotela przed telewizorem. A z tego płynie z kolei wniosek, że to – jak się pan wyraził – powszechne lekceważenie wiedzy encyklopedycznej nie jest tak powszechne, jak się nam czasem wydaje.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

POŻEGNANIA

Ś.†P.

Agnieszka Mancewicz

architekt, urbanista
Kochana Żona, Mama, Teściowa, Babcia i Siostra

Urodzona 20 IX 1940 r. w Borysławiu, opatrzona świętymi sakramentami zmarła 30 VI 2021 r. w Krakowie.

Pogrzeb rozpocznie się w czwartek 8 VII 2021 r. o godz. 11 mszą świętą żałobną w kościele pw. Miłosierdzia Bożego przy ul. Bandurskiego 12 w Krakowie.

Po mszy, o godz. 12.10, spod bramy głównej cmentarza Rakowickiego w Krakowie nastąpi odprowadzenie prochów Zmarłej do grobu rodzinnego.

Pogrążeni w żałobie
Mąż, synowie, brat, wnuki i rodzina

Stanisławowi Mancewiczowi

składamy wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

Drogi Staszku,
ściskamy Cię
mocno i serdecznie,
Panią Agnieszkę
zachowamy w naszych
dobrych myślach
i modlitwie.

Przyjaciele
z „Tygodnika
Powszechnego"

DEMONY KARDYNAŁA DZIWISZA

KS. JACEK PRUSAK SJ:

Nie wystarczy już zamiana złych biskupów na dobrych. Wadliwy jest model. Potrzebujemy głębokiej reformy episkopalności.

ARTUR SPORNIAK: Czy kard. Stanisław Dziwisz może spać spokojnie?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Gdyby zarzucano mi tyle różnych rzeczy i stawiano tak trudne pytania, twierdząc, że nie otrzymało się na nie przekonujących odpowiedzi, to nie miałbym powodu do spokojnego snu. Myślę, że kardynał Dziwisz zdaje sobie z tego sprawę. Współczuję mu, bo znalazł się w miejscu, w którym oczywiście nigdy nie chciał być, ale do którego doprowadziły go jego własne decyzje.

Które?

Mówię o tym, co się działo na terenie archidiecezji krakowskiej, kiedy kard. Dziwisz wrócił z Watykanu i został jej metropolitą, bowiem zarzuty dotyczące okresu bycia sekretarzem Jana Pawła II oparte są na razie na spekulacjach. W archidiecezji krakowskiej mamy natomiast do czynienia z ofiarami, które twierdzą, że kard. Dziwisz zmarginalizował ich głos, kiedy się do niego zwracały o pomoc. Potwierdza to nałożona przez Watykan kara na bp. Tadeusza Rakoczego, byłego ordynariusza diecezji bielsko-żywieckiej, wchodzącej w skład archidiecezji krakowskiej, ponadto oświadczenie ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, że informował kardynała o przypadkach wykorzystywania seksualnego małoletnich przez podległych mu księży, czy w końcu komisja watykańska, która bada te sprawy. To zbyt wiele, by sprawę móc potraktować jako marginalną albo jako owoc jedynie nagonki medialnej.

Tymczasem kardynał przyjął taką linię obrony: atak na mnie to atak na św. Jana Pawła II.

Zaskoczyła Cię informacja o misji kard. Angela Bagnasco w Polsce?

Skoro pod wpływem medialnych oskarżeń sam kard. Dziwisz powiedział, że chciałby, aby została powołana komisja, ponadto domagał się jej szef polskiego episkopatu, to nie dziwi mnie wizyta kard. Bagnasco. Sprawy są na tyle poważne, że traktowanie ich ciągle jako *status quo* gorszy ludzi i niszczy polski Kościół. Pozytywnie zaskoczyło mnie to, że o misji śledczych watykańskich dowiedzieliśmy się dopiero w ostatnich chwilach ich pobytu w naszym kraju. To dowód profesjonalizmu. Gdyby informacja o ich pracy przedostała się do mediów wcześniej, uniemożliwiłoby to im działanie. A tak komisja mogła działać swobodnie także poza strukturami kościelnymi.

Można przypuszczać, że komisja miała dostęp do akt kościelnych?

Kard. Bagnasco działał w imieniu papieża, więc biskupi nie mogli mu odmówić dostępu do akt, tak jak to robią w odniesieniu do Państwowej Komisji ds. Pedofilii.

Sekretarz delegata Episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży ks. Piotr Studnicki na tych łamach tłumaczył, że Sejm – powołując tę komisję – nie wyposażył jej w uprawnienia śledcze. Kościół mógłby się spotkać z oskarżeniem, że przekazuje akta osobom nieuprawnionym.

Nie do końca się z tym zgadzam. To jest zasłanianie się literą prawa. Jeśli co trzeci przypadek badany przez komisję państwową dotyczy duchownego i jeśli – jak sam abp Wojciech Polak mówi – komisja ma te prerogatywy, których nie ma sądownictwo kościelne, to bez współpracy z nią niektóre ofiary nigdy nie dojdą prawdy. Skoro jeden z proszonych przez komisję o akta biskup już je przekazał, nie widzę powodów, by nie robili tego inni. Natomiast praca nad udoskonalaniem funkcjonowania komisji to rzecz państwa, nie Kościoła.

Czy to, że swoim śledczym w Polsce papież uczynił kardynała, ma znaczenie?

Oczywiście. Zwłaszcza jeśli zauważymy, że w latach 2007–2017 był przewodniczącym włoskiego episkopatu, a od 2016 r. jest przewodniczącym Rady Konferencji Episkopatów Europy. Pełniąc te funkcje, ma kontakt z watykańskim Sekretariatem Stanu. Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który 24 czerwca jako pierwszy wspomniał o pobycie waty-

kańskiej komisji w Polsce, w późniejszych wywiadach mówił, że był przepytywany nie tylko o sprawy, których się spodziewał. Zaskoczony był pytaniami dotyczącymi wątków, o których publicznie się nie wypowiadał. Można się domyślać, że zainteresowanie kard. Bagnasco nie zawężało się do działalności kard. Dziwisza w Polsce.

Co można jeszcze powiedzieć o sytuacji kard. Dziwisza?

Oczekiwania wobec niego były wyższe niż wobec innych biskupów – jest spadkobiercą tradycji po Wojtyle. Okazuje się jednak, że te oczekiwania były na wyrost. Kardynał pogubił się zwłaszcza tam, gdzie sprawcami wykorzystania seksualnego małoletnich okazywali się księża jakoś z nim związani, np. znajomi z lat seminaryjnych. Ci znajomi wsparli go, gdy po wielu latach wrócił do Krakowa. Czuł się zatem im dłużny. Wiem jednak z pewnych źródeł i uważam za ważne, by to dla pełni obrazu powiedzieć, że kard. Dziwisz radził sobie z innymi sprawcami, których nie znał, z którymi nie miał powiązań i przez których nie mógł być w żaden sposób manipulowany. Więc nie można mówić, że wszystkie sprawy ignorował.

Znajomi księża, którzy okazywali się oprawcami, byli jednak ważniejsi od ofiar!

Ten schemat powielany był w wielu miejscach przez biskupów. To problem także systemowy. Do 2019 r. nie było przepisów precyzujących karne egzekwowanie odpowiedzialności biskupów. Dopiero Franciszek je wprowadził. Z drugiej strony bezkrytycznie podchodzono do relacji ksiądz–biskup. Podczas święceń ksiądz ślubuje biskupowi posłuszeństwo, a biskup odpowiada ojcowskim wsparciem, uważano zatem, że zdrada jednego księdza jest zdradą całego prezbiterium. Stąd opór przed traktowaniem poważnie przypadków nadużyć.

Niesprzyjającą okolicznością był też fakt, że Jan Paweł II w 1989 r. ↦

ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

Kardynał Stanisław Dziwisz, Kraków, 11 czerwca 2021 r.

↦ mianował nuncjuszem w Polsce Polaka – abp. Józefa Kowalczyka. Pełnił on tę funkcję aż do 2010 r. Ponieważ wszyscy polscy ordynariusze byli znani Kowalczykowi, łatwo było zablokować niewygodne sprawy. Błoto nie było wynoszone poza polski dom. Trzeba było wielkiej odwagi, by nuncjuszowi donieść na swojego ordynariusza. Takie skargi zawsze były odnotowywane i nigdy nie pozostawały bez konsekwencji dla skarżącego.

Jeszcze przed nałożonym przez państwo obowiązkiem zgłaszania do prokuratury każdego znanego przypadku pedofilii zapytałem kard. Dziwisza, dlaczego tych spraw nie powierza państwowym organom. Żachnął się: „W życiu nie podam do prokuratury żadnego mojego księdza! Co by inni księża powiedzieli?”.

To wynika z klerykalnego rozumienia relacji biskup–ksiądz. Ojciec przecież nie poda syna do prokuratury, chyba że chce go wydziedziczyć.

Tyle że ta ojcowska troska biskupa nie obejmowała już ofiar.

To wynika z chorego modelu funkcjonowania Kościoła. Tylko trzeba rozróżnić to, co w rozumieniu Kościoła należy do naszej wiary, od tego, co jest jej zmiennym kontekstem. Wierzymy w Kościół apostolski. Oznacza to, że urząd biskupa jest z Bożego zamysłu. Nie można pomyśleć Kościoła bez episkopatu – byłoby to myślenie niekatolickie. Ale obecny kryzys pokazuje także, że nie można już myśleć o episkopacie w dotychczasowej postaci. Nie wystarczą próby zamiany złych biskupów na dobrych – zostaje wadliwy model.

Potrzebujemy głębokiej reformy episkopalności. Problem w tym, że model dotychczasowego funkcjonowania biskupów w Kościele jest niezwykle trudno zmienić. Zauważmy, z jakim oporem spotyka się próba reformowania przez Franciszka kurii rzymskiej – ciała przecież służebnego. Właściwie dotychczas żadnemu papieżowi poza Grzegorzem VII nie udało się tego w zadowalający sposób dokonać. Zatem można sobie wyobrazić, na jaki opór natrafimy przy próbie reformy episkopatu światowego. Franciszek i tego próbuje – wskazuje na synodalność jako na alternatywę dla klerykalizmu. Przy czym synodalność rozumie nie jako odgórne działanie biskupów posługujących się klerem, tylko jako oddolny ruch zaczynający się od świeckich. To profetyczna wizja. Zderzyć się jednak ona musi z dwoma tysiącami lat kształtowania się hierarchicznej struktury Kościoła, z której do niedawna byliśmy jeszcze tak dumni. Kościół katolicki swoje przetrwanie uzasadniał właśnie konsolidacją władzy. Dzięki niej poradził sobie z symonią, z reformacją czy z roszczeniami państwa do wyznaczania biskupów.

Nie wiadomo, czy Franciszkowi wystarczy czasu. Jest tego świadom i dlatego próbuje kardynalskimi nominacjami przełamać monopol Kościołów europejskich, przyzwyczajonych do monarchicznego myślenia o władzy biskupiej. Chce tak przetasować kolegium kardynalskie, by wybrany przez nie następca podjął jego reformy.

Co Cię zaskoczyło w opublikowanych niedawno danych statystycznych dotyczących przypadków nadużyć w polskim Kościele z lat 2018–2020?

Dane te pokazały, że ofiarami były mniej więcej po połowie dziewczynki i chłopcy. Dotychczas więcej przypadków odnosiło się do chłopców – głównie do adolescentów, stąd pojawiła się interpretacja doszukująca się przyczyn pedofilii w homoseksualizmie. Te badania obalają taką hipotezę. Pokazują natomiast problem z celibatem, który dotychczas był minimalizowany. Dla niemałej grupy sprawców problemem nie jest tożsamość psychoseksualna, tylko niedojrzałość do przeżywania celibatu. Nadmierna jego sakralizacja jest więc czynnikiem ryzyka.

Na ciekawą rzecz zwrócił uwagę ks. Grzegorz Strzelczyk w wywiadzie w kwartalniku „Więź”. Kościół katolicki po reformacji swoje funkcjonowanie oparł na klerze, żeby dać odparcie protestantom. By pokazać uprzywilejowane miejsce kleru między Bogiem a człowiekiem, położono silny akcent na jego świętość. Ale świętość kleru rozumianą jako jego nieskazitelność pomylono z wiarygodnością Kościoła. Ks. Strzelczyk daje przykład takiego podejścia. W czasach, gdy był klerykiem, w kaplicy seminaryjnej był tylko jeden napis: „Bądźcie i wy doskonali, jak Ojciec wasz jest doskonały”. Ukrywa się więc brudy, gdyż podważyłyby one wiarygodność przesłania. Efekt, jak mówi ks. Strzelczyk, jest taki, że mamy „fasadową nieskazitelność i gnicie pod spodem”.

Duchowni zatem funkcjonowali jako „nadludzie”. To się mogło udawać do czasu rewolucji seksualnej. Po niej zachwiała się formacja seminaryjna i tożsamość księdza. Wtedy pojawiają się eksperymenty próbujące znaleźć „trzecią drogę” między celibatem a bliskością duchową, które dzisiaj odczytujemy jednoznacznie jako wykorzystywanie seksualne. Mam na myśli skandal związany z francuskimi dominikanami, braćmi Thomasem i Marie-Dominikiem Philippe, oraz Jeanem Vanier.

Jaka z tego nauka?

W bolesny sposób uczymy się odróżniać to, co pochodzi od Boga, od tego, co Mu przypisaliśmy. Sposób nominacji biskupów nie pochodzi od Boga. Funkcjonowanie episkopatu na zasadzie minimonarchii z boskimi prerogatywami też nie pochodzi od Boga.

Znam ludzi, którzy przestali przychodzić do kościoła tylko z tego powodu, że na mszy przywoływane jest imię biskupa w taki sposób, jakby był kimś nieskazitelnym, wobec którego trzeba być zawsze na klęczkach. Nie do wytrzymania dla nich jest dysonans między taką modlitwą a postępowaniem danego biskupa, który np. obraża ludzi. To nie jest błahy powód absencji!

Widać znaczenie mediów w uwrażliwianiu społecznym. Po projekcjach filmów braci Sekielskich liczba zgłoszeń nadużyć gwałtownie wzrastała.

Abp Wojciech Polak podziękował mediom za ujawnianie nadużyć w Kościele. Zwróćmy uwagę, że przecież nie dziękował mediom kościelnym! Ta fala zgłoszeń, działająca na zasadzie „inni mieli odwagę zgłosić nadużycia, to ja też to zrobię”, skłania do kilku wniosków. Po pierwsze, że ofiar jest więcej, niż ujmują to statystyki. Po drugie, że sprawców jest więcej niż odsiadujących wyroki. I po trzecie, skoro wiele przypadków dotyczy wykorzystywania trwającego miesiące czy długie lata, to należy się domyślać, że biskupów tuszujących przypadki pedofilii jest więcej niż tych badanych czy osądzanych obecnie przez Watykan. Wobec tego dalej mamy wiele trupów w szafie. Na szczęście działają procedury wprowadzone przez Franciszka.

Co z tego, skoro dowiadujemy się np., iż karą za chronienie przez bp. Zbigniewa Kiernikowskiego księdza pedofila jest to, że papież przyjął jego rezygnację z powodu osiągnięcia wieku emerytalnego cztery dni przed terminem?

To oczywiście żadna kara. Ona pokazuje, że kuria rzymska – bo papież sam nie rozstrzyga wszystkich spraw dotyczących biskupów – i nuncjatura boją się działać bardziej stanowczo. Pacjent jest osłabiony, „krwawi" i działaniami bardziej radykalnymi można mu „nieodwracalnie" zaszkodzić – z perspektywy Watykanu wystarczy, że biskup odejdzie na emeryturę w niesławie...

Media nie zauważyły, że biskup płocki Piotr Libera jako pierwszy ordynariusz w Polsce podał statystyki dotyczące księży-pedofilów z lat jego urzędowania, czyli od 2007 r.

To oczywiście chwalebne. Ale bp Libera nie poszedłby na półroczne odosobnienie do kamedułów, gdyby nie miał czegoś negatywnego do zarzucenia sobie samemu w tych sprawach.

Gdy ogłaszał, że poprosił papieża o zwolnienie go z obowiązków na pół roku, tłumaczył to zmęczeniem.

Nie tylko o zmęczenie chodziło. Na jego usprawiedliwienie działa fakt, że zmagał się z kliką po abp. Stanisławie Wielgusie, gdy przejął diecezję, i nie do końca sobie z tym radził. To pośrednio miało wpływ na radzenie sobie z przypadkami nadużyć. Ale fakt opublikowania statystyk należy docenić. Tak powinni robić inni ordynariusze. W końcu wiedza o nadużyciach nie jest „własnością" kurii biskupich. Wierni mają prawo wiedzieć, skoro się to wydarzyło i zawsze dotyczy któregoś z nich w sposób bezpośredni czy pośredni. Takie statystyki też demitologizują rzeczywistość.

W ciągu tych 14 lat 20 księży okazało się sprawcami, co stanowi 1,1 proc. wszystkich księży diecezji płockiej.

Ten wskaźnik jest niski – w niektórych diecezjach na świecie skacze do 4 proc., tyle że obejmuje wtedy znacznie dłuższy okres.

W Płocku jeden fakt jest wyjątkowo wstrząsający: dane są od 2007 r., bowiem żadna sprawa nie była procedowana wcześniej.

Gdyż utajniano je, zamiast rozwiązywać. Na szczęście Franciszek uruchomił uniwersalne w Kościele procedury...

...które objęły nawet byłego sekretarza świętego papieża.

To rzeczywiście wymagało odwagi, bo w tym przypadku Franciszek mierzy się z wielką ikoną, w cieniu której Dziwisz funkcjonuje. Obserwowałem, jak po uroczystości poświęcenia Polski Najświętszemu Sercu Pana Jezusa, która odbyła się w naszej krakowskiej jezuickiej bazylice, grupka księży podeszła do kard. Dziwisza przekazać mu wsparcie. Wielu duchownych nadal uważa, że mamy do czynienia z nagonką na kardynała, i dają temu publicznie wyraz.

Czy jest możliwe powołanie w polskim Kościele niezależnej komisji, podobnej do tej w Niemczech?

Gdyby to było możliwe, Państwowa Komisja ds. Pedofilii, która przecież jako ustanowiona przez PiS jest prokościelna, już otrzymałaby kurialne akta. Polscy biskupi boją się efektu domina, tzn. że będą wychodzić na jaw np. stare fakty, jak współpraca księży z SB. Można też mówić o efekcie strukturalnego zła: gdy biskup zdecydował się kryć jedną ciemną sprawę, to inni wiedząc o tym, mogli go później szantażować. Przykładem kard. Law z Bostonu, który był szantażowany przez swoich księży pedofili, grożących mu, że ujawnią przekręty finansowe i sprawy obyczajowe w diecezji.

GRAŻYNA MAKARA

KS. JACEK PRUSAK jest jezuitą, psychoterapeutą i doktorem psychologii. Kierownik Katedry Psychopatologii i Psychoprofilaktyki w Instytucie Psychologii Akademii Ignatianum w Krakowie.

Czy do pomyślenia jest zatem w Polsce takie rozwiązanie jak w USA, że do kurialnych archiwów wchodzi prokuratura?

Jeśli Kościół nie będzie współpracował z państwowymi organami, to przy zmianie rządu ma to prawie gwarantowane. Nastąpi efekt wahadła – złość na to, że Kościół jest poza i ponad prawem, jest naprawdę duża. Na własne życzenie biskupi przygotowują sekularyzację w wersji hiszpańskiej – w kraju tym Kościół jest w tej chwili upokarzany przez polityków, a zarzuty nie są wyssane z palca.

Czy Twoim zdaniem możliwy jest scenariusz, że usłyszymy o watykańskich karach dla kard. Dziwisza?

Tak, jeśli papież po zapoznaniu się z wynikami śledztwa dojdzie do wniosku, że jest winny zaniedbań. A nie spodziewam się, że jest zupełnie niewinny. Podejście kard. Dziwisza do problemu wykorzystywania małoletnich przez księży w Kościele pokazała mi jego reakcja na mój tekst „Duchowni na kozetce", opublikowany przez „Tygodnik" w 32. numerze z 2004 r. Przedstawiłem w nim m.in. wyniki badań, wskazujących, że większość księży w Stanach Zjednoczonych charakteryzuje niedojrzałość seksualna i że problem z pedofilią nie jest marginalny. Od jednego z jezuitów dostałem z Rzymu komunikat, że Dziwisz jest zaniepokojony moją publikacją, tym bardziej że nie wie, kim jestem, ponieważ dopiero co wróciłem wtedy z trzyletniego pobytu w USA. Był zatem zaniepokojony informacją, że ten problem jest w naszym Kościele „rozdmuchiwany".

Myślę, że bardziej zaniepokoił go fragment o biskupach amerykańskich, którzy znali badania o niedojrzałości księży i nic nie zrobili.

Tę reakcję tłumaczę tak, że Dziwisz widział, iż problem zaczyna wychodzić na światło dzienne, i próbował temu zapobiegać, choćby w taki sposób, żeby o tym w Polsce nie pisać. Wyciszać – to było takie myślenie.

Ostatecznie kardynał jest postacią tragiczną w zestawieniu z Wojtyłą. Główna jego pomyłka polega na myśleniu, iż można świętość Jana Pawła II skopiować. I że ta świętość uratuje go przed jego własnymi „demonami".

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Byliśmy uchodźcami

TEKST I ZDJĘCIA: JACEK TARAN

Żywa Ewangelia jest możliwa wtedy, kiedy spotykamy konkretnych ludzi z ich imionami, historiami, traumami. Wtedy już nie ma znaczenia, skąd są – uważa ks. Grzegorz Michalczyk.

Przed kościołem św. Andrzeja Apostoła w Warszawie, znanym jako kościół środowisk twórczych, zbierają się kobiety z dziećmi. Ich kolorowe, obszerne spódnice odróżniają je od spieszących się mimo niedzieli warszawiaków. Niektóre z nich są w hidżabach, jedna w nikabie – przyciąga to ciekawskie spojrzenia. W kościele trwa jeszcze msza. Z głośnika płyną słowa przypadającej na tę niedzielę Ewangelii: „Z królestwem Bożym dzieje się tak, jak gdyby ktoś nasienie wrzucił w ziemię. Czy śpi, czy czuwa, we dnie i w nocy, nasienie kiełkuje i rośnie, sam nie wie jak" (Mk 4, 26-34).

Kościelna parapetówka

Waha ma 40 lat, jego żona Milana jest nieco młodsza. Do Polski przyjechali jedenaście lat temu z Czeczenii przez Finlandię. Od tej pory ani razu nie byli w ojczyźnie. Przez te lata tułali się po ośrodkach i podnajmowanych kątach. Od sześciu lat mieszkają na warszawskiej Pradze – dwie osoby dorosłe, pięcioro dzieci – na wynajętych 19 metrach kwadratowych. Najmłodsza Mariaszka urodziła się już w Polsce. Waha mówi: – Jak idę spać, to materac pod stołem rozkładam.

Ostatnie sześć lat minęło im nie tylko na życiu w ciasnocie, ale też na urzędowych pielgrzymkach o przyznanie mieszkania komunalnego. Żeby mieszkać w godnych warunkach, musieli przejść sądową batalię. W końcu się udało, sąd administracyjny pierwszej i drugiej instancji przyznał im rację – mieszkanie się należy.

– Na razie mamy maleńką kuchnię, Waha tam śpi, a ja w pokoju z piątką dzieci. Teraz jestem już bardzo, bardzo szczęśliwa – mówi Milana. – Nie mogę się doczekać, kiedy się przeprowadzimy.

Do wyboru mieli dwa mieszkania socjalne: 69 metrów (trzy pokoje) i 97 metrów (cztery pokoje). – Wybraliśmy to większe, bo będziemy mogli do niego też zabrać mamę – mówi Waha.

W Polsce pracuje jako spawacz. Uprawnienia zrobił jeszcze w Czeczenii, a tutaj udało mu się uzyskać polski certyfikat. Dzięki temu może pracować legalnie, i to w swoim zawodzie. W Czeczenii rodzina Wahy była prześladowana. W pierwszej wojnie zabito dwóch braci jego matki. Jego starszy brat walczył w czeczeńskiej partyzantce. – Ja byłem wtedy jeszcze za

Po lewej: Waha, Milana oraz troje z piątki ich dzieci. Warszawa, 13 czerwca 2021 r.

Obok: Czeczeński piknik na placu przed kościołem środowisk twórczych w Warszawie. 13 czerwca 2021 r.

młody do walki, ale pomagałem im dostarczać jedzenie, broń. Potem brat zaginął, nie udało się go odnaleźć, a w drugą wojnę Ruscy przyszli też po mnie. Porwali mnie z mieszkania w Groznym. Przez dwa dni byłem bity i przesłuchiwany. W tym czasie zniszczyli zupełnie moje mieszkanie. Gdy mnie wypuścili, to wpisali w dokumenty, że to była kontrola paszportowa. Dlatego kiedy tylko nadarzyła się okazja, to wziąłem żonę, dzieci i uciekliśmy do Polski. Mojego wujka torturowano sześć miesięcy, a nie brał w ogóle udziału w działaniach wojennych, był ochroniarzem w prywatnej firmie, fabrykę pilnował. Nie chciałem podzielić jego losu.

Siejemy w ramadan

Marina Hulia, działaczka społeczna, laureatka nagrody im. księdza Józefa Tischnera, od lat opiekuje się społecznością czeczeńską w Warszawie. Uczy ich odnajdywać się w nowej ojczyźnie, ale też tego, że chociaż sami niewiele mają, to ciągle mogą się dzielić z tymi, którzy mają jeszcze mniej. Stąd wspólne akcje – dla bezdomnych z altanek działkowych, dla samotnych babć w domach spokojnej starości. Wszędzie tam, gdzie uchodźczynie z Czeczenii mogą zanieść swoją empatię i przyjaźń.

Marina na Facebooku prowadzi profil „Dzieci z Dworca Brześć" – zamieszcza tam relacje ze spotkań, akcji charytatywnych i codziennego życia swoich podopiecznych. – W ramadan zawsze organizowałam zbiórki żywności, darów dla moich Czeczenek w szkołach i teatrach. Był lockdown, wszystko zamknięte, gdzie się starać? Gdzie zbierać? Moja przyjaciółka Wiola z jednej z telewizji powiedziała mi wtedy: „wiesz, jest taki fajny ksiądz w kościele środowisk twórczych przy placu Teatralnym, Grzegorz Michalczyk się nazywa, zadzwoń do niego, on pomoże". Zadzwoniłam i to był strzał w dziesiątkę – wspomina Marina.

Ksiądz Michalczyk ogłosił zbiórkę z ambony. Zebrano mnóstwo jedzenia, słodyczy, jakieś sprzęty do kuchni. Marina się cieszyła: – Moje czeczeńskie córki będą miały ramadan taki, jak nakazuje ich tradycja. Na bogato!

Ziarno zostało zasiane po raz pierwszy.

Lezginka pod kościołem

Teraz nadarza się okazja, by się odwdzięczyć. Waha i Milana dostali od miasta nowe, duże mieszkanie. Będą mogli opuścić swoją ciasną klitkę na Pradze i się przeprowadzić. Milana: – Jak weszłam pierwszy raz, to nie chciałam wychodzić. Administrator zostawił nas samych, oglądaliśmy je prawie godzinę, po dziesięć razy każdy pokój – tu będą dziewczynki, tu chłopcy, tu mama. A najmniejsza Mariaszka jeszcze będzie z nami. 97 metrów to prawie jak pałac!

Msza dobiega końca, ale wierni niezbyt chętnie idą do domu. Ksiądz Michalczyk już ogłosił, że po mszy będzie impreza. Wprawdzie Milana i Waha jeszcze nie mają kluczy, ale parapetówkę można zrobić już teraz. Na placu przed kościołem szybko pojawiają się stoły, a na nich momentalnie wyrastają miski i garnki pełne kaukaskich przysmaków – manty, czepałgasz, chałwa, miodownik, a do tego przepyszne sałaty i sosy. Aktorka Maja Komorowska, która jest stałą uczestniczką mszy w kościele św. Andrzeja, biega pomiędzy ludźmi, rozdaje widelce, chusteczki i nawołuje: „Jedzcie to wszystko, jedzcie, to jest przepyszne!".

Ksiądz ustawia telefon na statywie, ktoś go woła, żeby też się częstował. – Nie mogę, robię relacje na Facebooka, a zaraz kolejna msza – odpowiada. A po chwili, pytany o całe wydarzenie, mówi w biegu: – Czuję się z tym, co się tu dzieje, wspaniale. A jeśli komuś to się nie podoba, to niech znajdzie jakieś argumenty przeciwko. Ja ich nie widzę.

Potem jeszcze zabawa. Chłopcy przynieśli duży głośnik na baterie, łączą go z telefonem. Placyk rozbrzmiewa mocną, skoczną muzyką. To lezginka – kaukaski taniec ludowy. Czeczeńskie tańce są bezkontaktowe, partnerzy nie mogą się dotykać. Kobiety poruszają się delikatnie, niemal płynąc nad ziemią, falując zwiewnie ramionami, a mężczyźni tupią i podskakują, jakby mieli zaraz stoczyć walkę ↦

↦ o serce ukochanej. W szerokim, gęsto stłoczonym kręgu iskrzący taniec i muzyka rozgrzewają spojrzenia. Nikt nie czuje zimnego wiatru, nikt nie patrzy na to, że zbiera się na deszcz. Młodzi Czeczeni zachęcają do tańca też Polaków. Pierwsza przykład daje Maja Komorowska. Tańczy po swojemu, ale bije od niej taka sama radość jak od czeczeńskich mam. Na koniec Milana i Waha dostają od księdza Grzegorza zmywarkę. Urządzenie mieści się w kopercie i złożyli się na nią członkowie wspólnoty kościoła środowisk twórczych. Łzy wzruszenia płyną po obu stronach. Ziarno zostało zasiane po raz drugi.

Zbieramy plon

Ks. Grzegorz Michalczyk wspomina swoje pierwsze spotkanie z Mariną i grupą czeczeńskich mam. – O grupie „Dzieci z Dworca Brześć" i historii mam z Czeczenii słyszałem już wcześniej. Kiedy Marina zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc na ramadan, to bardzo się ucieszyłem. Chciałbym, żeby ta nasza współpraca się na tym nie skończyła, tylko żeby to było coś trwałego – bo na takim spotkaniu zyskują obie strony. Mam bardzo dobre zdanie o wiernych, którzy przychodzą do naszego kościoła, ale i tak ich hojność i entuzjazm mnie niesamowicie zaskakują.

Ksiądz Michalczyk zapewnia, że czuje się niezręcznie, kiedy podziękowania składa się tylko jemu. – Zasługują na nie wszyscy, którzy przychodzą do tego kościoła. To przecież zupełnie normalne, że bliźni sobie pomagają. Jeśli ktoś uważa, że takie wydarzenie jest czymś nadzwyczajnym, to znaczy, że nie jest dobrze – dodaje ksiądz Grzegorz. – To, czy ktoś jest katolikiem, czy muzułmaninem, czy niewierzącym, jest kwestią w tym kontekście nieistotną. Problem pojawia się wtedy, kiedy człowiekowi wyłącza się racjonalna ocena rzeczywistości, a włącza strach. To jest bardzo smutne, że strachu używa się jako broni w walce politycznej, bo to zamyka w nas ufność. I w momencie, kiedy ktoś słyszy hasło „czeczeńscy muzułmanie" i ma przed oczami wykreowane obrazy dżihadystów, którzy marzą o tym, żeby podrzynać gardła chrześcijanom, to nie jesteśmy w stanie racjonalnie ocenić rzeczywistości. Dopiero gdy spotykamy żywego człowieka, rodzą się więzi, a wyobrażenia przepadają. Spotykamy konkretnych ludzi z ich imionami, historiami, często z traumami. Wtedy już nie ma znaczenia, skąd są. I to jest żywa Ewangelia.

W Czeczenii rodzina Wahy była prześladowana.
W pierwszej wojnie zabito braci jego matki.
W drugiej przez dwa dni był bity i przesłuchiwany.

Po chwili dodaje: – Pan Jezus nie dzielił ludzi na tych, którzy pochodzą stąd lub stamtąd, tylko mówił o miłości do wszystkich. Jeśli w tym świecie Kościół katolicki nie będzie znakiem takiej miłości, to kto ma być? Pan Bóg działa przez innych ludzi, działa przez okazje, które stwarza. Ważne jest, żeby dostrzegać szansę na wprowadzenie Ewangelii w życie. Przecież gdyby nie Marina, to może to wszystko u nas też by się nie zadziało. Można te okazje wykorzystać lub zmarnować, a ja jestem przekonany, że nam udało się je dobrze wykorzystać.

W Polsce jak w domu

Milana i Waha ze wzruszeniem pakują prezenty. Na przeprowadzkę muszą poczekać jeszcze kilka tygodni. Trzeba dopiąć formalności, podpisać umowy, spisać protokół przekazania mieszkania. Ale już teraz są wdzięczni za to, co spotyka ich w Polsce.

– Ja na tych dziewiętnastu metrach pod stołem czuję się lepiej niż w Czeczenii – mówi Waha. – Nic tu nie grozi mojej rodzinie, nikt mnie nie chce torturować. Z Polakami żyję w zgodzie. Jak się jest pracowitym i uczciwym, to z każdym można dobrze żyć. Mam nadzieję, że dożyję czasu, że Czeczenia będzie niepodległym państwem, wtedy chciałbym tam wrócić. Na razie się boję – niedawno pojechał tam syn mojego kuzyna i od razu trafił do więzienia. Bardzo chcę podziękować Polakom za przyjaźń i pomoc. Nie czuję się już uchodźcą, czuję się tutaj jak w domu. Mój syn uprawia sport, jest zapaśnikiem, jeździ na mistrzostwa Polski, Europy i ma duże sukcesy – w Czeczenii to nie byłoby możliwe.

©℗ JACEK TARAN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

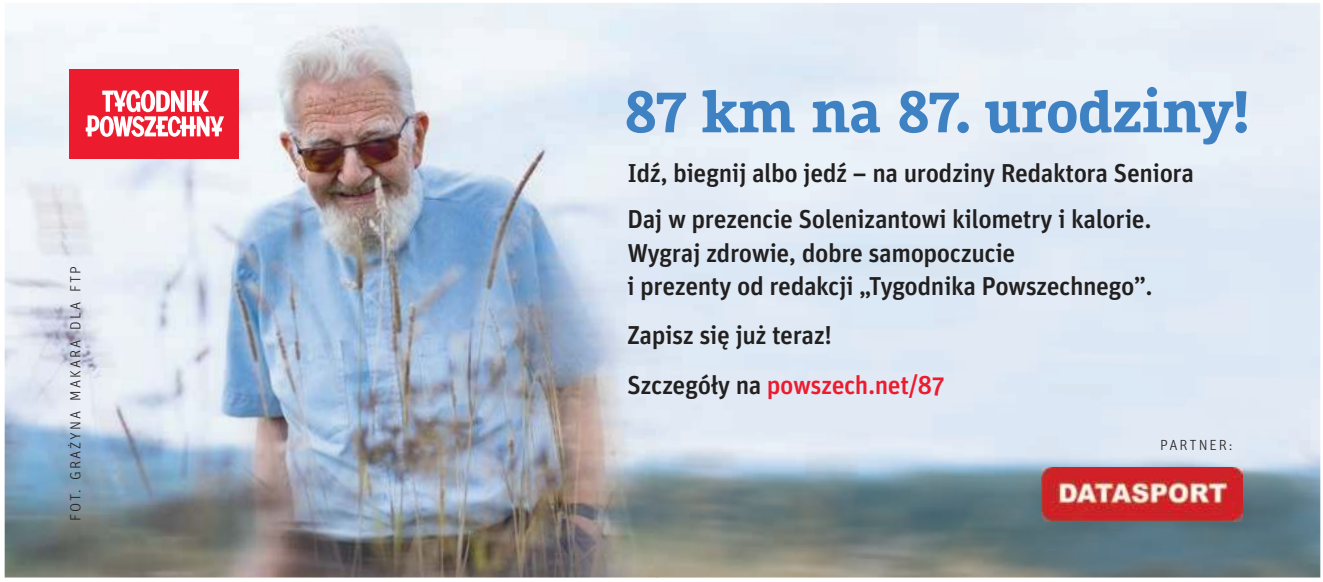

FOT. GRAŻYNA MAKARA DLA FTP

SEBASTIAN GOLLNOW / DPA / AFP / EAST NEWS

Anna-Nicole Heinrich, przewodnicząca XIII Synodu Kościoła Ewangelickiego w Niemczech. Frankfurt nad Menem, maj 2021 r.

Młoda i rozważna

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Niemieccy ewangelicy zmagają się z masowym odpływem wiernych. Nadzieje pokłada się w 25-letniej studentce, którą wybrano na nową twarz Kościoła.

Jakich kompetencji potrzebuje osoba, która chciałaby kierować organizacją skupiającą ponad 20 mln członków? Jakie pozycje powinny znajdować się w CV kogoś, komu oddaje się decydujący głos w parlamencie decydującym o rocznym budżecie w wysokości kilku miliardów euro? Najnowsza historia zza Odry wskazuje, że w obu przypadkach wystarczy doświadczenie pracy w: a) lokalnej knajpie, b) jako ratowniczka na basenie i c) jako asystentka na uniwersytecie. Takie doświadczenie zawodowe posiada na swoim koncie Anna-Nicole Heinrich, która w maju tego roku została wybrana prezeską Synodu Kościoła Ewangelickiego w Niemczech (EKD).

Heinrich ma 25 lat. Mieszka i studiuje filozofię w Ratyzbonie. Trudno nie powtórzyć za niemieckimi mediami słowa „symboliczne" i „rewolucyjne", które często pojawiają się w opisach decyzji kościelnych delegatów. Studentka bez doświadczenia stanie na czele Synodu, kościelnego parlamentu, który decyduje o finansach i uchwala nowe przepisy. Będzie obok przewodniczącego Rady Kościoła Heinricha Bedforda-Strohma najważniejszą twarzą i najczęściej słuchanym głosem ewangelików w Niemczech. Ale członkowie Kościoła, którzy liczą, że prezeska będzie połączeniem Grety Thunberg z Marcinem Lutrem, mogą poczuć się zawiedzeni. Heinrich po wyborze sygnalizuje, że nie zamierza bić w rewolucyjne dzwony, a raczej uderzać w spokojne tony pragmatyzmu i kompromisu.

Kandydatura niepartyjna

Wiek i brak doświadczenia nowej prezeski wywołał początkowo szok. W szczególności na tle 78-letniej Irmgardy Schwaetzer, która dotychczas sprawowała tę funkcję, Heinrich prezentuje się niemal jak dziewczynka. Natomiast nowo wybrana zrywa nie tyle z tradycją obsadzania osób sędziwych, co przede wszystkim z politycznym zaangażowaniem dotychczasowych władz EKD. Była już prezeska Schwaetzer, która pełniła tę funkcję od 2013 r., była przez wiele dekad aktywną polityczką i posłanką liberalnej Wolnej Partii Demokratycznej. Jeszcze przed nią urząd ten sprawowała Katrin Göring-Eckardt, prominentna polityczka Zielonych, która obecnie przez niektórych obserwatorów niemieckiego życia politycznego typowana jest na przyszłą prezydent Niemiec. Co zresztą tylko wpisywałoby się w tradycję kościelnych struktur, bo pierwszy powojenny prezes Synodu Gustav Heinemann był politykiem Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, a w drugiej połowie lat 60. XX wieku został prezydentem Niemiec.

Łączenie zaangażowania partyjnego i funkcji w strukturach Kościoła ewangelickiego w Niemczech nie jest więc niczym nadzwyczajnym. Także trzej ostatni ↦

↦ przewodniczący Rady EKD to posiadacze partyjnych książeczek socjaldemokratów. Mieszanie się religii i polityki szczególnie w ostatnich latach było przez część wiernych krytykowane. Polityczno-kulturowe spory wokół polityki migracyjnej czy legalizacji związków jednopłciowych podzieliły społeczność ewangelicką, a władzom Kościoła niejednokrotnie zarzucano zbytnie zblatowanie z lewicowo-zieloną opcją polityczną. W tym sensie Heinrich zrywa z długą tradycją, bo do żadnej partii nie należy. Z drugiej strony, już pierwsze jej wypowiedzi – na temat obowiązku ratowania uchodźców na Morzu Śródziemnym (EKD finansuje jeden ze statków, który się tym zajmuje), wyrównywania szans dla obu płci w Kościele czy dla działań na rzecz ochrony klimatu – stawiają ją raczej po stronie progresywnego skrzydła ewangelików.

Szkolne spotkanie z wiarą

Również jej historia rodzinna nie pasuje do tradycyjnych biografii synodalnych prezesek i prezesów. Jej rodzice wychowali się w satelickiej wobec Związku Sowieckiego Niemieckiej Republice Demokratycznej (NRD). W najbardziej zlaicyzowanym kraju Układu Warszawskiego rodzice Anny-Nicole oddychali duchem ateizmu. „U mnie w domu nie modlono się, nikt mi jako dziecku nie czytał Biblii" – Heinrich wspomina dzieciństwo w niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Die Zeit".

O kontakcie z religią zdecydował jednak pośrednio właśnie ruch rodziców. A dokładniej ich przeprowadzka do Bawarii. W tradycyjnie religijnym landzie Niemiec nie było innej opcji. Ich córka musiała zapisać się na szkolne zajęcia z religii. Jedyne pytanie brzmiało, czy na prowadzone przez katolików, czy ewangelików. Nowa prezeska wspomina moment decyzji jako wybór pomiędzy wypełnioną klasą katolików a zajęciami dla garstki ewangelików w mniejszej sali, gdzie zamiast w ławkach, siedziało się w kółku i można było bawić się samochodzikami. W ten dość przypadkowy i intuicyjny sposób Anna-Nicole wybrała swoją konfesję.

Mniej wiernych, mniej pieniędzy

W strukturach Kościoła ewangelickiego nie jest jednak kimś zupełnie nieznanym. Już jako nastolatka angażowała się w lokalnej parafii w rodzinnym Nittenau. Dostęp do najważniejszych gremiów uzyskała w 2017 r. Protestanci na całym świecie świętowali wtedy 500-lecie Reformacji. Niemieccy ewangelicy z okazji jubileuszu stworzyli tzw. „zespół przyszłości", który miał przygotować plan na dalszy rozwój Kościoła. Problemem było jednak, że zaproszeni do tworzenia dokumentu mieli już grubo ponad pięćdziesiątkę na karku. I z tego powodu do grupy najważniejszych postaci EKD doproszono Annę-Nicole Heinrich.

Jednym z największych wyzwań zidentyfikowanych przez zespół jest masowa utrata wiernych. W 2019 r. do EKD należało 20,7 mln Niemców (do Kościoła katolickiego 22 mln). Obie konfesje obejmują więc jeszcze lekko ponad połowę całej 83-milionowej populacji największego kraju Europy. Z tzw. „projekcji 2060", badań wspólnie przeprowadzonych przez oba Kościoły, wynika, że liczba wyznawców dwóch Kościołów skurczy się w roku 2035 do 34 mln. W 2060 r. wiernych pozostanie 22,7 mln, a więc licząc od dziś spadnie o blisko połowę. A i to może się okazać nazbyt optymistyczną rachubą. Tylko w 2019 r. Kościół ewangelicki opuściło 270 tys. osób, a 370 tys. wiernych zmarło. W jeden rok znika ponad pół miliona osób. To oznacza rychłe problemy finansowe, bo przynależność do Kościoła jest u naszego zachodniego sąsiada połączona z podatkiem kościelnym, który zasadniczo wynosi 9 proc. podatku dochodowego.

„W Niemczech młodzi ludzie tak szybko, jak dostają swoje pierwsze rozliczenie podatkowe, decydują się na opuszczenie Kościoła" – Heinrich tłumaczyła problem świeżo po wyborze na prezeskę Synodu. Jej diagnozę potwierdzają dane wspólnot. Wśród decydujących się na wyjście z Kościoła najwięcej jest osób w przedziale wiekowym 25–29 lat. W Niemczech odejście jest bardzo proste i sprowadza się do zaniesienia kilku dokumentów do odpowiedniego pokoju w urzędzie miejskim oraz uregulowania opłaty administracyjnej.

Inną specyfiką członków obu Kościołów chrześcijańskich w Niemczech jest to, że liczba członków, czyli *de facto* osób płacących podatek kościelny, nie oznacza, że są to osoby prowadzące świadome życie duchowe według reguł wynikających z przynależności do danej wspólnoty. Dominuje laicka ambiwalencja, którą widać w wewnętrznych statystykach. Tylko kilka procent z ponad 20 mln niemieckich protestantów bierze stale udział w niedzielnych nabożeństwach i są to głównie osoby starsze – wynika z rachunków EKD.

Pierwsza wśród równych

Właśnie w przygotowaniu się na wyzwania przyszłości ma pomóc Anna-Nicole Heinrich. Nowa prezeska chce poszukiwać nowych środków finansowania poza podatkami i budować bardziej elastyczne struktury, które zastąpią w przyszłości wymierające parafie. Coraz większe znaczenie mają mieć spotkania w sieci. A kompetencje Heinrich w tym obszarze mogą najlepiej tłumaczyć jej wybór. W ostatnich latach bardzo angażowała się w rozwój cyfrowych usług dla Kościoła. Współorganizowała wydarzenia, na których m.in. tworzono aplikacje umożliwiające wiernym spotykanie się w sieci. Jak bardzo jest to potrzebne, pokazała pandemia. To właśnie w erze lockdownów i zamkniętych świątyń cyfrowe pomysły inicjowane przez Heinrich zaczęły wzbudzać zainteresowanie władz EKD.

W pierwszych wypowiedziach Heinrich dużo mówi też o potrzebie uproszczenia języka, jakim posługuje się Kościół. Nie przez przypadek studentka z Ratyzbony jeszcze przed wyborem promowała projekt „Basisbibel", czyli nowe wydanie Biblii w uproszczonym i uwspółcześnionym przekładzie.

Nowa prezeska Synodu bardzo ostrożnie formułuje cele na 6-letnią kadencję: zadbanie o finanse, ekumenizm, dalsze wyjaśnianie skandali seksualnych z udziałem protestanckich duchownych – nakreśla oczywiste wyzwania stojące przed całą wspólnotą. Zastrzega, że przed formułowaniem konkretniejszych wizji chce rozmawiać z pozostałymi członkami Synodu, aby uwzględnić ich zdanie. Swoją rolę określa łacińską sentencją *Primus inter pares*, co oznacza „pierwszego wśród równych sobie". Obserwatorzy doceniają, że pomimo raczej lewicowych przekonań potrafiła przekonać do siebie konserwatywne skrzydło niemieckich ewangelików z Wirtembergii zrzeszone pod nazwą „Żywa wspólnota".

Z pewnością z wytyczaniem nowych kierunków Anna-Nicole Heinrich poczeka do jesieni, kiedy wybrany zostanie też nowy przewodniczący Rady. Czas przemian w niemieckim Kościele ewangelickim dopiero się zaczyna.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

WOJCIECH

Bonowicz:
O ostrożności

Z błyskotliwymi myślami trzeba uważać, bo zawsze mogą stać się cudzą własnością. Ma się takich myśli niewiele, czasem dwie, trzy na całe życie, więc tym bardziej żal. Nie dziwmy się inteligentnym mrukom – ostrożnie niosą dzban swojej inteligencji, nie gubiąc po drodze ani kropli.

Oczywiście, zdarzają się ludzie szczodrzy i wolni, którzy dzielą się tym, co przyjdzie im do głowy, niczego w zamian nie oczekując. Ludzi takich przyjemnie jest obserwować: jak zapalają się w rozmowie, jak ich oczy zaczynają błyszczeć, jak szybko i z nonszalancją wyrzucają z siebie sformułowania, które warto by zapisać, a po chwili sami już nie pamiętają, co mówili, i jeśli nikt tego nie utrwalił, to przepadło. Ludzie szczodrzy nigdy nie żałują, że czegoś nie zapisali. Za chwilę pojawi się nowa myśl, czy będzie przenikliwa, to się okaże, jeśli nie, zjawi się kolejna. Myślę tu o ludziach-gejzerach – nie spotyka się ich często, znacznie łatwiej trafić dziś na kogoś, kogo myślenie męczy. Nawet osobnicy elokwentni coraz częściej sprawiają wrażenie zmęczonych własną elokwencją. Ludzie-gejzery zdają się nigdy nie męczyć, myślenie traktują jako czynność wyzwalającą, oddanie nadmiaru energii.

Ale nam, którzy energii mamy mniej, którym wpadnięcie na myśl jeśli nie odkrywczą, to jako tako oryginalną zajmuje więcej czasu – rozsądek nakazuje roztropność. Zwłaszcza że kręcą się pomiędzy nami łowcy takich przypadkowo rzucanych myśli. Nigdy nie wiadomo, kto w towarzystwie notuje ani co zrobi z tym, co zanotowane. O pewnym sławnym krytyku literackim opowiadano, że z cudzych konceptów zbudował niejeden tekst, który chwalono potem za interpretacyjną przenikliwość. Kiedyś podobno wykorzystał oryginalny pomysł skradziony pewnej studentce; plotka głosi, że gdy ta w szkicu znakomitego autora ze zdumieniem odkryła własne intuicje, którymi nieopatrznie się z nim podzieliła, przypłaciła to załamaniem nerwowym. Nie podejmuję się rozstrzygnąć, czy ów krytyk rzeczywiście pasożytował na młodzieży bardziej niż inni, ale przypominam sobie, co opowiadał mi przed kilku laty Piotr Matywiecki. Mianowicie spotkał kiedyś owego krytyka na ulicy i ten zapytał go: „Co pan teraz robi?”. „Piszę o Tuwimie”, odpowiedział Matywiecki. „A o czym?”, dopytywał krytyk. „O teatrze kukieł”. „O, to ciekawe”, ucieszył się krytyk, „a w których wierszach?”. A na to Matywiecki: „Nie powiem panu, bo pan kradnie”.

Miałem pisać o czym innym, ale nagle przyplątał mi się ten przykład i teraz nie wiem, co zrobić. Coś, co miało być ogólną refleksją, nagle zostało przyszpilone konkretną sceną do jednego miejsca. A przecież nie chodzi o jednego krytyka (mniejsza z tym, którego) i jedno miejsce – chodzi o spostrzeżenie raczej syntetyczne, mające walor nieostrości, a przez to pasujące do różnych sytuacji. Staram się mój felieton tak właśnie prowadzić, rzadko komu osobiście dopiekając. Oczywiście, czasem zjawia się pokusa, żeby jakieś osobiste porachunki tu załatwić. Tyle że jest to w moim przypadku pokusa słaba, niemająca żadnej siły uwodzenia: ja osobistych porachunków w zasadzie nie miewam, ja każdemu potencjalnemu przeciwnikowi z góry odpuszczam, co nie znaczy, że każdemu od razu podam rękę...

Zacznijmy zatem od początku: z błyskotliwymi, oryginalnymi myślami trzeba uważać. Nie wiadomo, co się stanie, kiedy ktoś je pochwyci, a potem puści w obieg. Kradzież da się wprawdzie udowodnić w sądzie, ale w przypadku rzeczy tak ulotnej jak myśl rzucona mimochodem jest to zadanie karkołomne. Lecz nasza lekkomyślność może mieć też inne skutki: może się zdarzyć, że myśl swoją napotkamy tam, gdzieśmy się jej nie spodziewali, a nawet sobie nie życzyli. Ha, może być wręcz tak, że oberwiemy własną myślą, nie przypuszczając, iż tak łatwo nadać jej znaczenie przeciwne do tego, któreśmy zamierzyli.

A inna sprawa, że nawet z najpiękniejszego zdania można niechcący zrobić pośmiewisko. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Kozienicach pod sygn. akt I Ns 39/20 toczy się postępowanie wszczęte na wniosek Mieczysława Bieńka o stwierdzenie, że Mieczysław i Helena małżonkowie Bieniek nabyli przez zasiedzenie na zasadzie wspólności majątkowej małżeńskiej z dniem 4 listopada 2001 r. własność nieruchomości położonej w miejscowości Studnie, gmina Głowaczów, powiat kozienicki oznaczonej w ewidencji gruntów jako działki nr: 523, 524 i 525 o łącznej powierzchni 0,55 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności właścicieli nieruchomości albo ich następców prawnych, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i wykazali swoje prawa do nieruchomości. Jeżeli w zakreślonym terminie nikt się nie zgłosi lub zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd uwzględni wniosek, o ile zostanie on udowodniony.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 92/20 z wniosku Wojciecha Słomińskiego toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Zielińskiej (c. Michała Słomińskiego i Anieli z d. Obst), urodzonej dnia 30 lipca 1934 r. w Lublinie, zmarłej 27 lipca 2009 r. w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałej w Chełmie.

Wzywa się wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia stawili się do Sądu i udowodnili swe prawa do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

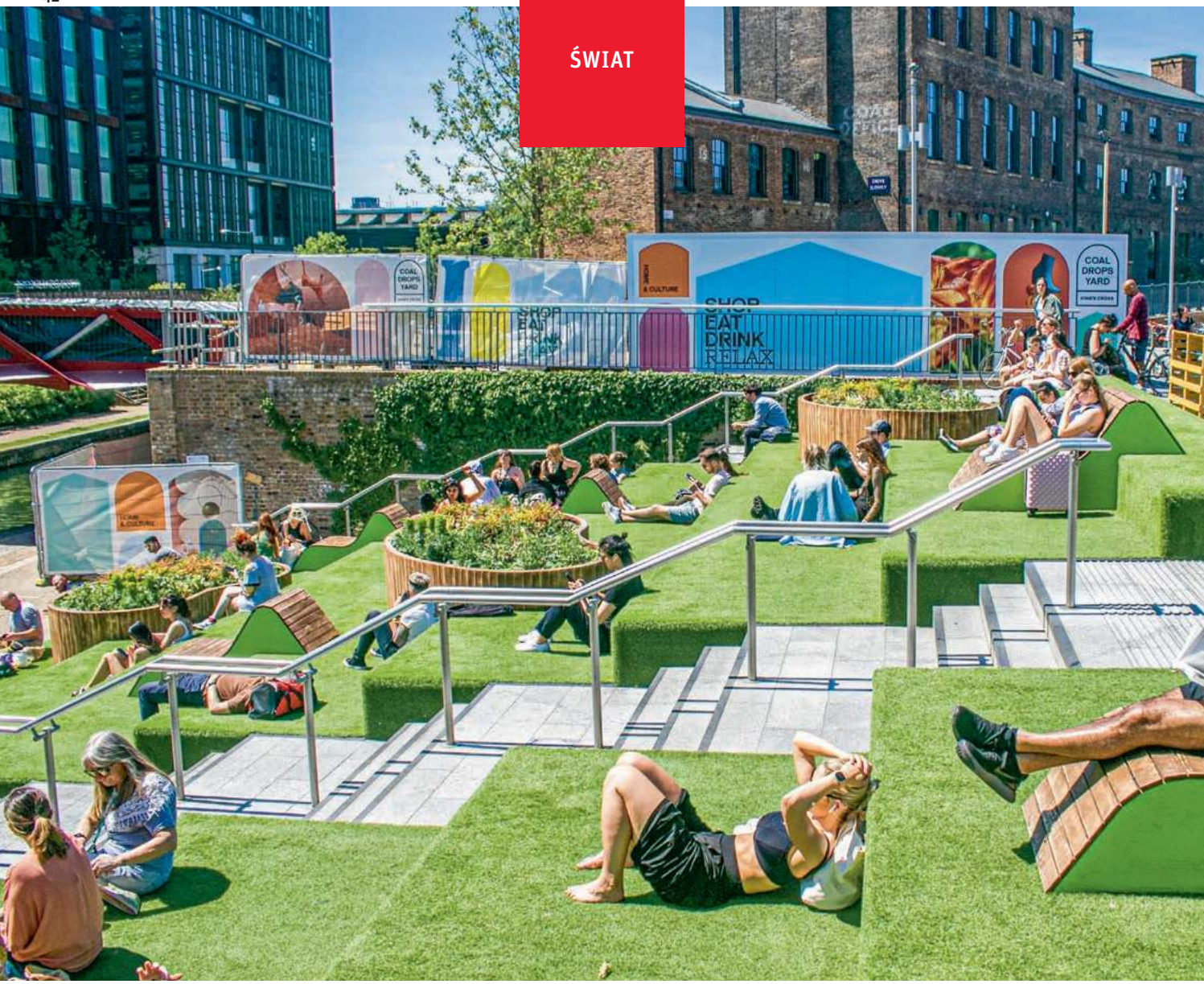

LATO W CIENIU DELTY

Europa przygląda się uważnie Wielkiej Brytanii: kraj mogący pochwalić się najwyższym na kontynencie odsetkiem zaszczepionych zmaga się z nową falą epidemii.

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Bardzo oczekiwano na to, jakie będą jego pierwsze słowa. I trzeba przyznać, że Sajid Javid trochę zaskoczył. „Ograniczenia naszej wolności muszą się zakończyć" – mówił zdecydowanym tonem podczas wystąpienia w parlamencie nowy minister zdrowia Wielkiej Brytanii. Potwierdził też datę zniesienia restrykcji: poniedziałek 19 lipca.

Wcześniej ten moment, nazwany nieco pompatycznie Dniem Wolności, planowano na 21 czerwca, ale przesunięto o miesiąc. Powód: coraz bardziej szerząca się na Wyspach nowa w Europie mutacja koronawirusa, przez WHO nazwana Deltą, a wcześniej określana mianem indyjskiej (gdyż po raz pierwszy stwierdzono ją w Indiach).

AMER GHAZZAL / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

Nad Regent's Canal w północnym Londynie, czerwiec 2021 r.

Javid przyznał przy tym uczciwie, że żaden termin zniesienia obostrzeń nie będzie całkowicie wolny od ryzyka, i że z covidem trzeba się po prostu nauczyć żyć. To zmiana w ostrożnej do tej pory polityce luzowania restrykcji na Wyspach.

Brytyjski poligon

Sajid Javid objął resort zdrowia 26 czerwca, z dnia na dzień – po tym, jak obyczajowo-epidemiczny skandal zmiótł jego poprzednika Matta Hancocka ze sceny politycznej, przynajmniej na jakiś czas. Kamera w ministerstwie uwieczniła, jak Hancock, mężczyzna żonaty, obejmuje i całuje się w biurze ze swoją współpracowniczką Giną Coladangelo. Wygląda na to, że ktoś postarał się, aby zdjęcia trafiły do jednego z tabloidów.

W dniu, gdy Sajid Javid występował w parlamencie i zapowiadał nieco buńczucznie powrót do normalności, w pełni zaszczepionych było już prawie 62 proc. dorosłych Brytyjczyków, a niemal 85 proc. dorosłych otrzymało co najmniej jedną dawkę szczepionki (licząc w skali całej populacji było to, odpowiednio, ok. 49 proc. i ok. 67 proc.). W poprzednich dniach, w ramach weekendowej akcji „Łap szczepionkę", do setek tymczasowych punktów szczepień ustawiały się kolejki młodych ludzi: zaszczepić mógł się w nich każdy, kto ukończył 18 lat, bez konieczności wcześniejszej rejestracji.

Równocześnie dzienna liczba nowych zakażeń od połowy maja ponownie pnie się dość gwałtownie w górę: o ile 15 maja odnotowano tylko 2 tys. nowych infekcji, o tyle w połowie czerwca było to już ok. 10 tys., a 30 czerwca już ok. 26 tys., cały czas z tendencją rosnącą. Za ogromną większość z nich odpowiada mutacja Delta.

To zła wiadomość. Towarzyszy jej pozytywna: ten wzrost na razie nie przekłada się na – jak działo się to wcześniej – równie proporcjonalny wzrost liczby hospitalizacji i zgonów. Od połowy kwietnia na Wyspach na covid umiera codziennie średnio kilkanaście osób. Ale tu mamy znów wiadomość złą: wśród umierających są osoby zaszczepione, które powinny być chronione przed ciężkim przebiegiem covidu.

W Wielkiej Brytanii na dużą skalę stosuje się szczepionkę produkcji brytyjsko-szwedzkiego koncernu AstraZeneca, która, jak wiadomo, daje nieco mniejszą ochronę przed zachorowaniem niż szczepionka konsorcjum BioNTech/Pfizer (przy czym dla 40-latków i osób młodszych zalecane są tutaj Pfizer lub Moderna). Obie te szczepionki mają wysoką, ponad 90-procentową skuteczność, jeśli chodzi o ochronę przed ciężkim przebiegiem choroby i hospitalizacją w przypadku zakażenia Deltą.

Doprawdy, jest dość powodów, dla których Europa może patrzeć dziś na Wyspy Brytyjskie jak na „poligon" dla mutacji Delta.

Hipokryzja publicznie ujawniona

Gdy jeszcze był ministrem zdrowia, Matt Hancock nie miał w ostatnich tygodniach dobrej passy: na niewątpliwym sukcesie, jakim jest tutaj akcja szczepień – i wcześniejsze opanowanie trzech poprzednich fal epidemii – cieniem położyły się oskarżenia formułowane przez Dominica Cummingsa, byłego doradcę premiera Borisa Johnsona. W maju, zeznając przed parlamentarną komisją, zarzucił on Hancockowi niekompetencję i kłamstwa.

Potem Cummings, wyraźnie celebrujący swoją osobistą zemstę, dorzucił kolejne rewelacje, ujawniając, że premier miał rozważać usunięcie Hancocka ze stanowiska, gdyż miał oceniać go jako „beznadziejnego". Ostatecznie jednak do dymisji ministra zdrowia doprowadził wspomniany już skandal. Początkowo minister nie zamierzał rezygnować ze stanowiska, ale ugiął się pod presją – opinii publicznej, a przede wszystkim innych polityków Partii Konserwatywnej.

Powszechne oburzenie wzbudził tu nie tyle obyczajowy (fakt, że minister jest żonaty), lecz przede wszystkim epidemiczny aspekt jego romansu. Obejmując swoją współpracowniczkę, Hancock złamał restrykcje, które wcześniej sam narzucił Brytyjczykom. Ludzie, którym do niedawna nie było wolno przytulić swoich bliskich (o ile nie dzielili z nimi jednego gospodarstwa domowego), pocieszyć ich w trudnych chwilach czy nawet odwiedzić w ich domu, odebrali opublikowane zdjęcia w ten sposób, że zasady owszem są, ale nie obowiązują wszystkich. W czasach epidemii taka hipokryzja, a w każdym razie hipokryzja ujawniona publicznie, okazuje się grzechem nie do wybaczenia.

Lista pytań dotyczących byłego już szefa resortu zdrowia jest zresztą dłuższa i dymisja, wbrew życzeniu premiera, niczego tu nie zamyka. Kwestionowany jest np. tryb zatrudnienia Giny Coladangelo, na jaw wychodzą też inne sprawy, jak korzystanie z prywatnego adresu mailowego w sprawach służbowych (niefrasobliwość, jak widać, dotycząca nie tylko niektórych polskich polityków).

Trochę energii na ciężki czas

Balast ciążący na poprzedniku nie jest jednak problemem Sajida Javida: on wkracza na odcinek walki z pandemią, nieobciążony błędnymi wyborami Hancocka. ↦

51-letni Javid – prywatnie syn imigranta z Pakistanu – nie jest też w polityce nowicjuszem. Wręcz przeciwnie, to stary wiarus Partii Konserwatywnej. W przeszłości bywał już ministrem kultury, biznesu, spraw wewnętrznych, a nawet finansów (tę ostatnią funkcję piastował w gabinecie Johnsona; odszedł z niego tuż przed pandemią w lutym 2020 r.).

Teraz od pierwszych chwil na nowym stanowisku pokazuje, że to całkowicie nowe rozdanie. Na fali entuzjazmu – odczuwalnego również wśród jego partyjnych kolegów – przekonywał, że dzień 19 lipca to „początek nowej ekscytującej podróży naszego kraju", a za swoje najważniejsze zadanie uznał „pomoc w powrocie do gospodarczego i kulturalnego życia, które czyni ten kraj tak wielkim".

Oczywiście Sajid Javid nie omieszkał podkreślać, że jego zadaniem jest też ochrona życia i zdrowia obywateli, bo pandemia w Wielkiej Brytanii się nie zakończyła. Restrykcje trwają jednak już tak długo, a kolejne terminy i obietnice ich luzowania tak często nie były dotrzymywane, że teraz wszyscy potrzebują trochę optymizmu i energii.

Javid jest zdeterminowany, aby nie zawieść, ale zadanie przed nim wyjątkowo trudne – skoro najbliższe miesiące upłyną w cieniu mutacji Delta. A jakby tego nie było dość, lista problemów brytyjskiego systemu ochrony zdrowia jest długa: wypalenie zawodowe wielu pracowników, braki w personelu, a przede wszystkim długie kolejki pacjentów.

Chrzest bojowy

Powyższą wyliczankę można zresztą ciągnąć – i nie ma w niej ani krzty przesady.

I tak, w Anglii na planową operację czy planowe leczenie w szpitalu czeka obecnie rekordowa liczba 5 mln osób. Z tego niemal 2 miliony czekają już ponad 18 tygodni (dane z kwietnia 2021 r.). Średni czas oczekiwania to 11 tygodni, wciąż prawie cztery tygodnie dłużej niż przed pandemią.

Po chwilowej poprawie znowu wydłużył się też czas oczekiwania na wizytę u specjalisty dla osób ze zdiagnozowaną chorobą nowotworową. Zapewne ma to związek z coraz większą liczbą pacjentów zgłaszających się na badania; wcześniej odkładali je z obawy przed koronawirusem. W kwietniu na przyjęcie u onkologa w ciągu dwóch tygodniu od pilnego skierowania od lekarza rodzinnego mogło liczyć 85 proc. chorych, podczas gdy w maju 2020 r. było to 93 proc. Różnica może wydawać się niewielka, ale – jak komentował ostatnie angielskie statystyki Chaand Nagpaul, szef rady Brytyjskiego Towarzystwa Medycznego (British Medical Association) – te liczby „nie są tylko numerami w tabelce, ale prawdziwymi ludźmi cierpiącymi ból, zaniepokojonymi tym, że nie wiedzą, kiedy uzyskają pomoc".

Podobna sytuacja panuje w innych krainach Zjednoczonego Królestwa. W Walii na planowy zabieg bądź leczenie czeka już ponad pół miliona ludzi – to 17 proc. populacji tego kraju (w tym ponad 200 tys. czeka już przeszło dziewięć miesięcy). Przed pandemią, w lutym 2020 r., na zabieg kardiologiczny tak długo czekały jedynie 252 osoby; rok później już prawie 4,5 tys. osób.

Zdaniem doktora Nagpaula uporanie się z tymi problemami będzie dla nowego ministra zdrowia chrztem bojowym. Przy czym najtrudniejszym wyzwaniem może okazać się wyczerpany do granic ludzkich możliwości personel medyczny. Wielu lekarzy zapowiada, że chce odejść z pracy lub już to zrobiło. Nie będzie miał ich kto zastąpić, bo i tak już w wielu miejscach są wakaty. Np. w Anglii brakuje ponad 80 tys. osób personelu medycznego, w tym 38 tys. pielęgniarek.

Delta kontra szczepionki

Po dramatycznie wysokiej fali zakażeń covidem na początku tego roku Wielka Brytania opanowała sytuację dzięki ścisłym restrykcjom i zakrojonej na olbrzymią skalę akcji szczepień. Jak wspomniano, w kwietniu i maju w 67-milionowym kraju notowano już tylko ok. 2 tys. nowych infekcji dziennie – niewiele w porównaniu z ponad 50 tys. dziennie w styczniu. Wyspy zaczęły się powoli otwierać, co kilka tygodni znoszono kolejne obostrzenia. Pilnie obserwowała to reszta Europy, zostająca w tyle z programem szczepień.

W czerwcu codzienne statystyki zakażeń znów jednak wystrzeliły w górę, a przyczyną tej tendencji okazała się mutacja Delta, znacznie bardziej zaraźliwa niż poprzednie warianty wirusa, włącznie z pierwotną (zwaną czasem wuhańską) i brytyjską (przez WHO ochrzczoną ostatnio mianem Alfa). Nic dziwnego, że Wielka Brytania znów obserwowana jest przez inne kraje: to, co się tutaj dzieje, może być lekcją i wskazówką dla reszty świata.

Jakie wnioski można więc wyciągnąć z brytyjskich doświadczeń z Deltą? Na razie przede wszystkim dwa.

Pierwszy: że choć na Deltę mogą umierać także osoby w pełni zaszczepione, masowe szczepienia mają głęboki sens – teraz nawet jeszcze większy. Bo mimo iż liczba nowych infekcji rośnie szybko, to liczby hospitalizacji i zgonów rosną nieznacznie. W lutym, gdy codziennie odnotowywano 20 tys. nowych zakażeń, każdego dnia umierało około tysiąca osób. Dziś, przy podobnym poziomie nowych infekcji, zgonów jest maksymalnie dwadzieścia kilka.

Wniosek drugi: osoby w pełni zaszczepione powinny nadal zachowywać ostrożność. Brytyjski „poligon" uświadamia (albo raczej: przypomina), że zaszczepienie nie daje ochrony stuprocentowej. Ostrożne powinny być zwłaszcza osoby powyżej 50. roku życia i mające obniżoną odporność, np. z powodu innych chorób – brytyjskie statystyki pokazują, że to one dominują wśród osób zaszczepionych, które zmarły po zakażeniu Deltą.

Wiele tysięcy uratowanych

Według szacunków Public Health England (instytucji analitycznej podległej ministerstwu zdrowia i obejmującej swoją kompetencją teren Anglii), opublikowanych pod koniec czerwca, w samej tylko Anglii – jako jednej z czterech krain Zjednoczonego Królestwa – program szczepionkowy zapobiegł jak dotąd ponad 7 milionom zakażeń i 27 tysiącom zgonów.

Jeden z naukowców opracowujących te dane, Paul Birrell z Uniwersytetu Cambridge, komentował: „Ta analiza podkreśla, że program szczepień zaoferował nam ścieżkę powrotu do normalnego życia, które inaczej nie byłoby możliwe. Dlatego właśnie jest tak ważne, abyśmy wszyscy zaszczepili się dwiema dawkami szczepionki tak szybko, jak to możliwe".

W Anglii zrobiło to już 93 proc. seniorów powyżej 70. roku życia i ponad 85 proc. osób powyżej 60. roku życia. W najmłodszych grupach wiekowych wskaźnik wyszczepienia jest niższy, zwłaszcza jeśli chodzi o przyjęcie dwóch dawek – zdążyło to zrobić jak dotąd niecałe 35 proc. osób w przedziale wieko-

TOLGA AKMEN

Szkoccy kibice przed meczem swojej reprezentacji z drużyną Anglii na Euro 2020. Public Health Scotland ustaliła potem, że wielu Szkotów zaraziło się mutacją Delta właśnie podczas tego meczu. Londyn, 18 czerwca 2021 r.

wym 40-45 lat, a wśród osób poniżej 40. roku życia – tylko ok. 12 proc. (niemniej pierwszą dawkę ma za sobą już 30 proc. z nich).

Niższe odsetki zaszczepionych w młodszych grupach wiekowych to przede wszystkim efekt tego, iż dopiero od kilku tygodni mogą one rejestrować się na szczepienia – wcześniej priorytetem byli starsi. Ambicją brytyjskiego rządu jest teraz umożliwienie zaszczepienia się wszystkim dorosłym obywatelom do planowanego Dnia Wolności. Johnson ma nadzieję, że do tego momentu, do 19 lipca, uda się przeprowadzić jeszcze 5 milionów szczepień.

Mimo to – kolejna zła wiadomość – dotychczasowe doświadczenia z mutacją Delta sugerują, że coraz bardziej prawdopodobne staje się, iż całkowite wyeliminowanie koronawirusa może nie być możliwe. Taka konkluzja przebija z ostatnich wypowiedzi brytyjskich polityków. A potwierdzeniem może być tu przykład Izraela, który w tych dniach również doświadcza rosnących na nowo statystyk zakażeń, także wśród osób w pełni zaszczepionych. Albo Australii: choć od początku pandemii zamieniła się w izolowaną twierdzę, wariant Delta przeniknął i tam.

Covidowa szkoła

Musimy nauczyć się żyć z wirusem – powtarza więc nowy brytyjski minister zdrowia i składa zobowiązanie, że zmieni dotychczasowe zasady dotyczące kwarantanny w szkołach.

Dotychczas wszystkie dzieci, które uczyły się razem w jednej grupie (tzw. bańce), musiały poddawać się 10-dniowej kwarantannie, gdy jedno z nich okazywało się zakażone. W efekcie w mediach zaczęły pojawiać się niepokojące doniesienia, że jednocześnie w izolacji domowej może znajdować się nawet po kilkaset tysięcy uczniów. Np. w ostatnim tygodniu czerwca w Anglii do szkoły z powodu tych restrykcji nie poszło 375 tys. uczniów szkół podstawowych i średnich – przy czym tylko 15 tys. z nich było zakażonych koronawirusem, a pozostali przebywali na kwarantannie. Według BBC średnio z powodu jednego zakażonego dziecka izoluje się w swoich domach ok. 20 innych dzieci.

Łatwo sobie wyobrazić, jak wielki wpływ ma to zarówno na ich edukację, jak też na pracę ich rodziców. Komentatorzy i eksperci podkreślają, że ubiegłej jesieni, gdy taką automatyczną kwarantannę wprowadzano, nie było szczepionek. Teraz to się zmieniło: szczepionki są, i choć nie dla dzieci, to jednak najbardziej narażone osoby zostały już zaszczepione, więc i zasady powinny się zmienić. Jednym z rozwiązań mogłoby być codzienne testowanie dzieci (na razie prowadzone w pilotażowych programach) albo dopuszczenie szczepień dla dzieci powyżej 12. roku życia (na Wyspach zaaprobowano szczepionkę Pfizera dla tej grupy wiekowej, ale nie podjęto jeszcze decyzji o rozpoczęciu szczepień).

Wakacje znowu w kraju

Każda decyzja w sprawie szkół, jakakolwiek by była, obowiązywać będzie już od jesieni. Na razie w Zjednoczonym Królestwie jest czas wakacji: w Szkocji i Irlandii Północnej już się zaczęły, uczniowie w Anglii i Walii jeszcze chwilę muszą wytrzymać w szkołach.

Delta kładzie się jednak cieniem również na planach wakacyjnych. Po poprzednim trudnym roku Brytyjczycy liczyli na urlop na plażach Morza Śródziemnego. Na razie mogą o tym zapomnieć: rząd nie rezygnuje z surowych restrykcji wobec niemal wszystkich osób wjeżdżających na Wyspy. Jedynie przyjezdni z garstki „zielonych" krajów nie muszą odbywać w Wielkiej Brytanii kwarantanny. Ponieważ niemal cała Europa to strefa „żółta", przybywających z niej na Wyspy obowiązują aż trzy kolejne testy ↦

↦ na koronawirusa oraz 10-dniowa kwarantanna.

Gdy w końcu władze w Londynie zaczęły rozważać zwalnianie z kwarantanny w pełni zaszczepionych Brytyjczyków, to z kolei kraje europejskie zaczęły rozważać i wprowadzać restrykcje dla turystów z Wielkiej Brytanii, z obawy przed Deltą. Dlatego najpewniejszym sposobem na wakacje jest znowu spędzenie ich w kraju.

Czas letniej swobody

A co z tym całym Dniem Wolności? Faktem jest, że oczekiwanie na ów 19 lipca i zniesienie ostatnich restrykcji jest wyczuwalne. Ale tak naprawdę już teraz Brytyjczycy cieszą się dość swobodnym życiem.

Owszem, nadal obowiązują limity osób dotyczące spotkań w domach czy innych wydarzeń, nadal zalecana jest też praca zdalna. W środkach transportu muszą nosić maseczki, jednak podróżują już swobodnie po całym Zjednoczonym Królestwie. Chodzą do restauracji czy pubu, choć mogą siedzieć tylko przy stoliku, nie przy barze. Otwarte są kina i muzea.

No i mogą odbywać się mecze piłki nożnej. Patrząc na tłumy zgromadzone na londyńskim stadionie Wembley w miniony wtorek 29 czerwca, gdy podczas rozgrywek mistrzostw Europy drużyna Anglii mierzyła się z Niemcami – oraz na to, co działo się wtedy na ulicach i w pubach, wypełnionych szczęśliwymi kibicami – można by pomyśleć, że pandemia to przeszłość. Że tak nie jest, pokazuje sytuacja w niespełna sześciomilionowej Szkocji, która w tych dniach notuje rekordowe statystyki nowych zakażeń: około 3 tysięcy dziennie, oczywiście głównie Deltą. To więcej niż podczas styczniowej fali.

Według Public Health Scotland 2 tysiące zakażonych to osoby, które były obecne na meczach i wydarzeniach piłkarskich. Większość z nich była w Londynie, gdzie 18 czerwca rozgrywano mecz Szkocja–Anglia.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Tekst ukończono 1 lipca.

CECILIA FABIANO / LAPRESSE / EAST NEWS

Ostatni poniedziałek czerwca był pierwszym dniem, gdy we Włoszech nie obowiązywał nakaz noszenia maseczek także na wolnym powietrzu. Plac Hiszpański w Rzymie, 28 czerwca 2021 r.

Dwa obce słowa

PAWEŁ BRAVO Z PÓŁNOCNYCH WŁOCH

Włosi zdejmują maseczki i korzystają z odzyskanej swobody. Poczucie letniego odprężenia zaburza jednak lęk przed Deltą.

Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda normalnie. Wrócił chaos w ciasnych uliczkach, które w kraju nietraktującym prawa do auta z aż takim nabożeństwem byłyby dawno wyłączone z ruchu. Między południem a pierwszą ciężko wejść do taniej restauracji czy samoobsługowego bistra, gdzie można zjeść zestaw obiadowy za 11 euro. Bary znów są pełne, zwłaszcza późnym popołudniem, gdy nadchodzi pora aperitifu, który jednak nie jest wstępem do posiłku, lecz sposobem na zamknięcie pierwszej połowy dnia i okazją do przedłuże-

nia rozmów toczonych przez osiem godzin w biurze.

INSTYNKT STADNY, potrzeba bycia, picia i jedzenia w gromadzie, nie opuścił Włochów, przynajmniej wielkomiejskich. W tym narodzie godzina policyjna, zaczynająca się o dwudziestej pierwszej, była aktem destrukcji więzi społecznych. Ostatnie z najbardziej widomych i dotkliwych znamion pandemii zniknęło dopiero pod koniec czerwca: obowiązek noszenia maseczki na ulicy, który przy temperaturach powyżej 30 stopni wymagał samozaparcia, a jednak był respektowany w stopniu wyższym, niż sugerowałby stereotyp lekceważących prawo Włochów (wyższym znaczy tyle, że maseczki nosiła mniej więcej połowa). Rozstanie z maseczkami było świętem, jedna z głównych gazet dała na czołówce wielki tytuł: „Cześć, miło cię znów widzieć".

W przeciwieństwie jednak do zeszłego lata – gdy Włosi, najciężej w Europie doświadczeni pierwszą falą, byli przekonani, że celebrują „powrót do normalności" (o czym przypominały reklamy eksploatujące to hasło) – dziś ta normalność zniknęła z rozmów w barach oraz z mediów. Słychać za to co i rusz dwa obce słowa.

Pierwsze to *recovery*. Chodzi o plan odbudowy, podobny do polskiego, tyle że zwany z angielska. Po to w lutym wzięto na premiera Maria Draghiego, b. szefa Europejskiego Banku Centralnego i ostatniego ogólnie szanowanego technokratę. Po to główne partie schowały na moment za plecami długie noże i poparły rząd „techniczny", aby ktoś dał godną zaufania twarz planowi ratunkowemu i skoordynował wydanie ok. 200 mld euro. Przy czym 80 mld z nich to dotacje, a reszta pożyczki, tyle że na korzystniejszych warunkach, niż gdyby zaciągało je włoskie państwo, mające kiepskie ratingi.

KAŻDY TAKI MILIARD jest przedmiotem ożywionych dyskusji. Już u progu 2020 r. sytuacja była zła, a wiele wskaźników makroekonomicznych było chronicznie fatalnych przez całą poprzednią dekadę. Teraz, w czerwcu, duże spory budziła kwestia, czy i jak przedłużyć wyjątkowy na skalę Europy mechanizm, który zakazuje pracodawcom zwalniania pracowników w zamian za dość łatwy dostęp do funduszu osłonowego. Była to zresztą bardzo dziurawa tarcza; ochrona dotyczyła tylko etatów, nie skorzystały więc osoby najsłabsze na rynku pracy – młodzi i kobiety na umowach czasowych i śmieciowych. Na każde cztery miejsca pracy utracone w 2020 r. trzy zajmowały kobiety. Po długich deliberacjach zakaz zwolnień utrzymano dla większości dotychczasowych beneficjentów. Wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że pogłębi to tylko dysproporcje między tymi, którzy najmocniej płacą za kryzys, a tymi, którzy przechodzą go lżej.

Draghiemu dość łatwo udało się wymusić ten kompromis na swoim rządzie – w tej chwili cieszy się względnym spokojem. Wrogie wobec siebie partie czekają, aż wynajęty „technik" poradzi sobie z dystrybucją pierwszej transzy unijnej manny z nieba, po czym się go zwolni. Najprostszym scenariuszem pozbycia się Draghiego byłoby wybranie go na prezydenta w lutym 2022 r. Ma to zresztą pewien sens, bo cieszy się on autorytetem, a na horyzoncie nie widać dobrych alternatyw.

POZORNIE STABILNA sytuacja polityczna jawi się uczestnikom gry – i wyborcom – jako chwilowe zawieszenie broni o nieokreślonym terminie ważności. Poczucie niepewności wzmaga całkowita już degrengolada Ruchu Pięciu Gwiazd, formalnie nadal największej siły w parlamencie, ale tracącej bardzo w sondażach. Na tle tego spadku poparcia rozgrywa się bezwzględna walka o kontrolę nad masą upadłościową między ojcem założycielem Ruchu, komikiem Beppem Grillo, a byłym premierem Giuseppem Contem. To też uboczny skutek koronawirusa – Conte zaczynał jako bezwolna marionetka, wyciągnięta przez Grilla z kapelusza, ale okazał się sprawnym zarządcą w pierwszym roku pandemii i zasmakował we władzy.

Przetasowania w wielkich partiach (poważne kłopoty ma też Liga, do niedawna najsilniejsze w całej Europie ugrupowanie tzw. populistycznej prawicy) to jednak czynnik destabilizujący w długiej perspektywie. Na razie polityka znalazła się jakby w hibernacji – wybory dopiero za półtora roku.

BARDZIEJ NAMACALNY i dotykający codziennych decyzji jest lęk, który budzi drugie obce słowo, tym razem greckie – „Delta". Wprawdzie gdyby spojrzeć na tabele, to ze szczepieniami nie jest najgorzej. Po chaosie pierwszego kwartału dziś w pełni zaszczepione jest 31 proc. populacji, w tym 90 proc. osób po osiemdziesiątce. Wielkie obawy rządowych ekspertów budzi jednak 15-milionowa zupełnie niezabezpieczona grupa w wieku 12-40 lat – oni tworzą te wieczorne rozbawione tłumy na ulicach i placach, które określa się zapożyczonym z hiszpańskiego słowem *movida* (w wolnym przekładzie: „najbardziej mobilni"). I to oni mogą okazać się dogodnym podglebiem dla mutacji Delta, o której wiadomo, że jest bardziej zaraźliwa.

Rządowy cel, powtarzany przez ministra zdrowia Roberta Speranzę, zakłada zaszczepienie 80 proc. uprawnionych do końca września i wydaje się realny. Tyle że wrzesień nikogo nie satysfakcjonuje. Dla kraju żyjącego z turystyki liczą się dwa najbliższe miesiące. Ale jasne jest, że ten wyścig z czasem – czyli błyskawiczne zaszczepienie młodszych, by nie roznosili Delty – jest raczej przegrany. Owszem, pewne miejsca łatwo zabezpieczyć, np. sławne wyspy Capri, Procida i Ischia już od maja są *covid-free* – zaszczepiono tam ogromną większość dorosłych. Ale to są promile całego ruchu turystycznego.

WŁOSI ODKRYWAJĄ w ten sposób mimochodem, do jakiego stopnia centra ich historycznych miast zamieniły się w ostatnich latach w parki rozrywki dla cudzoziemców – teraz, gdy przyjeżdża ich mniej, można swobodnie chodzić po średniowiecznych zaułkach i moczyć nogi w fontannach w spokoju i ciszy. Starsi przypominają sobie, jak wyglądały najbardziej atrakcyjne dzielnice ich miast, a muzea można zwiedzić bez stania w kolejce. Można też poleżeć na plaży w umiarkowanym tłoku, a nie w dzikim wielojęzycznym tłumie.

Tyle tylko, że ta cisza i względny luz mogą cieszyć jedynie tych, którzy na zwiedzanie Włoch się wybiorą (co jest tym bardziej wygodne, że przynajmniej do niedawna służby graniczne starały się nie zniechęcać cennych turystów i nie kontrolowały praktycznie nikogo). Ale dla kraju jako całości ów lęk i potencjalne problemy w podróżach, jakie wywoła Delta, to najgorsza wiadomość. Jedyną nadzieją, jaką mają, to ta z nazwiska ich ministra zdrowia: Speranza to po włosku „nadzieja". ©℗

Coś się kończy, coś się zaczyna

MARTA SZPALA Z PRISZTINY I MITROWICY

W Kosowie polityczne trzęsienie ziemi. Dawnych partyzantów odesłano na polityczną emeryturę lub przed sąd w Hadze. Nowy rząd ma być ostatnią szansą na zbudowanie sprawnego państwa.

Przybywających do kosowskiej stolicy wita w centrum miasta wielki billboard z dwoma politykami: byłym już prezydentem Hashimem Thaçim i Kadrim Veselim, liderem Demokratycznej Partii Kosowa, ugrupowania stworzonego przez weteranów Armii Wyzwolenia Kosowa (UÇK). Thaçi i Veseli nadawali ton życiu politycznemu od początku istnienia tego najmłodszego państwa w Europie. Hasło na plakacie głosi, że to bohaterowie wojny i pokoju.

Trzydziestoletni Agon, z którym rozmawiam w jednej z prisztińskich kawiarni, podkreśla, że ludzie są wdzięczni UÇK za to, co robiła w czasach konfliktu z Serbami. Ale zaraz dodaje, że gdy partyzanci zamienili mundury na garnitury, zajęli się głównie pomnażaniem własnego majątku. Oraz że w czasie ich rządów tolerowano powszechną korupcję i zorganizowaną przestępczość, zapominając o zwykłych ludziach.

Już wystarczy

Dziś obu polityków nie ma już w Kosowie. Thaçi zrezygnował ze stanowiska i wraz z innymi liderami UÇK jest teraz w Hadze, gdzie przed specjalną izbą kosowskiego wymiaru sprawiedliwości, mającą tam swoją siedzibę, odpowiada za zbrodnie popełnione na serbskich cywilach w trakcie wojny w latach 1998-99. Zbrodnie te próbowały już osądzić zarówno Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii, jak i sądy kosowskie. Za każdym razem okazywało się jednak, że mało kto chce zeznawać przeciwko bojownikom, a potencjalni świadkowie są zastraszani.

Wielu obawiało się, że zatrzymaniu dawnych przywódców UÇK będą towarzyszyć masowe protesty. Wszystko jednak przebiegło w miarę spokojnie (w zatrzymaniach asystowali polscy policjanci stacjonujący w Kosowie). Dobrze oddaje to skalę rozczarowania kosowskiego społeczeństwa byłymi bohaterami.

Besnik, analityk z Prisztiny, mówi w rozmowie z „Tygodnikiem", że Albańczycy z Kosowa mieli poczucie, iż są coś winni bojownikom walki o niepodległość, i oddali im władzę za to, że ryzykowali oni życiem. Teraz uznali, że już wystarczy. W wyborach, które odbyły się w lutym tego roku, „partyzancka" Demokratyczna Partia Kosowa uzyskała najniższy wynik w swej historii.

Nowa nadzieja

W tym roku walentynki były tu wyjątkowe: mieszkańcy niespełna dwumilionowego kraju ruszyli masowo do urn. Frekwencja była najwyższa w historii, a zwycięzca tylko jeden: partia Vetëvendosje (Samookreślenie), wywodząca się ze studenckiego ruchu protestu. Jej wynik był rekordowy zarówno pod względem liczby oddanych na nią głosów (ponad 430 tys.), jak i procentowo (ponad połowa). W uzyskaniu tego sukcesu nie przeszkodził fakt, że w wyborach nie startował lider partii Albin Kurti – ze względu na ciążący na nim wyrok za rozpylenie gazu łzawiącego w parlamencie, co zrobił w ramach protestu. Wyrok ten nie był natomiast formalną przeszkodą, aby Kurti objął funkcję premiera.

Besnik uważa, że to właśnie w młodych lewicowych politykach Samookreślenia, mówiących o sprawiedliwości społecznej, rozwoju gospodarczym i rozliczeniu nieprawidłowości poprzednich ekip, ludzie zobaczyli szansę na zmianę i lepszą przyszłość.

Samookreślenie już raz wygrało wybory, ale wtedy wynik nie był tak imponujący, a utworzona na początku 2020 r. koalicja z Demokratyczną Ligą Kosowa przetrwała jedynie 52 dni. Ambitny program antykorupcyjny Samookreślenia został uznany za zagrożenie przez wielu polityków Ligi (ugrupowania utworzonego przez Ibrahima Rugovę, przywódcę pokojowego ruchu protestu z lat 90.). W końcu byli oni częścią establishmentu – kilkukrotnie współrządzili wraz z ugrupowaniami byłych partyzantów.

Lider Samookreślenia i zarazem ówczesny premier Kurti miał też napięte relacje z Donaldem Trumpem. Prezydent USA widział w Kurtim, polityku bardzo pryncypialnym, głównego przeciwnika swojej wizji normalizacji relacji między Kosowem a Serbią. Trump chciał, by Prisztina oddała Belgradowi terytoria na północy kraju, zamieszkane przez Serbów, w zamian za co Serbia miała uznać niepodległość swojej byłej prowincji (plan ten od początku miał niewielkie szanse powodzenia). Niechęć Trumpa do Kurtiego dodatkowo zmotywowała przeciwników premiera do obalenia jego rządu.

Teraz, po latach kolejnych niestabilnych koalicji, targanych konfliktami personalnymi, Kosowo ma wreszcie szansę na rząd tworzony przez jedną partię, który przetrwa całą kadencję. Dotąd nie udało się to żadnemu kosowskiemu gabinetowi – od ogłoszenia niepodległości (formalnie nastąpiło to w 2008 r.) wszystkie wybory parlamentarne były tu przedterminowe.

Zmiana jest kobietą

Lutowe głosowanie było wyjątkowe jeszcze pod jednym względem. W patriarchalnym i konserwatywnym społeczeństwie najlepszy wynik zdobyła 39-letnia Vjosa Osmani, pełniąca obowiązki prezydenta, a do parlamentu weszła rekordowa liczba kobiet.

W kraju, gdzie kobietom często odmawia się prawa do dziedziczenia i własności (tylko 17 proc. nieruchomości należy do kobiet), a ich praca zarobkowa jest źle widziana (jedynie 6 proc. biznesów należy do kobiet i tylko niespełna 13 proc. kobiet pracuje zawodowo), należy to uznać za fenomenalny sukces. A także za symbol społecznych zmian. Wprawdzie pierwszą prezydent Kosowa też była kobieta, Atifete Jahjaga, ale był to wybór narzucony przez Zachód, który miał pogodzić zwaśnionych polityków – prezydenta wybiera tu parlament. Jahjaga nigdy nie cieszyła się poparciem społeczeństwa.

VISAR KRYEZIU / AP / EAST NEWS

Centrum Prisztiny, Kosowo, 23 czerwca 2021 r.

Donika Emini z Platformy CiviKos (instytucji koordynującej współpracę organizacji pozarządowych) podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem", że to właśnie kobiety i ludzie młodzi przyczynili się do sukcesu Samookreślenia, doceniając, że partia ta skupia się na kwestiach socjalnych oraz prawach kobiet i ma na listach wyjątkowo dużo aktywnych polityczek. Co więcej, według Emini wyborcy mają poczucie, że to mężczyźni przyczynili się do katastrofalnego stanu państwa i nadszedł już czas, by oddać jego stery kobietom.

Dobry wynik Vjosy Osmani to także rezultat mizoginicznych ataków, których była celem. Gdy jako marszałek parlamentu objęła stanowisko prezydenta, politycy z innych partii skupiali się na atakowaniu jej za wygląd i rzekome zaniedbywanie rodziny. To przyniosło efekt odwrotny do zamierzonego i dodatkowo zmobilizowało wyborców do głosowania na kobiety.

Z perspektywy ofiar

Wygląda na to, że młodzi wyborcy – a jest ich sporo: w 2019 r. ponad połowa kosowskiej populacji miała mniej niż 25 lat – oczekują od polityków innego języka i docenienia roli kobiet w społeczeństwie. Stare partie, zdominowane przez mężczyzn, przespały tę społeczną zmianę, a rosnące zaangażowanie kobiet w życiu publicznym umknęło ich uwadze. Tymczasem na ulicach Prisztiny coraz częściej widać kobiece ruchy protestu, np. w maju przez kraj przetoczyły się demonstracje przeciw przemocy wobec kobiet.

Kobiety na scenie politycznej przynoszą też jeszcze jedną zmianę – większe skupienie się na perspektywie ofiar wojny w Kosowie. Do parlamentu dostała się m.in. Vasfije Krasniqi-Goodman, która jako jedyna otwarcie opowiada, jak została zgwałcona przez serbskich policjantów. Choć podczas konfliktu w Kosowie ponad 20 tys. kobiet padło ofiarą gwałtu, w społeczeństwie niewiele się o tym mówi.

Również Vjosa Osmani, która jako nastolatka została wraz z rodziną wypędzona przez Serbów z domu w północnej Mitrowicy, często podnosi kwestie odszkodowań dla ofiar i rozliczenia popełnionych wtedy zbrodni. Politycy wywodzący się z UÇK, którzy sami mają wiele na sumieniu, raczej unikali tych tematów. Media donosiły nawet o negocjacjach z Serbią dotyczących amnestii za zbrodnie popełnione w Kosowie przez obie strony konfliktu.

Jak naprawić państwo?

Premier Kurti i prezydent Osmani deklarują teraz, że ich priorytetem są reformy: zwalczanie korupcji i zorganizowanej przestępczości, budowa sprawnych instytucji (dotąd obsadzanych przez partyjnych popleczników), a zwłaszcza rozwój gospodarczy i tworzenie miejsc pracy – tak istotne dla ludzi młodych, których szczególnie dotyka wysokie bezrobocie i brak perspektyw.

Palącą kwestią jest też odbudowa gospodarki po pandemii. Kosowo jako ostatnie państwo w Europie rozpoczęło szczepienia. Manifestując swoje przywiązanie do Zachodu, odmówiło przyjęcia preparatów z Chin i Rosji; władze czekały na uruchomienie programów przekazywania szczepionek przez WHO i Unię Europejską. Na szczęście dość młoda populacja uchroniła kraj przed znaczną liczbą ofiar śmiertelnych. Na lokalną służbę zdrowia, bardzo niedofinansowaną, mało kto liczył.

Kosowski PKB spadł jednak w 2020 r. o 5 proc. – to głównie efekt ograniczenia transferów finansowych od diaspory, która zrezygnowała też z wakacyjnych wizyt w ojczyźnie. Kosowo produkuje niewiele, przemysłu prawie nie ma, a nierozwiązane spory z Serbią odstraszają inwestorów. W tych warunkach spełnienie obietnic wyborczych i utworzenie znacznej liczby nowych miejsc pracy będzie trudne. Nadzieją jest dynamicznie rozwijający się sektor technologii informatycznych, czemu sprzyja powszechny dostęp do internetu. Już teraz firmy z branży IT odgrywają istotną rolę w kosowskim eksporcie.

Wyzwaniem będzie walka z korupcją. Wymiar sprawiedliwości, obsadzony przez wcześniejsze władze, jak dotąd niechętnie ścigał skorumpowanych polityków i grupy przestępcze powiązane z establishmentem. Podczas krótkiej pierwszej kadencji Kurti zaproponował lustrację majątkową sędziów, co pozwoliłoby odsunąć tych skorumpowanych. W praktyce mogłoby to jednak doprowadzić do paraliżu sądów ze względu na brak kadr. O ile przejmując władzę po raz pierwszy, ↦

ARMEND NIMANI / AFP / EAST NEWS

Banner „Bohaterowie wojny i pokoju" z postaciami byłego dziś już prezydenta Kosowa Hashima Thaçiego (z lewej) i byłego przewodniczącego parlamentu Kadriego Veseliego. Prisztina, 12 lipca 2020 r.

↦ Kurti zapowiedział masowe czystki, o tyle teraz jest już bardziej ostrożny – sprawni urzędnicy będą mu potrzebni do wdrażania reform.

Nie wszyscy jednak są tak entuzjastycznie nastawieni do nowego rządu. Część – jak Ferid, z którym rozmawiam w Prisztinie – uważa, że wszyscy politycy są tacy sami i nic się nie zmieni. Ferid zwraca też uwagę, że nowi ministrowie wykształceni na Zachodzie nie znają lokalnych realiów i nie mają doświadczenia w zarządzaniu państwem. Faktycznie, nowy minister obrony wychował się w Norwegii i był tam zawodowym żołnierzem, a minister spraw zagranicznych większość życia spędziła w Niemczech. Podobne biografie ma kilku innych wysokich urzędników. Ale co robić, skoro ci doświadczeni są często uwikłani w korupcyjne układy?

Rzeczywistości równoległe

O ile kosowscy Albańczycy wciąż mają nadzieję na zmianę, o tyle wśród kosowskich Serbów dominują apatia i rezygnacja. I to pomimo że na zamieszkanych przez nich terenach widać zmiany na lepsze.

Most w Mitrowicy – symbol podziałów, na którym jeszcze kilka lat temu stały barykady – dziś zaczyna łączyć obie społeczności. Na ławeczkach na moście siedzą zgodnie Albańczycy i Serbowie. Grupki młodzieży przechodzą to na jedną, to na drugą stronę. Sześćdziesięcioletni Veton, który podwozi mnie do serbskiej części miasta, przyznaje, że wreszcie jest tu spokojnie. Tylko znudzeni włoscy karabinierzy z międzynarodowych sił stabilizacyjnych KFOR, siedzący w zaparkowanych po obu stronach mostu samochodach i wgapieni w swoje komórki, przypominają o obecnych tu napięciach.

Zarówno Serbowie, których jest w Kosowie ok. 120 tys., jak i Albańczycy żyją jednak w coraz bardziej osobnych światach, zajęci własnymi problemami i niezainteresowani sobą nawzajem. Codzienne kontakty utrudnia nie tylko pamięć o wojnie, ale też bariera językowa. Podczas gdy starsza generacja Albańczyków w większości zna język serbski, młodzi do wzajemnych kontaktów potrzebują tłumaczy – lub, jeśli umiejętności pozwalają, rozmawiają po angielsku.

Serbowie oczekują od albańskich instytucji komunikatów po serbsku i nie zamierzają uczyć się albańskiego. Albańczycy, którzy wcześniej byli zmuszani do nauki serbskiego, w swoim niepodległym państwie nie mają zamiaru tego robić. Żadna ze stron nie ma pomysłu, jak rozwiązać ten problem, który będzie narastać.

W poczuciu opuszczenia

Serbowie, choć równie zaniepokojeni o przyszłość i borykający się z podobnymi problemami, związanymi ze złą sytuacją gospodarczą, w przeciwieństwie do Albańczyków nie widzą dla siebie już żadnej nadziei.

Często trzymają ich tu dodatki wypłacane przez rząd Serbii oraz podwójne pensje (z Belgradu i Prisztiny), które pozwalają żyć trochę lepiej niż w sąsiedniej, wyludniającej się południowej Serbii. Przenoszą się coraz częściej do Północnej Mitrowicy – jedynego zdominowanego przez ludność serbską miasta w Kosowie, położonego przy granicy z Serbią. W enklawach na południu zostają przede wszystkim starsi ludzie, którzy nie mają już siły nigdzie się przenosić.

Serbowie czują się opuszczeni przez Belgrad, który wykorzystuje ich instrumentalnie w relacjach z Unią Europejską i Kosowem. Ugrupowanie Srpska Lista, które reprezentuje Serbów w kosowskim parlamencie, słucha bardziej Belgradu niż własnych wyborców. Władzom w Prisztinie Serbowie nie ufają – zresztą nie interesują się one specjalnie tym, co dzieje się w serbskich gminach.

Wprawdzie dwa lata temu Albin Kurti proponował kosowskim Serbom dialog, który byłby skupiony na problemach tej społeczności, ale na obietnicach się skończyło. Podnoszenie kwestii ofiar przez nowe kosowskie elity dodatkowo odstręcza Serbów od Prisztiny. Na pocieszenie zostaje tylko wieszanie wszędzie trójkolorowych flag – daje im fałszywe poczucie, że wciąż są w Serbii.

Pytania bez odpowiedzi

Albańczycy – jak mówi mi Besnik, mieszkaniec Prisztiny – są dziś dumni, że udało się doprowadzić do zmiany rządu drogą demokratyczną. Społeczeństwo – dodaje – okazało się bardziej dojrzałe i świadome wagi wyborów, niż wielu się wydawało. To duża różnica w porównaniu do sąsiednich państw na Bałkanach, gdzie wyborcy są zniechęceni i nie chodzą głosować, a elity rządzące zmieniają się bardzo rzadko.

Na razie Kosowo zdało egzamin z demokracji. A czy uda się zbudować dobrze funkcjonujące państwo? Tego jeszcze nie wiadomo. Czy będzie to państwo wieloetniczne? Trudno powiedzieć. Choć zagranica oczekuje od Kurtiego postępów w normalizacji stosunków z Serbią, on już zapowiedział, że nie będzie to jego priorytetem. Zresztą w przyszłym roku w Serbii są wybory, a wybory to czas ostrych osądów i polaryzacji – również to sprawia, że szanse na porozumienie między Belgradem a Prisztiną są niewielkie.

© MARTA SZPALA

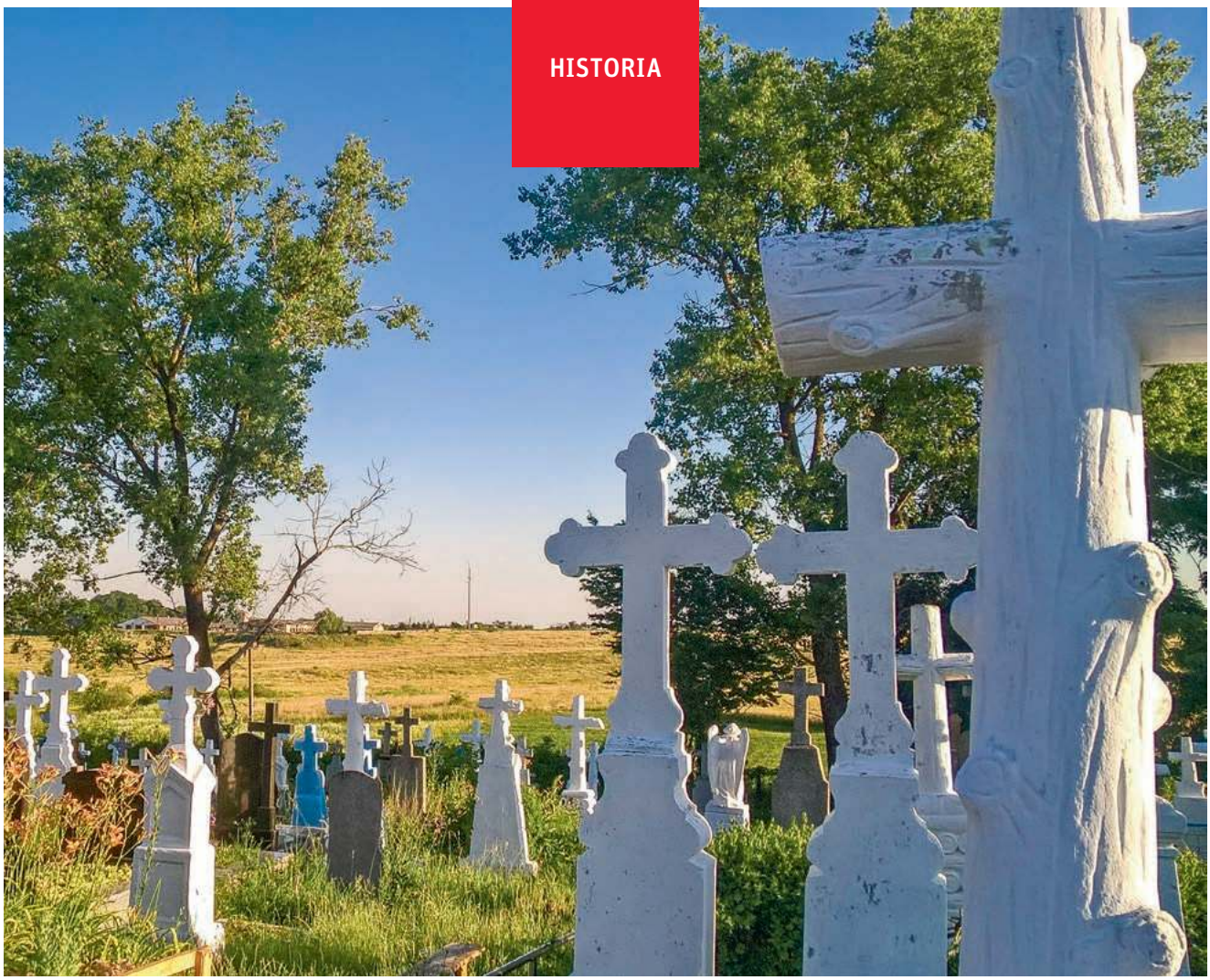

Cmentarz w Baryszu, czerwiec 2019 r.

WSZYSCY WIEDZĄ, MAŁO KTO PAMIĘTA

Podczas rzezi dokonanej przez UPA Polacy ginęli także na terenie Podola. Oto wędrówka śladami kilku miejsc. Oraz ludzi: Polaków i Ukraińców.

TEKST I ZDJĘCIA ANNA WYLEGAŁA

Jest upalny czerwcowy dzień roku 2019. Gdy wchodzę do domu pani Anastasiji – urodzonej w 1923 r. mieszkanki Barysza na Tarnopolszczyźnie, w rejonie (powiecie) Buczacz – moja ukraińska współpracowniczka, która wcześniej rozmawiała z panią Anastasiją, patrzy na mnie wymownie i bezgłośnie szepcze: „Tylko się nie odzywaj".

Życzę więc jedynie po ukraińsku dobrego dnia, uśmiecham się i potakuję. Wprawdzie mówię płynnie po ukraińsku, ale moje twarde polskie „l" mogłoby zdradzić, że jestem Polką. A obecna przy rozmowie córka Anastasiji zaczyna właśnie podejrzliwie dopytywać, dlaczego tak nas interesują ci Żydzi i Polacy? – Nie możecie pytać o naszą historię, o ukraińską? A pani to w ogóle Ukrainka, bo takie ciemne i kręcone te włosy? – pyta.

↦

↦ Koleżanka, by potwierdzić swoją ukraińskość, zaczyna opowiadać historię swojej babci, łączniczki w UPA, ale atmosfera robi się gęsta.

Kwestia miękkiego „l"

6 lutego 1945 r. kureń (batalion) UPA „Szare Wilki", dowodzony przez Petra Chamczuka ps. „Bystry", dokonuje w miasteczku Barysz masakry polskiej ludności. Ginie ok. 130 osób, głównie kobiety i dzieci. Dzień wcześniej większość Polaków zdolnych do noszenia broni – członków tzw. istrebitelnych batalionów i na co dzień broniących miejscowej społeczności polskiej – została wezwana przez władze sowieckie do Buczacza. UPA to wykorzystuje i dokonuje jednej z większych w tym regionie zbrodni na Polakach.

W 2019 r. moje twarde polskie „l" jest istotne o tyle, że może sprawić, iż nie dowiemy się już nic więcej od najstarszej mieszkanki Barysza, bo jej czujna rodzina nas wyprosi. 75 lat wcześniej nie miałoby to znaczenia. Inaczej niż na Wołyniu czy we Lwowskiem, tu, na Tarnopolszczyźnie – historycznie będącej częścią dawnego Podola – Polacy mówili na co dzień po ukraińsku (choć w spisie powszechnym często podawali polski jako język ojczysty) i poza rzymskokatolickim wyznaniem niewiele różniło ich od ukraińskich sąsiadów. A było tu Polaków sporo – przed rokiem 1939 r. najwięcej w całej Galicji Wschodniej. W niektórych powiatach, np. Trembowla czy Skałat, stanowili ponad 40 proc. ludności.

Na Tarnopolszczyźnie ogromna większość miejscowości, także wiejskich, była mieszana etnicznie, powszechne były małżeństwa polsko-ukraińskie. Nie oznaczało to bynajmniej braku konfliktów. Raczej to, że wrogość, która pojawiła się w czasie wojny, nie sprowadzała się „tylko" do wyrżnięcia jakiejś odległej polskiej kolonii, lecz dzieliła rodziny i społeczności, niszcząc na zawsze jedne i drugie.

Dwa dni po nerwowej wizycie w Baryszu siedzę w polu młodej kukurydzy we wsi Kurzany koło Brzeżan i prowadzę improwizowany wywiad z 89-letnią panią Anną. Kobieta mówi, że pod koniec wojny prawie nie sypiała w domu, wieczorami szła w pole. Jej bracia zostawali w domu, bo po ojcu byli Ukraińcami i byli bezpieczni. Ona, po matce Polka, mogła zginąć (córki chrzczono tu w wyznaniu matki, chłopców w wyznaniu ojca). Gdy pytam, kogo się bała, Anna ucieka wzrokiem i mówi: „Naszych, no przecież to nasi chłopcy ze wsi byli u tych partyzantów".

EDWARD AUGUSTYN / TP-ONLINE

W płytkim masowym grobie

Czystka etniczna dokonana przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach w Galicji Wschodniej była częścią ogólnego planu eksterminacji ludności polskiej w dawnych południowo-wschodnich województwach II Rzeczypospolitej, jednak jej chronologia i charakter były inne niż na Wołyniu.

Podczas gdy na Wołyniu największe rzezie odbyły się latem 1943 r., w Galicji dochodziło wtedy do pojedynczych mordów na wybranych przedstawicielach społeczności polskiej. Miały zastraszyć Polaków i skłonić do opuszczenia domów. Masowe zbrodnie – jak w Baryszu, pobliskim Korościatynie (28/29 lutego 1944 r., ok. 150 zabitych) czy Puźnikach (12/13 lutego 1945 r., ok. 120-150 zabitych) – zaczęły się tutaj, gdy przez Wołyń przetoczyła się już fala największych mordów, i były mniej liczne. Szacuje się, że łącznie w Galicji Wschodniej zginęło 20-25 tys., a na Wołyniu do 60 tys. Polaków.

Zanim kureń „Bystrego" wymorduje kobiety, dzieci i starców, w Baryszu zdarzają się pojedyncze zabójstwa. Giną głównie członkowie przedwojennej elity. Np. pod koniec 1943 r. upowcy zabierają z domu Mariana Chmielowskiego, przed wojną właściciela sklepu z butami. Rodzina znajduje go w lesie z odciętą głową.

Ginie też ojciec 12-letniego wówczas Władysława Skiby, z którym w 2020 r. rozmawiam na Dolnym Śląsku. Przed wojną jego ojciec, Jan, jest pocztowcem i działaczem PSL, ma sklepik w centrum miasteczka. W pewnym momencie tak jak pani Anna przestaje sypiać w domu, ukrywa się. Gdy w 1944 r. przez kilka tygodni nie pojawia się, rodzina zaczyna się niepokoić. W tym czasie znika też kilkunastu innych Polaków z Barysza. Wszystkich znajdują wkrótce – pochowanych w płytkim masowym grobie. Żonie Jana Skiby o miejscu pochówku męża donosi znajomy Ukrainiec, życzliwy rodzinie.

Przemoc narasta i narasta, by wreszcie znaleźć kulminację w mordzie z lutego 1945 r. Po masakrze i pochowaniu ofiar na miejscowym cmentarzu pozostali przy życiu Polacy uciekają z Barysza do Buczacza, skąd wkrótce wyjadą aż na Dolny Śląsk.

Kiedy mordują swoi

Od większości tarnopolskich wsi Barysz różni zarówno fakt, że zbrodnia miała charakter tak masowy, jak i to, że doko-

nali jej ludzie z zewnątrz. O ile zabójcy Jana Skiby i jego współtowarzyszy, pochowanych wraz z nim, pozostają nieustaleni, o tyle wiadomo, że nocą z 5 na 6 lutego 1945 r. mordował tu oddział UPA pochodzący z innej części Galicji. Mord wydaje się bardziej odrażający i ma bardziej destrukcyjne skutki dla społeczności, jeśli mordują swoi.

We wsi Kurzany koło Brzeżan Polaków jest mało, ledwie kilkanaście rodzin. Z kolei wielu młodych Ukraińców idzie w 1944 r. do lasu, do partyzantki. To ich boi się wieczorami Anna, córka Polki i Ukraińca. 15 sierpnia 1944 r. Janina Kamińska, córka ostatniego właściciela majątku Kurzany, która jesienią 1939 r. uciekła z rodziną do Brzeżan, notuje w dzienniku: „Tej nocy bandy ukraińskie napadły na Kurzany. Wymordowali polskie rodziny, jak młynarza Cichowskiego i innych we wsi, podpalili folwark, pali się cały dzień, co będzie w mieście?". Na szczęście Kamińska jest w mieście bezpieczna. Tymczasem we wsi prócz Cichowskich giną też inni.

Gdy rozmawiam z panią Mariją (urodzoną w Kurzanach w 1930 r.), kobieta wspomina, jak pewnego dnia jesienią 1944 r. idzie do szkoły, i jak pierwszą rzeczą, którą widzi po wyjściu z domu, jest nagie ciało sąsiada, Ludwika Smarygowskiego. Na pytanie, czy Smarygowski był kimś ważnym – może przedwojennym działaczem, może „polskim nacjonalistą"? – pani Marija zaprzecza. Banderowcy go zabili, bo był Polakiem i akurat na niego padło.

Tablica na zbiorowej mogile polskich ofiar na cmentarzu w Baryszu, czerwiec 2019 r.

Na oczach całej wioski

Podobny charakter mają mordy w Hlebowie, przed wojną dużej wsi w powiecie skałackim, zamieszkanej mniej więcej po równo przez Polaków i Ukraińców (oraz kilka rodzin żydowskich).

Już latem 1941 r., tuż po wkroczeniu Niemców, miejscowe bojówki OUN mordują tu kilku Polaków, m.in. Franciszka Stebnickiego, byłego podwójta z gminy zbiorowej Grzymałów, a także Józefa Kiebałę, weterana Polskiej Organizacji Wojskowej. Jan Gęsicki, Polak z Hlebowa, który po wojnie osiadł w Miliczu na Dolnym Śląsku, zapisze we wspomnieniach: „Ładu nie było żadnego, wojsko maszerowało, a cywile Ukraińcy chodzili z bronią w ręku z Niemcami i robili co chcieli, strzelali do tych, co im byli niewygodni". Niemcy wkrótce zaprowadzają porządek, ale pojedyncze zabójstwa Polaków zdarzają się w Hlebowie przez całą okupację niemiecką.

Wreszcie, w niedzielę 6 listopada 1944 r., w Hlebowie ginie ponad 20 osób – niemal same kobiety i dzieci. Atak wymierzony jest w mężczyzn, ale oni, ostrzeżeni, zdążyli się ukryć. Tam, gdzie upowcy nie znajdują głowy rodziny, mordują żonę, czasem też dzieci. Mordują swoi – jedna z ocalałych ofiar, wówczas 10-letnia Janina Rudnik, rozpoznaje w zabójcach Ukraińców z Hlebowa: Iwana Jacyszyna i Pawła Hnidę. Janinę ratuje inny sąsiad, Ukrainiec Bukata.

Mordy na Tarnopolszczyźnie są równie brutalne jak na Wołyniu. Natomiast o ile te na Wołyniu nie mają charakteru czystki pokazowej – tam UPA chce po prostu zabić wszystkich Polaków – o tyle tutaj celem jest wymordowanie na pokaz niektórych, żeby reszta uciekła. Morduje się więc na oczach całej społeczności, aby inni widzieli, że zamordowano. W zabójstwach często biorą udział partyzanci UPA rekrutujący się z miejscowej ludności, a cała wieś schodzi się, by oglądać ciała. Młynarz Cichowski z Kurzan nie zostaje po prostu zabity: zwłoki jego, żony, córki i syna zostają znalezione nad ranem na progu ich domu, nadpalone.

Moje ukraińskie rozmówczynie z Kurzan, wówczas kilkunastoletnie, pamiętają, że córka Cichowskich leżała na wierzchu stosu trupów, rozebrana do pasa. W Hlebowie Franciszka Stebnicka, żona Leona, zostaje zamknięta we własnym domu i spalona żywcem. Jej imienniczka, także Franciszka Stebnicka (nazwisko Stebnicki było tu ↦

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu „Tygodnik" na ucho co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ popularne), ale żona Pawła, ginie wraz z trzema nastoletnimi córkami; ich ciała poniewierają się porzucone na drodze. Gdy w 2019 r. rozmawiam w Hlebowie z panią Olhą o morderstwie Stebnickich, kobieta zakrywa twarz i szepcze: „Ja nawet o tym nie chcę myśleć, o tych dziewczynkach".

Nikt już od nich nie żyje

O tym, kto, kogo i jak mordował, wiedziała więc zwykle cała społeczność. Wiedzą to też w większości Ukraińcy, z którymi rozmawiam podczas badań terenowych prowadzonych na Tarnopolszczyźnie w ostatnich kilku latach.

Nie zawsze chcą się tą wiedzą podzielić. Gdy w Hlebowie siedzę w domu pani Jewhenii urodzonej w 1928 r., jej świetna pamięć zaczyna nagle zawodzić, kiedy dopytuję o mordy na Polakach. Gdy wymieniam nazwiska ofiar, niechętnie potwierdza, dorzucając tu i ówdzie szczegóły („wywlekli ją za włosy", „zatłukli na progu domu"). Gdy pytam o sprawców, wymieniane przeze mnie nazwiska kwituje krótkim: „nikt już od nich nie żyje", „wyjechali do Buczacza", „ten to siedział w ruskim więzieniu i długo potem nie pożył".

Podobnie jest podczas rozmowy z panią Anną z Kurzan: gdy chcę się dowiedzieć, co stało się po wojnie z chłopcami ze wsi, których się tak bała, ucieka wzrokiem i mówi, że to już tyle lat, że już nie pamięta. Trudno się dziwić, że po wojnie kobieta wybrała taką strategię przetrwania i wolała nie rozpoznawać na ulicy niedawnych prześladowców. Jak wiele małżeństw mieszanych, jej rodzice zostali w Związku Sowieckim, a ona musiała żyć w społeczności złożonej ze sprawców i ich niedoszłych ofiar.

Także młodsi wiedzą

Niepamięć na pokaz nie oznacza bynajmniej, że o mordach na Polakach zapomniano, ani że nie wiedzą o tym młodsi, także ci urodzeni wiele lat po wojnie.

Pani Olha z Hlebowa, która do dziś płacze po siostrach Stebnickich (były jej koleżankami ze szkoły), nie chce rozmawiać o tym, jak wyglądał ich pogrzeb na miejscowym cmentarzu. Ale gdy jej wnuczka odprowadza mnie do kolejnego rozmówcy, rozgaduje się i opisuje dokładnie, kto woził trupy na cmentarz, gdzie kogo pochowano i jak krew ściekała z wozu. Musiała o tym słyszeć od babci wielokrotnie. Po chwili przypomina sobie, że jestem Polką, i milknie.

Ruina kościoła rzymskokatolickiego w Hlebowie, czerwiec 2019 r.

Wnętrze zrujnowanego kościoła rzymskokatolickiego w Hlebowie, czerwiec 2019 r.

Byłoby zapewne inaczej, gdyby nie moje twarde polskie „l". Ale także moje ukraińskie współpracowniczki nie zawsze są w stanie wyciągnąć z rozmówców więcej. Podczas gdy starsi zasłaniają się niepamięcią, młodsi pamiętać nie chcą, choć zazwyczaj wiedzą.

W Baryszu bardzo pomocne w innych kwestiach panie z silrady, rady wiejskiej, gdy prosimy je o pomoc w znalezieniu respondentów, dziwnym trafem kierują moje współpracowniczki do osób, które do Barysza przyjechały po wojnie, albo do takich, których krewni zginęli z rąk Polaków. Gdy w końcu udaje się im dotrzeć do osób pamiętających masakrę z lutego 1945 r., wszystko idzie gładko do chwili, gdy koło sędziwych rozmówczyń pojawiają się troskliwi młodsi członkowie rodziny, pilnujący, by ludziom z zewnątrz – z uniwersytetu! – opowiedziana została właściwa historia. Właściwa, czyli taka, która pokaże społeczność od dobrej strony.

Argumenty usprawiedliwiające

W niegdyś mieszanych społecznościach, które w czasie II wojny światowej przestały istnieć w dawnym kształcie – za sprawą represji sowieckich i niemieckich, czystki dokonanej przez UPA i wskutek powojennych przesiedleń – fakt czynnego uczestnictwa członków własnej wspólnoty w zbrodniach nie budzi dziś szczególnej satysfakcji.

Czasami komuś z najstarszego pokolenia wymsknie się, że właściwie to szkoda, że Polaków pobili. Np. Olha z Hlebowa spuentuje swoją relację smutnym stwierdzeniem, że źle się stało, bo ludzie potracili rodziny, nie tylko na skutek zbrodni, ale i będącego (w jej odczuciu) ich konsekwencją wyjazdu Polaków ze wsi. Linie podziału na sprawców i ofiary przebiegały przecież nie wzdłuż teoretycznych granic wspólnot etnicznych, lecz w poprzek rodzin i wspólnot sąsiedzkich.

Nikt dziś mocno nie zaprzecza temu, że Polacy byli mordowani. Czasami słyszymy klasyczne argumenty usprawiedliwiające rzeź: to Polacy zaczęli; to wszystko

Kurhan ku czci Ukraińców z Hlebowa: ofiar terroru sowieckiego i poległych upowców.

Kurzany: miejsce, gdzie był dom rodziny Cichowskich, czerwiec 2019 r.

przez to, że w międzywojniu Ukraińcom było gorzej; to Niemcy przyszli i ludzi podzielili. Ludzie nie chcą pamiętać swoich rodziców i dziadków jako zbrodniarzy.

W pamiętaniu nie pomaga współczesny trend gloryfikowania sprawców – UPA jest dziś na Ukrainie symbolem zrywu narodowowyzwoleńczego, a krytyczne podejście do historii UPA należy do rzadkości zarówno w środowisku akademickim, jak i w debacie publicznej. Trend ten ma zresztą głębokie korzenie. Już w swoich wewnętrznych raportach z 1944 i 1945 r. UPA często przedstawiała mordy na Polakach jako zwycięskie walki z oddziałami polskimi w służbie NKWD. Np. w raporcie z akcji w Baryszu czytamy, że walczono z oddziałem 200 uzbrojonych „strybków" (tj. członków istrebitelnych batalionów), że w boju „zlikwidowano wielu bolszewickich służalców", a „na skutek wznieconego przez bolszewików pożaru spaliło się wiele zabudowań".

Znamienny jest przypadek Dobropola, niewielkiej wsi położonej 20 km na północ od Buczacza, gdzie też nagrywamy wywiady. Gdy po wsi rozchodzi się wieść, że Polacy wypytują staruszków o wojnę, dostajemy oficjalne zaproszenie na herbatę i ciastka w siedzibie silrady. Przewodniczący, mężczyzna w średnim wieku, z triumfem wręcza nam opublikowaną niedawno historię wsi i mówi, że możemy nagrywać, u nich żadnego Polaka w czasie wojny nie zamordowano (w Dobropolu rzeczywiście nikt nie zginął; w sąsiednich Petlikowcach owszem).

Spotkanie na cmentarzu

Niechęć do pamiętania dotyka w równej mierze sprawców i ofiary – wszak trudno byłoby upamiętniać ofiary, nie wspominając o ich katach. Na Podolu, tak jak na Wołyniu, nie ma w zasadzie upamiętnień polskich ofiar, które powstałyby z inicjatywy lokalnych ukraińskich społeczności, a nie polskich władz czy dawnych polskich mieszkańców.

W Baryszu na grobie Polaków zamordowanych w 1945 r. stanęła w 2012 r. tablica ufundowana przez krewnych i sąsiadów, którzy zostali przesiedleni do pojałtańskiej Polski. Granitowa tablica poświęcona jest pamięci „135 polskich mieszkańców Barysza, którzy zginęli tragicznie w nocy z 5/6 lutego 1945 r.".

Na ceremonii jej poświęcenia stawiła się cała wieś i miejscowy proboszcz greckokatolicki. Byli też baryszanie z Dolnego Śląska, fundatorzy tablicy. To nie było łatwe spotkanie, ale ze wspomnień baryszan byłych i obecnych wynika, że potrzebne. Ukraińcy z Barysza początkowo byli wobec inicjatywy niechętni: bali się oskarżeń, pretensji i polskiego poczucia moralnej wyższości. Polacy z Dolnego Śląska bali się niechęci, wyśmiania i własnych złych wspomnień. Gromadny udział w ceremonii obecnych mieszkańców Barysza pokazuje, że o zbrodni sprzed lat trudno jest pamiętać, ale jeszcze trudniej jest o niej zupełnie zapomnieć.

Na tym samym cmentarzu jest skromny nagrobek Jana Skiby; postawili go po 1989 r. jego synowie, regularnie odwiedzający Barysz. W Hlebowie nie udaje mi się znaleźć grobów Polek zamordowanych jesienią 1944 r. – rzymskokatolicka część cmentarza jest tak zarośnięta, że daję za wygraną.

Mogiła w ogrodzie

Po rozmowach w Kurzanach wiem, że na próżno szukałabym tu na cmentarzu grobu Cichowskich, których nadpalone ciała leżały na progu ich domu latem 1944 r. Rodzinę młynarza pogrzebano w ich ogrodzie: sąsiedzi-Ukraińcy w milczeniu zasypali wykopany naprędce grób i uciekli do domów.

Żona młynarza była ciotką pani Hanny, wówczas 18-letniej. Gdy rozmawiamy z nią w 2019 r., pani Hanna opowiada, jak w przeddzień morderstwa siedziała z kuzynami do późna w ogrodzie. Nastolatki śmiały się, były piosenki i flirty. Następnego ranka kuzynów już nie było. Hanna nigdy więcej nie weszła do ich domu, który później kupili przyjezdni z Brzeżan.

Nie udaje mi się z nimi porozmawiać. Nie wiem, czy zdają sobie sprawę z tego, że ciała Cichowskich do dziś spoczywają w ich ogrodzie. © ANNA WYLEGAŁA

Autorka jest socjolożką, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W latach 2017-20 jej zespół nagrał ponad 150 wywiadów historii mówionej z najstarszymi mieszkańcami ukraińskiej Galicji.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Znamy już nominacje do tegorocznej Nagrody Literackiej Gdynia. Kto tym razem otrzyma metalowe kostki w kategorii Esej, Proza, Poezja i Przekład na język polski? Dowiemy się pod koniec sierpnia podczas festiwalu Miasto Słowa w Gdyni.

Nagroda Literacka Gdynia została powołana do życia w 2006 r. przez prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka w celu uhonorowania wyjątkowych osiągnięć żyjących polskich twórców. Jest przyznawana rokrocznie autorom najlepszych książek wydanych w poprzednim roku. Nagroda – Gdyńska Kostka Literacka i 50 tys. złotych – przyznawana jest w czterech kategoriach: Esej, Poezja, Proza, Przekład na język polski. NLG jest inicjatywą władz miasta, skierowaną zarówno do polskich pisarzy, jak i szerokiego grona odbiorców współczesnej literatury.

W skład kapituły Nagrody wchodzą: Jerzy Jarniewicz (przewodniczący), Eliza Kącka, Dorota Kozicka, Zbigniew Kruszyński, Adam Lipszyc, Aleksander Nawarecki, Tomasz Swoboda, Natalia Gromow (sekretarz Nagrody).

Nagrodzie Literackiej Gdynia już po raz kolejny towarzyszy festiwal Miasto Słowa: spotkania z nominowanymi, laureatami, panele dyskusyjne nawiązujące do wątków pojawiających się w tytułach walczących o Kostki Literackie, gościć też będziemy znamienitych polskich prozaików.

Program Festiwalu Miasto Słowa oraz więcej informacji o Nagrodzie:
www.nagrodaliterackagdynia.pl

WOJCIECH ROJEK

NOMINACJE DO NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA 2021:

ESEJ

JAKUB KORNHAUSER – poeta, tłumacz, krytyk literacki i eseista. Pracuje w Instytucie Filologii Romańskiej UJ oraz w Ośrodku Badań nad Awangardą przy Wydziale Polonistyki UJ. Za tom poetycki „Drożdżownia" otrzymał w 2016 r. Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej.

- **Premie górskie najwyższej kategorii,** Książkowe Klimaty, Wrocław 2020

JOANNA KRAKOWSKA – historyczka i teoretyczka teatru, eseistka oraz tłumaczka. Pracuje w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Za monografię „Mikołajska. Teatr i PRL" była nominowana w 2012 r. do Nagrody Nike.

- **Odmieńcza rewolucja. Performans na cudzej ziemi,** Karakter / Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, Kraków-Warszawa 2020

RAFAŁ KSIĘŻYK – dziennikarz i krytyk muzyczny. W latach 90. redagował magazyny „Brum", „Plastik", „Antena Krzyku", „City Magazine" i „Aktivist". Od 2012 do 2017 r. był redaktorem naczelnym „Playboya". Prowadzi audycję „Nokturn" w Programie 2 Polskiego Radia.

- **Dzika rzecz. Polska muzyka i transformacja 1989–1993**, Czarne, Wołowiec 2020

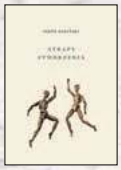

PIOTR PAZIŃSKI – pisarz, filozof, eseista, tłumacz. Przez wiele lat redaktor naczelny miesięcznika „Midrasz". Laureat Paszportu „Polityki" 2009 r. za książkę eseistyczną „Rzeczywistość poprzecierana" (2015) otrzymał Nagrodę Redakcji „Literatury na Świecie".

- **Atrapy stworzenia**, Wydawnictwo Austeria, Kraków 2020

JAKUB SKURTYS – krytyk i historyk literatury, doktor literaturoznawstwa, wykładowca na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 2017-19 prowadził w „Małym Formacie" autorski cykl „Krytyka negatywna" o współczesnej poezji.

- **Wspólny mianownik. Szkice o poezji i krytyce po 2010 roku**, Fundacja im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2020

POEZJA

CEZARY DOMARUS – poeta, prozaik i muzyk. Debiutował w 1996 r. powieścią „Caligari Express". Nominowany do Wrocławskiej Nagrody

Poetyckiej „Silesius" 2017 za tomik „cargo, fracht".
- **Trax,** Wydawnictwo J, Wrocław 2020

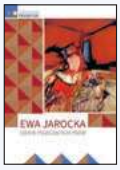

EWA JAROCKA – pisarka i poetka, z wykształcenia historyczka sztuki, absolwentka Studium Literacko-Artystycznego w Krakowie. Laureatka konkursu na tomik poetycki zorganizowanego w 2016 r. przez Fundację im. Tymoteusza Karpowicza.
- **Cienie piszczących psów,** Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2020

RADOSŁAW JURCZAK – poeta, debiutował tomem „Pamięć zewnętrzna", za który otrzymał Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius" 2017 w kategorii debiut roku.
- **Zakłady holenderskie**, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2020

JUSTYNA KULIKOWSKA – poetka, publikowała m.in. w „Wakacie", „Opcjach" i „Elewatorze". Debiutowała tomem „Hejt i inne bangery" w 2018 r., za który otrzymała Nagrodę im. Kazimiery Iłłakowiczówny.
- **Tab_s,** WBPiCAK, Poznań 2020

NATALIA MALEK – poetka, tłumaczka i amerykanistka. Debiutowała tomem „Pracowite popołudnia" w 2010 r. Laureatka Nagrody im. Adama Włodka za rok 2017.
- **Karapaks**, WBPiCAK, Poznań 2020

PROZA

WALDEMAR BAWOŁEK – prozaik. Debiutował w 1996 r. zbiorem opowiadań „Delectatio morosa". Publikował m.in. w „Twórczości" i „Elewatorze". Za swoje książki prozatorskie nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody Nike.
- **Pomarli**, Czarne, Wołowiec 2020

DOMINIKA HORODECKA – pisarka i blogerka. Absolwentka Akademii Wychowania Fizycznego. Niedługo po studiach wyjechała do Andaluzji, gdzie zaczęła pisać.
- **Wdech i wydech,** Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2020

AGNIESZKA JELONEK – pisarka, scenarzystka, blogerka i dziennikarka. Publikowała reportaże i wywiady, często poświęcone twórczości kobiet. Prowadziła blog Tylkospokojnie. Zajmuje się pisaniem seriali telewizyjnych.
- **Koniec świata, umyj okna,** Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2020

ELŻBIETA ŁAPCZYŃSKA – z wykształcenia filozofka, zawodowo copywriterka. Zajmowała się również literaturą dziecięcą, reżyserią, dramaturgią oraz komiksem. Znalazła się w półfinale Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej.
- **Bestiariusz nowohucki**, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2020

ANDRZEJ MUSZYŃSKI – pisarz, reportażysta, podróżnik i poeta. Za swoje książki podróżnicze nominowany był m.in. do Nagrody im. Beaty Pawlak 2013, a za prozę do Paszportu „Polityki" oraz Nagrody Literackiej Gdynia.
- **Bez. Ballada o Joannie i Władku z jurajskiej doliny**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020

PRZEKŁAD NA JĘZYK POLSKI

MAGDA HEYDEL – tłumaczka, literaturoznawczyni, wykładowczyni UJ, redaktorka naczelna czasopisma „Przekładaniec". Laureatka Nagrody „Literatury na Świecie". Autorka przekładów m.in. V. Woolf, T.S. Eliota, J. Conrada, S. Heaneya.
- **Opowiadania**, autorka oryginału: Katherine Mansfield, Wydawnictwo Officyna, Łódź 2020

ZBIGNIEW MACHEJ – poeta, tłumacz literatury czeskiej i słowackiej. Jest autorem trzynastu zbiorów wierszy dla dorosłych i dwóch dla dzieci. Przez dziewięć lat pracował jako wicedyrektor Instytutu Polskiego w Pradze, później jako dyrektor Instytutu Polskiego w Bratysławie.
- **Pojęcia podstawowe**, autor oryginału: Petr Král, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020

AGNIESZKA REMBIAŁKOWSKA – tłumaczka z języka litewskiego, wykładowczyni w Zakładzie Bałtystyki na Wydziale Polonistyki UW. Laureatka nagrody festiwalu Poezijos pavasaris (Wiosna Poezji).
- **Maranta**, autorka oryginału: Birutė Jonuškaitė, Wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2020

MICHAŁ TABACZYŃSKI – eseista, tłumacz, krytyk literacki. Z angielskiego przetłumaczył i opracował antologię współczesnej poezji amerykańskiej „Parada równości" (2005), a z czeskiego przełożył wybór wierszy Jana Skácela „Bolą mnie litery" (2012).
- **Anatomia melancholii**, autor oryginału: Robert Burton, Korporacja Ha!art, Kraków 2020

KINGA SIEWIOR – literaturoznawczyni, slawistka, asystentka w Katedrze Antropologii Literatury i Badań Kulturowych oraz członkini Ośrodka Badań nad Kulturami Pamięci na Wydziale Polonistyki UJ.

JAKUB KORNHAUSER – poeta, tłumacz, krytyk literacki i eseista.

- **Świnia jest najlepszym pływakiem**, autor oryginału: Miroljub Todorović, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2020

©℗ Opracował MICHAŁ SOWIŃSKI

GDYNIA | MECENAS NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

HANNA

Krall: *Drzewa Andreasa von W.*

Są białe, ulepione z papier mâché. Unoszą się w powietrzu, korzeniami zwrócone do nieba, a koronami ku ziemi. Są jak zjawy, jak duchy drzew. Jak pamięć o drzewach.

Jego dziadek był zastępcą Ribbentropa. Sądzono go w Norymberdze.

Jego ojciec był posiłkowym obrońcą w procesie dziadka – w jedenastym, przedostatnim norymberskim procesie. Dziadka skazano na siedem lat.

Jego babcia nie wyrzucała opakowań z pergaminu. Zostało jej to z czasu wojny – nosiło się pergamin przy sobie, bo mogli gdzieś rzucić masło na wagę. Albo smalec. Doszedłby do niej w kolejce kawałek masła, a ona bez pergaminu?! Zbierała te opakowania do końca życia. Dziwny nawyk jak na żonę wiceministra Trzeciej Rzeszy.

Jego ojciec i stryj walczyli na froncie wschodnim.

Jego stryj zginął w Borach Tucholskich w drugim dniu drugiej wojny światowej. Polacy strzelali z góry, przywiązani pasami do wierzchołków drzew. Przyjaciel stryja mówił, że było to nieprzyjemne.

Ojciec zawsze wiedział, co należy zrobić. Pił kiedyś kawę z kolegami w sztabie pułku, w Rosji, pod Carskim Siołem. Rozmawiali o czymś, o niczym ważnym, i nagle wstał jeden z oficerów. Wyjął rewolwer. Strzelił w portret Adolfa Hitlera. Oficerowie zamilkli. Patrzyli po sobie, jakby sprawdzając, czy w pokoju są sami swoi. Przerwał milczenie jego ojciec. – Myśleć będziemy później, teraz zrobimy to, co on. Wyjął rewolwer, po nim strzelili wszyscy. Nikt nie doniósł, to zrozumiałe.

Ojciec wiedział, jakimi słowami należy mówić.

Mówił na przykład: – Wszyscy byliśmy mordercami.

Albo: – Przed sobą udawaliśmy, że nie wiemy.

Albo: – Nie wiedzieliśmy, wiedząc wszystko.

Szkło było kuloodporne, osłaniał nim ślady po pociskach. Wyglądało to trochę jak obraz – fragment muru, beton albo cegła i mały, ciemny, złowrogi otwór. Albo jak tablica pamiątkowa. Nad tablicą czy obrazem umieszczał napis: RANY PAMIĘCI.

Mówił, że chodzi o rany ofiar i rany sprawców. Pamięć cierpienia i pamięć o dokonanej zbrodni.

Mówił, że to archeologia dwudziestego wieku.

Powiesił szkła w kilku europejskich krajach. W Warszawie na ulicy Bielańskiej, na murze dawnego Banku Polskiego. Bank był redutą powstańczą w czterdziestym czwartym roku, bronił się przez cztery tygodnie. Cała elewacja pokryta była śladami kul, dość długo zastanawiał się, które wybrać.

Szkło wisiało przez jakiś czas, potem zniknęło, nikt nie wie, gdzie jest teraz.

Nie powiedziałam mu, że w Warszawie ślady kul nie zwracają na siebie niczyjej uwagi. Nawet pod szkłem. Są codziennością, banalnym szczegółem w pejzażu miasta.

Miejsca codziennej nieuwagi, powiedział ktoś.

W Belgii rany pamięci były schowane w drzewach – dębach, grabach i jesionach. Były odłamkami szrapneli. Utkwiły w pniach podczas walk o Ardeny w zimie, w czterdziestym czwartym roku. Z czasem zarosły, jak rany, które się zabliźniają. Cieśle szukali ich wykrywaczami metali. Żeby piły nie tępiły się podczas wycinki.

Dowiedział się o tym od jednego z cieśli.

Kupił kilka pni i wykrywacze metalu.

Pokazał wszystko na wystawie. Zwiedzający mogli badać drewniane eksponaty, posłuchać odgłosu szrapnela i dotknąć ręką rany pamięci.

Jeden kraj nie zgodził się na umieszczenie tablicy. Duńskie Muzeum Oporu było zdania, że inni ucierpieli bardziej, porównanie z Danią byłoby niestosowne.

Podróż do Danii była mimo to pożyteczna. Od duńskiego historyka dowiedział się o niemieckim lesie.

Był to bukowy las. W korze drzew były wyryte czyjeś imiona, daty, czasami ptak. Zostawili je wojenni jeńcy i robotnicy przymusowi. Nocowali w obozie, pracowali w Volkswagenie. Fabryka była w Wolfsburgu, w pobliżu lasu.

W fabryce pracowało dwadzieścia tysięcy najemnych robotników.

Zobaczył w tych drzewach pomnik, który zasługuje na opiekę i trwanie. Podzielił się refleksją z władzami miasta, ale myśl o pomniku nie zrobiła na nich wrażenia. Władze zawiadomiły go, że drzewa będą wycięte – wymaga tego dobro lasu.

Kupił papier, jakiś specjalny, japoński, i zrobił frotaże, kopie drzew. Przykłada się papier i trze się – grafitem, ołówkiem albo węglem. Powstaje rysunek. (Max Ernst położył papier na drewnianej podłodze, ołówkiem zrobił odcisk i ukazał się tajemniczy las, tak przynajmniej mu się zdawało).

Na jego frotażach ukazała się kora drzew, a w niej imiona, cyfry, gwiazdki, flagi, był ptak, gołąb chyba...

Pojawiło się imię – Eduard, pisane cyrylicą. I cyfra – 18. I słowo – liet, też cyrylicą. I data – 29 maj 1944.

Osiemnastoletni Rosjanin zawiadamiał świat o swoim istnieniu.

Z lewej strony, koło imienia, był kwiat. Róża, precyzyjnie wycięta – z łodygą, płatkami i liśćmi.

Róża i słowa były bardzo nisko, Eduard rył kawałkiem szkła leżąc na ziemi.

Drzewo ścięto.
Pień z Eduardem przewieziono do miejskiego muzeum.
Pień zaczął próchnieć i gnić, kora odpadała płatami. Miasto Wolfsburg spytało go o radę. Powiedział: odtwórzmy pień w metalu, w brązie najlepiej. Jak rzeźbę, jak pomnik.

Nie wyrzeźbił drzewa-pomnika.
Wróciła choroba, rak krwi.
Zmarł 13 czerwca 2008.

Pień przewieziono do pracowni rzeźbiarki Sabriny H.
Zabezpieczyła korę, jak się konserwuje obraz. Pracowała długie miesiące. Zafrapowała ją róża, kunsztownie wyrzeźbiona. O kim ten chłopak myślał, leżąc pod drzewem? Dla kogo był kwiat? Dla dziewczyny? Dla matki?

Sabrina H. zawiozła pień do odlewni brązu.
Zrobiono negatyw z silikonu, pozytyw z wosku i odlano metal.
Powstał pomnik pnia.
Z czytelnym napisem – Eduard 18 liet...
Umieszczono go w centrum miasta na placu Sary Frenkel.
(Urodziła się w Lublinie. Była w Volkswagenie na robotach, pracowała w fabrycznym żłobku. Były tam dzieci przymusowych robotnic. Prawie wszystkie umarły – z głodu, brudu i chorób. Na miejskim cmentarzu jest kamień poświęcony dzieciom).

Chciał pamiętać rany oprawców i rany ofiar. Wierzył, że pamięć o cierpieniu czyni człowieka lepszym.

Dwa lata temu zadźgano nożem jego młodszego brata. Nożownik pamiętał, że ich ojciec kierował zakładami, w których powstawała trująca substancja. Użyto jej w Wietnamie podczas wojny. Nożownik był przeciwnikiem wojny oraz całej rodziny von W. Wolałby zabić ojca, ale już nie żył. Zabił syna. Wiadomo, gdzie kupił nóż i jakim pociągiem przyjechał do Berlina.

Prace Sabriny H. stoją na placach i dziedzińcach, jej biały koń jest w muzeum (ostatnio z czarnym napisem – WIĘCEJ BIELI!).
Czasami pisze wiersze.
W wierszach lepiej rozumie siebie samą i swoje myśli.
Była na cmentarzu. Położyła Andreasowi kilka róż i opowiedziała o naszych rozmowach. Wiedział już o nich i nie był zdziwiony. ©

Dziękuję Sabrinie Hohmann, żonie Andreasa von Weizsäckera, za nasze niekończące się rozmowy.

Instalacje „Rany pamięci" Andreas von W. realizował z Beate Passow.

Wnikliwa analiza ich pracy jest w książce Justyny Balisz-Schmelz „Przeszłość niepokonana", Kraków 2018.

O miejscach nieuwagi pisał Walter Benjamin.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym", czyli wszystkie światy pod jednym adresem

Ponad 75 lat na ul. Wiślnej to 75 lat historii polskiej kultury, polskiego Kościoła, polskiej inteligencji i polskiego dziennikarstwa.
W wydaniu:

- prawdziwa historia „Tygodnika" i jego zespołu
- wiele niepublikowanych dotąd zdjęć i nowe teksty
- piszą i rysują m.in. ks. Adam Boniecki, Kalina Błażejowska, Olga Drenda, Anna Goc, Stefan Kisielewski, Ryszard Koziołek, Michał Kuźmiński, Stanisław Lem, Bartosz Minkiewicz, Sławomir Mrożek, Michał Okoński, Paweł Sołtys, Ewa Szumańska, Leopold Tyrmand, Marcin Wicha.

weź, czytaj!

Wydanie dostępne jako ebook na powszech.net/wislna12

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA
Walstead
Fundacja Obywatelska im. Henryka Wujca
Copernicus Center
Polska Rada Biznesu
znak
Fundacja
ECS
Konrad Adenauer Stiftung
Kraków
zaiks

WYDANIE WSPIERA

NAUKA

ISTOTNIE, MAMY PROBLEM

Głęboko we wnętrzu współczesnej metody naukowej czai się pułapka związana z dążeniem do uzyskiwania wyników statystycznie istotnych. Na szczęście coraz lepiej wiemy, co robić, by w nią nie wpadać.

MIROSŁAW SZREDER

Użyteczność badań naukowych manifestuje się najsilniej w postaci rozmaitych wynalazków, technologii czy leków. Ostatnie miesiące dobitnie to pokazały. Stworzenie w krótkim czasie szczepionek przeciwko koronawirusowi jest niezaprzeczalnym triumfem metod naukowych oraz całego procesu gromadzenia wiedzy naukowej i jej weryfikacji.

Ten proces przynosi trwały postęp cywilizacyjny, ale – wbrew pozorom – sam nie jest wolny od porażek i problemów. Ważnym ich źródłem są dylematy dotyczące sposobów rozstrzygania o tym, czy zaobserwowane w eksperymentach laboratoryjnych lub próbach losowych prawidłowości odnieść można do całych populacji będących celem tych badań.

Zerwać z kultem

O niektórych z tych problemów, w tym o tzw. kryzysie replikacyjnym, pisał na tych łamach w kwietniu Wojciech Brzeziński [„Jak zbadać badania", „TP" nr 17/2021]. Jego artykuł koncentrował się na tych problemach, których źródłem są sami naukowcy. Są one najczęściej emanacją ludzkich słabości i nieopanowanych pokus. Dążenie do szybkiego odniesienia sukcesu badawczego, czasami rozgłosu lub sławy, a także presja na publikowanie badań w prestiżowych czasopismach sprawiają, że wiele ogłaszanych wyników nie znajduje późniejszego potwierdzenia przy próbie ich weryfikacji. Brzeziński słusznie zauważył, że w środowiskach naukowych coraz ważniejsze staje się szybkie przedstawienie i opublikowanie „statystycznie istotnych wyników", bez należytej refleksji na temat ich jakości i znaczenia. Źródłem tego problemu są jednak nie tylko naukowcy, ale także pewne aspekty metody badawczej, w której tak ważna i pożądana jest „statystyczna istotność".

„Porzućcie statystyczną istotność" – apelowało ponad 800 naukowców reprezentujących wiele dziedzin na łamach „Nature" wiosną 2019 r., wyjaśniali, że nie wszystko, co jest „statystycznie istotne", jest w ogóle naukowo interesujące lub ważne. Już wtedy od ponad dziesięciu lat dostępna była na rynku książka Stephena Ziliaka i Deirdre McCloskey „The Cult of Statistical Significance: How the Standard Error Costs Us Jobs, Justice, and Lives" („Kult statystycznej istotności. W jaki sposób za błąd standardowy płacimy zatrudnieniem, sprawiedliwością i życiem"). Spróbujmy najpierw wyjaśnić, co takiego tkwi w pojęciu „statystycznej istotności", że związane z nią błędy, ich konsekwencje i koszty mogą dotykać najważniejszych sfer naszego życia.

JACEK NOWAK / ALAMY / BE&W

Po pierwsze, stało się ono – w opinii części jego użytkowników – poważnie brzmiącym określeniem na opisanie znacznych zmian lub różnic występujących w dowolnych zbiorach liczbowych. Często użycie tego terminu jest wyrazem dążenia badacza do podkreślenia wagi zaobserwowanych przez siebie efektów. I, wbrew ścisłej definicji „statystycznej istotności", w wielu przypadkach pojęcie to odnoszone jest do obserwacji w ogóle niezwiązanych z eksperymentem losowym. Ale i w takich okolicznościach zamiast zaobserwowane efekty nazwać dużymi lub ponadprzeciętnymi, część autorów uzna, iż większe wrażenie zrobi kategoria statystycznej istotności, ze swoim naukowym rodowodem.

Niestety, praktyce tej sprzyja fakt, że wśród niespecjalistów wiele osób nie wie, co pojęcie istotności statystycznej w nauce faktycznie oznacza.

W języku potocznym

Dość powszechne stało się np. przypisywanie statystycznej istotności prawidłowościom i wzorcom, które w dostrzegalny sposób uwydatniają się w zbiorach danych statystycznych, np.: „statystycznie istotny wzrost dochodów w określonej grupie gospodarstw domowych" albo „statystycznie istotny wzrost inflacji w pewnym przedziale czasu". Tak potocznie użyta kategoria statystycznej istotności ma podkreślać nieprzypadkowość i trwałość zaobserwowanej tendencji. W wartościach absolutnych nie musi to oznaczać dużych zmian (np. wzrost inflacji każdego roku o 1 punkt proc.), lecz akcentować trend, jaki przebija się przez informacyjny szum charakterystyczny dla dużych zbiorów danych statystycznych. Oczywiście, rząd zamiast wypowiadać się o inflacji, chętniej ogłosi statystycznie istotny wzrost emerytur, mając na myśli raczej trend wzrostu świadczeń emerytalnych przez kilka lat niż ich konkretne, niekoniecznie duże wielkości.

W innym znaczeniu – także odległym od oryginalnego – statystycznie istotna wielkość, najczęściej różnica, oznacza dużą zmianę w stosunku do obserwowanych wcześniej wahań. Np. statystycznie istotna różnica w liczbie nowych infekcji w dwóch sąsiednich dniach jest komunikatem oznaczającym po prostu dużą zmianę z dnia na dzień, większą od notowanych w poprzednich dniach. ↦

↦ Żadnego z podanych wyżej znaczeń terminu „statystyczna istotność" – mimo że obecnych często w publicystyce naukowej i w codziennym użyciu – nie można uznać za poprawne. W nauce termin ten ma wyrażać coś, czego doświadczamy wszyscy, kiedy tylko uświadomimy sobie, że obracamy się i żyjemy w świecie zdarzeń losowych. Próbując zrozumieć i zinterpretować te zdarzenia (czyli przypadki), szukamy zwykle odpowiedzi, czy rzeczywiście to, co się zdarzyło, to kolejny przypadek, czy też kryje się za tym jakaś prawidłowość.

Możemy też zapytać nieco inaczej: jak nieprawdopodobna musiałaby być sekwencja zdarzeń, których doświadczyliśmy, by można uznać je za nieprzypadkowe? Czyli właśnie za statystycznie istotne – bo takie jest oryginalne znaczenie tego terminu.

Klucz numer dziewięć

Jeżeli więc – jak w opowiadaniu Olgi Tokarczyk pt. „Dziewięć", będącym fragmentem „Biegunów" – klucz hotelowy o numerze dziewięć gubił się pośród innych kluczy najczęściej, to pytanie autorki: „jakie to prawo rządziło kluczem numer dziewięć, jakie przyczyny i jaki skutek", dobrze ilustruje omawiany problem. Czy fakt, że każdego roku portier „w małym tanim hotelu nad restauracją" musiał zamawiać najwięcej nowych kluczy z numerem dziewięć, uznać można za przypadek (losowy ciąg zdarzeń), czy raczej, wobec małego prawdopodobieństwa takiej sekwencji przypadków, za statystycznie istotną prawidłowość?

W rzeczywistości jest to pytanie o to, jak małe musi być prawdopodobieństwo ciągu zdarzeń, aby uznać je za niedające się wyjaśnić losowością (statystycznie istotne). Najczęściej przyjmuje się w nauce – arbitralnie, dodajmy – że tym granicznym prawdopodobieństwem jest 5 proc. W niektórych dziedzinach to kryterium jest znacznie bardziej wyśrubowane, zwłaszcza gdy obserwacje prowadzone są w warunkach laboratoryjnych, przy mniejszej liczbie zakłóceń niż np. w badaniach psychologicznych.

Przyjmijmy więc roboczą – dość zdroworozsądkową – hipotezę, że klucze do poszczególnych pokoi hotelowych gubią się z jednakową częstotliwością. Kilkuletnie, rzetelne obserwacje portiera wskazują jednak, że klucz numer dziewięć gubi się częściej od innych. Mamy teraz do wyboru albo uznać, że portier jest świadkiem ciągu zdarzeń o małym prawdopodobieństwie (bo klucze faktycznie gubią się przypadkowo), albo musimy przyjąć, że nasza robocza hipoteza jest nieprawdziwa – że jest jakiś nieznany nam jeszcze powód, dla którego nie wszystkie klucze gubią się z taką samą częstotliwością.

> Ciekawe, jakie to prawo rządziło kluczem numer dziewięć, jakie przyczyny i jaki skutek. A może rację miał recepcjonista, jego spontaniczna intuicja **– że to przypadek.**

Teraz, korzystając z prostej matematyki (zakładając, że wiemy, ile jest pokoi w hotelu oraz ile i jakich kluczy zgubiło się w określonym przedziale czasu), możemy obliczyć, jakie jest prawdopodobieństwo, że klucz o numerze dziewięć gubi się zupełnie przypadkowo. Jeśli to prawdopodobieństwo będzie mniejsze od 5 proc., to zgodnie z kryteriami przyjmowanymi w nauce powinniśmy uznać, że nasza hipoteza robocza nie jest poprawna – czyli że klucze jednak nie gubią się całkowicie losowo (nie wiemy jeszcze, co sprawia, że tak się dzieje, ale uczyniliśmy pierwszy krok do tego odkrycia...).

Naukowcy w praktyce niemal nigdy nie dysponują pełną wiedzą o wszystkich wystąpieniach zjawisk, które ich interesują – zawsze obserwują jakąś próbę (np. tylko przez jakiś czas zbierają wyniki zderzeń cząstek elementarnych, znaleźli tylko kilka skamieniałości jakiegoś kopalnego gatunku, podają testowany lek wyłącznie pewnej grupie pacjentów albo śledzą zachowanie jedynie określonej grupy szympansów) i na tej podstawie formułują wnioski o zbiorowościach. Dlatego stale mają do czynienia z losowością i statystycznym testowaniem hipotez.

Próba wystarczająco duża

Przedstawione wyżej podejście do istotności statystycznej, choć jest logicznie spójne, a w statystyce obecne już od prawie stu lat, budzi współcześnie coraz więcej wątpliwości i kontrowersji. A jest się o co spierać, bo konsekwencje odrzucenia lub nieodrzucenia jakiejś hipotezy badawczej, np. dotyczącej efektów ubocznych szczepionki, mogą być bardzo poważne. Zasadnicze są tu dwa problemy: pierwszy dotyczy rzeczywistego znaczenia statystycznej istotności jako kategorii poznawczej w nauce, drugi – postępujących w praktyce badań naukowych uproszczeń w rozstrzyganiu o nieprawdziwości testowanych hipotez.

Słusznie krytykowany jest od pewnego czasu „kult statystycznej istotności", przede wszystkim dlatego, że istotne statystycznie wyniki można uzyskać stosunkowo łatwo, jeżeli tylko do dyspozycji ma się odpowiednio dużą próbę losową. Współcześnie o takie próby nietrudno, ale problem ten naukowcy sygnalizowali już znacznie wcześniej.

W 1966 r., na łamach „Psychological Bulletin" David Bakan scharakteryzował doświadczenie, w którym sam uczestniczył, polegające na przetestowaniu zwykłych baterii wśród 60 tys. Amerykanów. Dzieląc tę próbę na dwie grupy osób według dowolnych kryteriów, takich jak mieszkanie po wschodniej *versus* zachodniej stronie rzeki Missisipi czy na północy *versus* południu kraju, uzyskiwał za każdym razem statystycznie istotne różnice w średnich wartościach żywotności baterii używanych przez respondentów (co oznacza, jak już wiemy, iż prawdopodobieństwo, że te różnice są efektem przypadku, obliczono na mniej niż 5 proc.).

Dzieje się tak dlatego, że w dużych liczebnie próbach nawet małe rozbieżności między tym, co zaobserwowano, a tym, czego należało się spodziewać, gdyby prawdziwa była testowana hipoteza, stają się statystycznie istotne – ponieważ są trudnymi do wyjaśnienia czynnikami losowymi. W statystyce bowiem przyjmuje się, że wraz ze wzrostem liczebności próby (teoretycznie do nieskończoności) losowe zakłócenia powinny maleć do zera. Gdy tak się nie dzieje, zostają uznane za wyraz oddziaływania przyczyn o charakterze nielosowym. W konsekwencji, przy odpowiednio dużej próbie, zawsze można się doszukać jakichś statystycznie istotnych powiązań.

Sam fakt, że wynik badań okazał się statystycznie istotny, nie oznacza jednak, że jest on ważny w sensie poznawczym. Dlatego nie wszystkie wyniki badań naukowych, w których wykazano statystycznie istotne efekty, przyczyniają się do faktycznego wzbogacenia wiedzy. Z kolei nieistotne statystycznie wyniki

nie wzbudzą zainteresowania ani praktyków, ani redakcji czasopism, w których badacz chciałby je opublikować. Tymczasem mogą być one nowatorskie, czy wręcz przełomowe, ale po prostu wymagają dalszych studiów. Jeśli te wyniki nie ujrzą światła dziennego, bo nie wykazano jeszcze ich statystycznej istotności, nie będą miały szansy stać się inspiracją do głębszych dyskusji i analiz.

Nauka poza istotnością

Dlatego rodzi się coraz więcej wątpliwości, czy naukowcy nie stali się zakładnikami statystycznej istotności. Na szczęście w środowiskach naukowych rośnie nie tylko świadomość tego problemu, ale także zrozumienie dla postulatów, by statystyczna weryfikacja hipotez stanowiła jedną z kilku, a nie jedyną metodę naukowego uzasadnienia wyników badań eksperymentalnych. I w tym kierunku dokonują się w ostatnich latach ważne zmiany w podejściu do tego wyzwania zarówno naukowców, jak i redakcji czasopism naukowych. Postuluje się wzbogacenie testowania hipotez o prezentację wyników przedziałowych szacunków (przedziałów ufności), ilorazów wiarygodności i sięganie do innego podejścia w weryfikacji hipotez (wykorzystującego twierdzenie Bayesa, które pozwala mierzyć, jak zmienia się prawdopodobieństwo danej hipotezy wraz z napływem nowych danych). Łącznie wszystkie te narzędzia znacznie lepiej wyrażają naszą pewność co do uzyskanych wyników niż sztywne, jednowymiarowe kryterium istotności statystycznej.

Drugim problemem jest sam sposób rozstrzygania o tym, czy otrzymany wynik badania naukowego uznać można za statystycznie istotny. Krytykowane jest oparcie decyzji w tym względzie wyłącznie na jednej wielkości – wspomnianym wcześniej prawdopodobieństwie zaistnienia zaobserwowanych zdarzeń. Samo to prawdopodobieństwo nie oznacza niczego więcej niż to, jak nieprzystające do postawionej hipotezy są wyniki otrzymane w próbie. Dodatkowo krytykę tę wzmacnia praktyka stosowania dla tego prawdopodobieństwa jednolitego pięcioprocentowego progu. Poniżej tego progu wynik uznaje się za statystycznie istotny, powyżej – za statystycznie nieistotny. Statystycy chcieliby, aby badacze wyszli poza te uproszczone ramy. Szerszy kontekst, o który apelują, to przede wszystkim potrzeba uwzględnienia warunków, w jakich uzyskano próbę badawczą, konsekwencji jej liczebności, a także stopnia spełnienia innych założeń. Potrzebna jest – jak głosi jeden z punktów stanowiska Amerykańskiego Towarzystwa Statystycznego na ten temat – pełna informacja i przejrzystość.

Wielu zagrożeń, tkwiących zarówno w metodach badawczych, jak i w postawach naukowców, świadome są środowiska naukowe, zwłaszcza te identyfikujące się z ruchem tzw. otwartej nauki, i nie pozostają wobec nich obojętne. Zdają sobie sprawę także z tego, że niektóre prace – tak jak to było w przypadku badań nad szczepionkami – budzą szczególnie duże zainteresowanie społeczne. W ostatecznym rachunku dyskusja, która rozgorzała, sprzyja wzmocnieniu wiarygodności nauki i zaufania do jej wyników.

© MIROSŁAW SZREDER

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

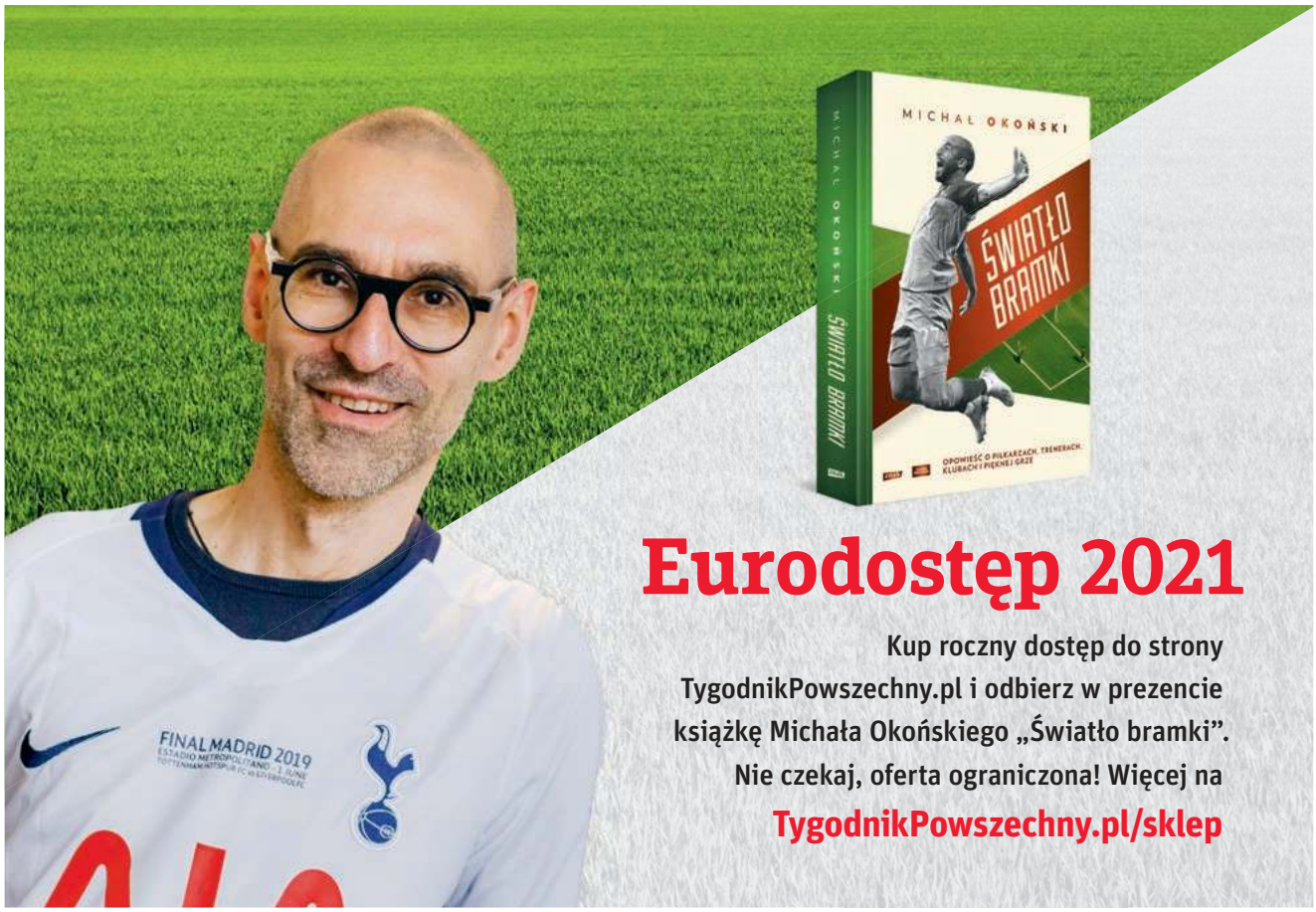

Eurodostęp 2021

Kup roczny dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl i odbierz w prezencie książkę Michała Okońskiego „Światło bramki”. Nie czekaj, oferta ograniczona! Więcej na

TygodnikPowszechny.pl/sklep

MIĘDZY WENECJĄ A ITAKĄ

Krzysztof Warlikowski otrzymał 3 lipca Złote Lwy weneckiego Biennale di Teatro za całokształt twórczości. Miesiąc wcześniej w Teatrze Nowym odbyła się długo oczekiwana premiera jego nowego spektaklu „Odyseja. Historia dla Hollywoodu".

DARIUSZ KOSIŃSKI

Stosunkowo niewielki dystans czasowy między premierą teatralną a ceremonią wręczenia prestiżowej nagrody Warlikowskiemu jest oczywiście wynikiem gry przypadku i siły wyższej, czyli pandemii („Odyseja..." zapowiadana była jeszcze na poprzedni sezon). Ale efekt tego zbiegu okoliczności jest zaskakująco znaczący. Oto reżyser odbierający nagrodę za „osiągnięcia życia" przygotowuje spektakl, który ogląda się jak coś w rodzaju osobistej antologii, konfrontację z „całokształtem twórczości" oświetlonym właśnie lwim złotem weneckim. Stwarza to dobrą okazję do spojrzenia na dorobek jednego z najważniejszych i najwyżej cenionych w kraju i poza nim twórców teatru.

Warlikowski to bez wątpienia mocna marka, jeden z niewielu, których przynależność do ekstraklasy nie jest kwestionowana, może wręcz – mistrz (choć słowo to jest dziś pochwałą nieco dwuznaczną). Zarazem można odnieść wrażenie, że osiągnięcie tej wysokiej pozycji spowodowało coś w rodzaju wyłączenia go z pola refleksji innej niż doraźna interpretacja i ocena kolejnych przedstawień.

Artysta, który w swoich bojowych latach każdym nowym przedstawieniem wydawał się wstrząsać podstawami polskiego życia teatralnego, co najmniej od kilku sezonów stał się oczywistym klasykiem, którego obecność nie wzbudza większych emocji, jest przyjmowana jak coś dawno ustalonego. Mistrza się ceni, ale ani o niego nie kłóci, ani nim specjalnie nie zajmuje. Dawny prowokator, skandalista i uzurpator jest od lat ulubionym reżyserem jak najbardziej realnej, choć trudnej do precyzyjnego określenia elity, nazywanej potocznie przez złośliwych i wykluczonych z niej „warszawką".

Na Warlikowskiego się chodzi, by potem opowiadać, że to ciekawe, i zdobywać punkty oryginalnymi interpretacjami jego niełatwych kompozycji. Chodzi się też na jego aktorki i aktorów, bo jakże nie chodzić do teatru, w którym nawet epizody grają osoby znane z ekranów, okładek pism opiniotwórczych i tych nieopiniotwórczych – też. Chętnych jest wielu, bilety się szybko wyprzedają, bo obejrzenie nowego przedstawienia prócz artystycznej satysfakcji może dać towarzyskie punkty. Trzeba się spieszyć – każda premiera jest współprodukowana przez jakiś wielki festiwal lub międzynarodowy projekt, więc za chwilę ruszy w objazd po świecie i tyle ją na Mokotowie widzieli.

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

Z ciemności

Odwiedzając dziś Nowy Teatr, będący jednym z najmodniejszych miejsc w Warszawie, nie sposób niemal uwierzyć, że to o jego założycielu i dyrektorze artystycznym obecny zastępca do spraw programowych Nowego pisał przed laty, że „buduje swój teatr w głębokim mroku, na krawędzi otchłani, za którą nie można już formułować żadnych pytań w ludzkim języku" (Piotr Gruszczyński „Ojco-

Krzysztof Warlikowski. Warszawa, kwiecień 2016 r.

bójcy"). A przecież pierwsze wielkie sukcesy Warlikowski rzeczywiście odnosił przedstawieniami, które rodziły się z rozpaczy i buntu – równie radykalnych, co niemal beznadziejnych.

Początkowo jego twórczość nie wzbudzała wielkiego zainteresowania. Debiut na scenie Starego Teatru w Krakowie („Markiza O." Heinricha von Kleista, 1993) został dostrzeżony przez niewielu, podobnie jak kilka następnych premier, które niekoniecznie odbywały się na najbardziej prestiżowych scenach kraju. Nawet „Elektra" Sofoklesa, wystawiona historycznego 18 stycznia 1997 r. w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, została przesłonięta przez o wiele głośniejsze i uznane za przełomowe przedstawienie o wiele wówczas popularniejszego Grzegorza Jarzyny; jego „Bzik tropikalny" według Witkacego w Rozmaitościach rozpoczął ekspansję polskiego „nowego teatru".

Już wkrótce jednak to Warlikowski wyrósł na jego głównego przedstawiciela, dzięki śmiałym obyczajowo, prowokacyjnym myślowo i zaskakująco świeżym teatralnie inscenizacjom klasyki – Shakespeare'a i tragedii antycznej. Gdyby teatr rzeczywiście zmieniał społeczeństwo, po okrutnym „Poskromieniu złośnicy" w Teatrze Dramatycznym w Warszawie (1998) z Danutą Stenką w roli Kasi nie mielibyśmy dziś ↦

↦ antyfeministycznej propagandy ani krucjat przeciwko genderowi. Niestety uświadomienie sobie, że przedstawienie tak klarownie i przekonująco pokazujące, jak odbywa się „tresowanie na kobietę", powstało 24 lata temu, a opresja społeczna jest dziś w Polsce większa niż wtedy, budzi niewesołe refleksje na temat skuteczności sztuki.

Najgłośniejszy skandal wywołał słynny „Hamlet" (Teatr Rozmaitości w Warszawie, 1999), czyli inscenizacja wzorcowego tekstu dramatycznego kultury Zachodu ze sceną, w której Gertrudę (Stanisława Celińska) odwiedza w jej sypialni nagi syn-królewicz (Jacek Poniedziałek). Ach, piękne czasy, gdy zdjęcie bielizny powodowało protesty na widowni, a szacowni profesorowie pisali pełne oburzenia książki z majtkami w tytule!

Otwarte podejmowanie i inscenizowanie tematu nienormatywnej seksualności oraz całego systemu kulturowych i politycznych blokad usiłujących wymazać i zahamować potężne siły pożądania wzbudzało jednak pod koniec ubiegłego tysiąclecia większe uznanie niż potępienie. Warlikowski umiał przy tym przeprowadzić swoje skandale i prowokacje w sposób estetycznie i teatralnie wyrafinowany. Powiedzenie, że jego teatr już wtedy miał ten glamourowaty sznyt, który stał się jego znakiem rozpoznawczym w następnej dekadzie, byłoby może przesadą, ale minimalistycznie nowoczesne scenografie stale i do dziś z nim współpracującej Małgorzaty Szczęśniak już wówczas chroniły jego spektakle przed wzbudzaniem niepokojącego wstrętu, naruszaniem powierzchni designerskiego projektu. Starszych profesorów i nobliwe mieszczanki może i oburzały nagie ciała, ale wystarczy popatrzeć na klasyczne już dziś zdjęcia, by przekonać się, jak bardzo były one rzeźbiarsko ujęte i oświetlone, jak estetycznie wyczyszczone.

Może najbardziej znane z tych zdjęć pochodzi z przełomowego przedstawienia „Oczyszczonych" Sarah Kane, które powstało (co wówczas było ważną innowacją) jako koprodukcja trzech teatrów: warszawskich Rozmaitości, poznańskiego Polskiego i wrocławskiego Współczesnego (premiera we Wrocławiu, 2001). Inscenizacja pełnego okrucieństwa dramatu niezwykle wówczas popularnej „brutalistki" też wzbudziła protesty (wspomniane „klasyczne zdjęcie" przedstawiające dwóch nagich całujących się mężczyzn i dziś jest prowokujące), ale zdecydowanie przeważały zachwyty. Warlikowski wygładził chropowatą powierzchnię dramatu Kane, wyrwał jej sztuce zęby jadowe, a wykrzywioną twarz cierpiącej autorki pokrył modnym makijażem. Schłodziwszy emocje, wydobył filozoficzną głębię tekstu, uczynił z niego rodzaj teatralnego eseju o (jak by się dziś powiedziało) „postantropocentrycznym i postgenderowym człowieczeństwie". Dał dużo do myślenia, używając znaków tylko powierzchownie prowokacyjnych – nagość i okrucieństwo były elementami kompozycji, która układała się w innowacyjny jak na owe czasy traktat o utraconej oczywistości bycia człowiekiem.

> Pierwsze wielkie sukcesy Warlikowski odnosił przedstawieniami, które **rodziły się z rozpaczy i buntu** – równie radykalnych, co niemal beznadziejnych.

Na podium

Inscenizacja Kane – trafiająca w swój czas, wydobywająca na powierzchnię to, co dopiero kilkanaście lat później stało się oczywistością – przeważyła szalę. Warlikowski został po niej już powszechnie uznany za najważniejszego reżysera swojego pokolenia, a jego kolejne przedstawienia, choć wciąż jeszcze niektórych oburzały, miały już zdecydowanie więcej zwolenników niż przeciwników.

Ostateczną akceptację przyniosła premiera „Kruma" Hanocha Levina (koprodukcja Rozmaitości i Starego Teatru w Krakowie, 2005). Sztuka cenionego izraelskiego pisarza wpasowała się idealnie w ówczesne oczekiwania widzów teatru dramatycznego. W tym samym czasie Warlikowski zaczął odnosić znaczące sukcesy w teatrach operowych i na scenach zagranicznych, co umocniło jego pozycję. Jej potwierdzeniem była decyzja o stworzeniu w Warszawie jego własnej sceny, Nowego Teatru. Wprawdzie wprowadził się on do dzisiejszej siedziby w dawnej zajezdni MPK dopiero w kwietniu 2016 r., ale już w 2009 r. na zamówienie festiwalu w Awinionie wyprodukował kolejne niezwykle ważne i wysoko cenione przedstawienie Warlikowskiego, „(A)pollonię" (2009). Spektakl łączył tragedie Ifigenii, Alkestis i Apolonii Marczyńskiej, zamordowanej za ukrywanie Żydów, jednocześnie łącząc nieprzepracowane do dziś kwestie relacji polsko-żydowskich z tematem okrucieństwa przenikającego relacje między najbliższymi. Pokazywany na całym świecie, grany do dziś, stanowi jedno z największych osiągnięć reżysera, także w kategoriach mierzenia się wypartymi traumami społecznymi, o czym świadczy choćby poświęcony mu finałowy rozdział „Polskiego teatru Zagłady" Grzegorza Niziołka.

Jak to często bywa, osiągnięcie szczytu okazało się zarazem początkiem pewnego kryzysu. Począwszy od „Końca" (2010), przez „Opowieści afrykańskie według Szekspira" (2011) po „Kabaret warszawski" (2013) każde nowe przedstawienie Warlikowskiego przynosiło kolejny splot tematów, wątków, aluzji i postaci literackich układanych według oryginalnej logiki i estetyki w przedstawienia równie kłopotliwe dla jednych widzów, co cenione przez innych.

Paradoks polegał na tym, że wydawały się one i kłopotliwe, i cenione z tych samych powodów. Intelektualne wyrafinowanie, pozostawanie poza coraz bardziej konserwatywnymi konwencjami „normalności", estetyka maskująca rozpacz i przemoc jednych irytowały, innych zachwycały. Wszystkich przyzwyczajały do autorskiego stylu. Na przełomie tysiącleci widz Warlikowskiego był zaskakiwany – pozytywnie lub nie – śmiałością obyczajową, oryginalnością pomysłów i interpretacji, bezceremonialnością w traktowaniu tekstów czy choćby nowością obrazów scenicznych.

Dziesięć lat później wizyta na przedstawieniach Warlikowskiego i jego stałej ekipy to raczej doświadczenie powrotu do dobrych znajomych, których nadal lubimy i cenimy, choć w zasadzie wszystko już o nich wiemy. Owszem – wypowiedzą się mądrze i ciekawie na tematy aktualnie dyskutowane, ale już raczej nie podsuną nowych. Nawet kiedy mówią o rzeczach kłopotliwych, albo potencjalnie straszliwych, zamieniają je w modne „traumy", które to słowo – odmieniane na tysiące sposobów i używane przy każdej

MAGDA HUECKEL / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU NOWEGO

Spektakl „Odyseja. Historia dla Hollywoodu", Nowy Teatr w Warszawie. Od lewej: Mariusz Bonaszewski, Ewa Dałkowska i Maja Ostaszewska

okazji – dawno straciło dotkliwość niegojącej się, gnijącej rany. W Nowym Teatrze nic nie gnije i na pewno nic nie śmierdzi. Zamiast tego możemy liczyć na pocieszenie odnajdywane w aktach urzeczywistniania na scenie tego, co w pozateatralnej rzeczywistości nie spełniło się i nigdy nie spełni.

Dwuznaczność tej procedury wielokrotnie zauważał Marcin Kościelniak, który już przy okazji „(A)Pollonii" pisał w „Młodych niezdolnych" o ryzyku zapraszania widzów i aktorów do przeżywania krótkotrwałej wspólnoty poprzez inscenizowanie „estetyzowanego, wzniosłego, pięknego teatralnego rytuału", by później kilkakrotnie zwracać uwagę na powracające, coraz bardziej problematyczne próby powoływania takiej utopijnej jedności w finałach kolejnych przedstawień. Po „Kabarecie warszawskim" wręcz pytał, jak teatr Warlikowskiego, będący „wisienką na torcie mainstreamu", ma zamiar pogodzić swój modny „elitaryzm ze statusem miejsca, w którym afirmuje się margines i wykluczenie".

Niepowroty

Na te pytania Warlikowski nie udzielił odpowiedzi, choć w jego teatrze coś się najwyraźniej zacięło. Po modelowo festiwalowej superprodukcji, jaką byli przyjęci jednak dość chłodno „Francuzi" według Marcela Prousta (2015), Warlikowski większe sukcesy zdaje się odnosić w operze, gdzie jego skłonność do estetyzacji, rozbudowanych inscenizacji i erudycyjnych zestawień współgra z jawną sztucznością konwencji. Natomiast w teatrze nastąpił powrót do tych tekstów i tematów, które kiedyś przekonały do niego wcześniejszych malkontentów. Najpierw był to powrót do Levina w „Wyjeżdżamy" (2018), a teraz, w „Odysei. Historii dla Hollywoodu" – powrót do opowiadań Hanny Krall, polskiego teatru Zagłady i starożytnej Grecji.

Temat grecki związany jest oczywiście z postacią Odysa. Od czasów Wyspiańskiego i Kantora jest to w polskim teatrze figura niepowrotu – choć fizycznie wraca, to tylko po to, by się boleśnie przekonać, że rzeczywisty powrót jest niemożliwy. Warlikowski rozgrywa ten wątek w zgodzie z tradycją, utrzymując go zarazem w tym samym rejestrze trywialnej codzienności, jak niedawne „Wyjeżdżamy". Nieprzypadkowa zbieżność byłaby jeszcze bardziej oczywista, gdyby nie śmierć Zygmunta Malanowicza grającego też w tamtym spektaklu. W „Odysei" zastępuje go Stanisław Brudny, tworzący wspaniale chaplinowską postać ojca, który wraca po latach, by przekonać się, jak dobrze jego najbliżsi nauczyli się żyć bez niego.

Znam takich ojców, mam ich za sąsiadów. Wszyscy też dobrze znamy ten przykry moment, gdy opowiada się swoje wyjazdowe przygody i po chwili orientuje, że nikogo one nie obchodzą. Tak i opowieści Odysa o niezwykłych przygodach tylko rozdrażniają jego bliskich. Ale do świata, któremu je zawdzięcza, bohater też nie chce wrócić. Odrzuca pokusę nieśmiertelności podsuwaną przez Kalipso (Jaśmina Polak) i pozostaje pomiędzy światami – w tym samym miejscu i czasie, w którym znalazł się na początku – wszystko już przeżył, ale domu nie odzyskał. Jak mówi pojawiająca się na ekranie jego zmarła matka (Krystyna Zachwatowicz-Wajda) – na wszystko się spóźnił, łącznie z własnym porodem.

Ten spóźniony i niepowrócony bohater kultury śródziemnomorskiej w sposób poetycki łączy się z powracającą w przedstawieniu i w teatrze Warlikowskiego figurą dybuka. Dybuk też jest postacią powrotu – umarłym, który wraca między żywych, bo nie może od nich odejść. O dybuku zamordowanej siostry Szajka (Mariusz Bonaszewski) opowiada mu (w również nagranym, niezwykle przejmującym i aktorsko mistrzowskim monologu) Maja Komorowska, która wierzy, że uda jej się z dybukiem rozstać po znalezieniu brata zmarłej i opowiedzeniu mu o nim. Bo dybuka da się ukoić i odesłać poprzez sztukę, która ma moc przywracania ładu, spełniania niemożliwego.

W „Historii dla Hollywoodu" dowodzi tego teatralna realizacja niepowstałego w rzeczywistości filmu o losach Izoldy Regensberg (Ewa Dałkowska), ocalałej z Zagłady, która marzyła, by jej życie stało się tematem powieści, a następnie wielkiej hollywoodzkiej produkcji. W opowiadaniu Hanny Krall, od którego pochodzi druga część tytułu spektaklu, to sama pisarka podejmuje się napisania takiej powieści, świat wielkiego filmu reprezentuje zaś doradzający jej przyjaciel, Krzysztof Kieślowski. W przedstawieniu powieść i scenariusz pisze Marek Hłasko (Jacek Poniedziałek), film reżyseruje Roman Polański (Piotr Polak), a w roli Izoldy występuje ni mniej, ni więcej tylko Elizabeth Taylor (Magdalena Cielecka). Teatr spełnia więc (przynamniej częściowo i fikcyjnie) wielkie marzenie Izoldy. Ale zarazem przez sceny ukazujące losy Liz Taylor (m.in. zestawienie filmu, w którym aktorka pojawia się jako Piękna Helena z zainscenizowanym wywiadem, jakiego udzieliła po operacji nowotworu) siła sztuki zostaje podważona.

Udręka ciała i surrealna codzienność wydają się na równych niemal prawach negować spójność i wystarczalność przedstawienia. Warlikowski jest tego świadom, ale koniec końców wybiera po raz kolejny inscenizację. Tuż przed finałem ↦

↦ przywołuje słynny film „Shoah" Claude'a Lanzmanna, by następnie wprowadzić na scenę samego reżysera (Wojciech Kalarus), wygłaszającego komentarz potępiający próby ujmowania Zagłady w schematy melodramatyczne. Umieszczenie przemowy Lanzmanna tuż przed finałem pozwala widzieć w niej coś w rodzaju podsumowującego autokomentarza – jakby sam Warlikowski chciał powiedzieć, że on też inscenizuje, bo nie da się inaczej dobić do prawdy.

W ostatniej scenie dom młodych Izoldy i Szajka nawiedza groteskowy dybuk, grany przez Ewę Dałkowską. Izolda rozpoznaje jego dybukowatą naturę i przebija go kuchennym nożem. Dybuk oczywiście nie umiera – wychodzi z domu i widzimy go, gdy za oknem podskakuje śpiewając „Hava nagila". Wesoły dybuk wzywający do tego, by się radować, będący zarazem ukrytą pod teatralną charakteryzacją główną bohaterką przedstawienia – znaki nachodzą na siebie i zdają się wzajemnie zgniatać i unieważniać.

Tak w finale, jak i w całej kompozycji ambicją twórców było chyba otwarcie przestrzeni dla twórczej interpretacji, kreatywnego współmyślenia. Zamiast tego otrzymujemy jednak rozbudowany esej teatralny, tylko chwilami wciągający, przez większość czasu męczący albo oczywistościami, albo niezamierzoną parodią odrzuconego scenariusza Quentina Tarantino (wyjątkowo irytująca i zagrana na stereotypach, z niewiadomych powodów rozciągnięta w czasie sekwencja hollywoodzka).

Oglądając całą paletę znakomitych aktorów niezmuszonych do przekraczania poziomu rzemieślniczej przyzwoitości, układając własne interpretacje jak na jakimś teatrologicznym seminarium, niemal bezwolnie wpadałem w złośliwą przekorę każącą widzieć klucz do przedstawienia w powracającej sekwencji męki Marka Hłaski, który strasznie chce zapalić, ale nie ma ognia. I nie ma go też nikt w tej klimatyzowanej sali. Bardzo przyjemnie się w niej siedzi w upalny czerwcowy wieczór, ale potem trzeba wyjść i przypomnieć sobie, że ten przyjazny klimat wytwarzany jest sztucznie, podczas gdy na zewnątrz płonie świat.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Żywot polityczny

GRZEGORZ JANKOWICZ

Artur Domosławski rzuca światło nie tylko na los samego Zygmunta Baumana, ale też na mechanizmy, które w ostatnim stuleciu decydowały o tym, kto w Polsce mógł czuć się Polakiem.

Wbrew temu, co pisze się o pracach socjologicznych i eseistycznych Zygmunta Baumana, spora część zawartych w nich rozpoznań nie straciła wcale na aktualności. Lecz jeśli nawet żywotność jego dzieła bywa kwestionowana, to bezdyskusyjna jest obecnie waga jego żywota. To on przyciąga dziś interpretatorki i interpretatorów, to o niego toczą się gwałtowne spory.

Ukazały się ostatnio trzy biografie Baumana autorstwa – w kolejności odpowiadającej datom publikacji – Dariusza Rosiaka, Izabeli Wagner oraz Artura Domosławskiego. Książka Wagner została wydana po angielsku; edycja polska jest przygotowywana. Trzy biografie niedługo po śmierci bohatera (2017). Zdarzenie w Polsce bez precedensu, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że wiele innych znaczących XX-wiecznych postaci nie doczekało się jeszcze nawet jednej pełnowymiarowej opowieści biograficznej.

Te trzy książki to łącznie dwa tysiące stron, które – jestem o tym przekonany – należy przeczytać. Dlaczego? Otóż dlatego, że dyskusja na temat biografii Zygmunta Baumana to spór nie tylko o naszą wspólną przeszłość, lecz również o naszą przyszłość.

Rewizje

Wydarzenia składające się na życiorys Baumana mogłyby posłużyć za kanwę wieloodcinkowego serialu.

Przedwojenne poznańskie podwórko, na którym kilkuletni żydowski chłopak doświadcza antysemickich ataków ze strony rówieśników. Zderzenie z instytucjami nowej Polski, które pielęgnują opresyjne hierarchie i konserwują społeczne patologie. Ucieczka przed nazistami w głąb Rosji, w objęcia jednego z dwóch XX-wiecznych totalitaryzmów, który jemu dawał nadzieję na przetrwanie. Okres formacyjny w zideologizowanym środowisku komsomolskim. Nastoletnia służba w moskiewskiej milicji i decyzja o wstąpieniu do IV Dywizji Wojska Polskiego. Udział w walkach na froncie zachodnim, m.in. w krwawej bitwie kołobrzeskiej, w której Bauman zostaje ranny. Wcielenie do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i kilkuletnia służba w nim. Praca w wywiadzie wojskowym.

Konflikt z ojcem, którego podłożem jest odmienna wizja życia w Polsce. Założenie własnej rodziny, która wraz z nim walczy z wszystkimi przeciwnościami losu (niejednokrotnie źródłem tych problemów są jego decyzje i wybory). Studia w powojennej polskiej akademii. Wybór kariery naukowej. Zderzenie z prawdą o zbrodniach okresu stalinowskiego. Przymusowy wyjazd z Polski w wyniku antysemickiej nagonki rozkręconej w 1968 r. przez komunistyczne władze. Nieudana próba zbudowania wszystkiego od nowa w Izraelu. Przeprowadzka do Wielkiej Brytanii i okres stabilizacji, którego pierwszą część poświęca Bauman na zarządzanie katedrą socjologii Uniwersytetu w Leeds, a drugą na napisanie kilkudziesięciu książek, w tym dzieł uznanych za jego najważniejsze. Światowa sława.

Wizyty w Polsce po 1989 r., podczas których najpierw jest hołubiony przez rodzime środowisko intelektualne, potem na różne sposoby wykorzystywany, wreszcie – odrzucany. Jedną z najważniejszych przyczyn tego ostatniego gestu są ataki ze strony prawicowej prasy, na łamach której ukazują się oskarżycielskie artykuły antykomunistycznych dziennikarzy, bez dowodów przypisujących socjologowi zbrodnie przeciwko polskiemu powojennemu podziemiu niepodległościowemu.

Z opowieści Rosiaka, Wagner i Domosławskiego wyłania się obraz człowieka, który podźwignął się z upadku i wyszedł z opresji. Cena, którą musiał jednak przy tym zapłacić, jest bardzo wysoka. Rany, które Bauman w sobie nosił, były głębokie. Fakt, że zdołał przezwyciężyć tak wiele przeszkód, że nie poddał się, że nie wyrzekł się wrażliwości na krzywdę innych, że nie zarzucił swej aktywności w przestrzeni publicznej, nie ma w sobie nic oczywistego. To jest część dziedzictwa, które po sobie pozostawił.

Wielokrotnie przedstawiano u nas Baumana jako winowajcę, oskarżano o nadużycia oraz zbrodnie. Przez długi czas w przestrzeni publicznej dostępne były wyłącznie ułomki wiedzy na temat jego przeszłości, lecz kategoryczne sądy wypowiadali ludzie z różnych stron politycznej sceny. Instytucje, wcześniej życzliwie przyjmujące i publikujące Baumana, zmieniały front, często po prostu po to, by pozbyć się wizerunkowego kłopotu. Macierzysty Uniwersytet Warszawski odmówił mu odnowienia doktoratu w 2006 r.

Rosiak, Wagner i Domosławski swoimi szczegółowymi badaniami źródeł i analizami zachowanych dokumentów nie zdejmują z Baumana indywidualnej odpowiedzialności, ale rozwiewają większość wątpliwości stanowiących podstawę mitu oprawcy.

Klucze do życia

W każdej z książek inny jest klucz do zrozumienia biografii socjologa. Rosiak, którego książka jest najkrótsza i najoszczędniej rekonstruuje konteksty historyczne oraz polityczne, stawia na kategorię zmiany. Ta ostatnia odnosi się zarówno do następstwa perypetii życiowych, jak i do zwrotów myślowych, które pozwalały Baumanowi mówić i pisać o rozmaitych zjawiskach społecznych na różne sposoby. Jeśli kojarzymy go z jednym okresem historycznym (komunizmem) i z jedną metaforą (pojęciem płynności, w którym widział główną cechę nowoczesności), to tylko dlatego, że nie znamy całej – złożonej i wielokształtnej – reszty.

Wagner koncentruje się na zagadnieniu tożsamości i związanych z nim napięć, które towarzyszyły socjologowi przez całe życie. Autorka sama jest socjolożką badającą na co dzień czynniki determinujące rozwój biografii i karier instytucjonalnych. Według niej życie Baumana ↦

Profesor Zygmunt Bauman w Łazienkach Królewskich. Warszawa, 2012 r.

↦ zostało naznaczone przez konflikt między wewnętrznym poczuciem tożsamości i jej obrazem narzuconym przez innych. Jako Żyd urodzony w Polsce musiał się mierzyć nie tylko z otwartą nienawiścią ze strony niektórych Polaków, ale także omijać rafy instytucjonalne, które polegały na ograniczaniu mu dostępu do różnych ról społecznych z powodu pochodzenia. W najlepszym wypadku mógł je wypełniać jedynie częściowo, w najgorszym zaś nie mógł ich pełnić wcale, co miało przemożny wpływ na jego egzystencję.

Domosławski już samym tytułem swej książki „Wygnaniec" wskazuje najważniejszą kategorię. Bauman w różnych okresach pisał o byciu obcym w obrębie danej społeczności, o losie uchodźców, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia swoich domów w wyniku klęsk politycznych, ekonomicznych i klimatycznych. Według Domosławskiego teksty te, pozwalające zrozumieć przyczyny i różne aspekty społecznej obcości, mają drugie dno: to nie tylko socjologiczne analizy, ale też autobiograficzne dokumenty. Bauman doświadczył wielokrotnej dyskryminacji i wielokrotnego wygnania. Nakładają się one na siebie, ale nie powinniśmy ich sumować, gdyż struktura każdego była nieco inna. Opisując je z niezwykłą skrupulatnością i wnikliwością, Domosławski rzuca światło nie tylko na los samego Baumana, ale też na mechanizmy, które w ostatnim stuleciu decydowały o tym, kto w Polsce mógł czuć się Polakiem.

Każda z biografii ma pewne mankamenty. Rosiak zbyt zamaszyście bierze niektóre zakręty historii, przez co poszczególne sądy o wydarzeniach i sprawach, nie tylko tych z życia Baumana, jawią się jako niekompletne. Wagner zbyt mocno trzyma się socjologicznych narzędzi analizy i opisu, gubiąc od czasu do czasu jednostkowy rys zdarzeń. Natomiast Domosławski, który wykonał gigantyczną pracę faktograficzną, przedstawia żywot Baumana na tle tak szerokiej panoramy historycznej, że jego bohater zdaje się czasem znikać w odmętach dziejów.

Trudna przeszłość

Było w życiu Baumana wiele wydarzeń, o które się spierano i o które warto spierać się dziś. Dwa wątki są tu najważniejsze.

Pierwszy z nich dotyczy jego wielostronnego zaangażowania w komunizm. Baumana ukształtowały komunistyczne narracje o rzeczywistości społecznej i ekonomicznej, ale jego wybory ideowe, w których był niezwykle konsekwentny, miały źródło również w indywidualnych doświadczeniach i jednostkowej wrażliwości. Komunizm pojawił się w jego życiu wraz z licznymi obietnicami, z których każda sprawiała wrażenie fundamentalnej.

Najważniejsza dotyczyła walki z nazistami i wolnej Polski, o czym nastoletni Bauman dowiedział się z zaprenumerowanych czasopism wydawanych przez działający w Moskwie Związek Patriotów Polskich. Właśnie dlatego zaciągnął się do armii, którą na terytorium Związku Radzieckiego tworzyli polscy komuniści. Kolejna obietnica dotyczyła zniesienia podziałów rasowych w nowym społeczeństwie. Powtórzę: przyszły socjolog czuł się Polakiem i chciał żyć w państwie, w którym jego żydowskie pochodzenie nie jest przyczyną ani uprzedzeń, ani ostracyzmu.

Losy Baumana, gdybyśmy tylko potrafili je wykorzystać, mogłyby stać się zaczynem innej – złożonej, a przez to mniej opresyjnej – narracji o Polsce.

Bauman trafił do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego na skutek wcielenia do niego IV Dywizji Wojska Polskiego. Jego akces do kontrwywiadu wojskowego miał charakter rozszerzenia działań, do których – jak uważał – powołany jest każdy obywatel. Postrzegał swoje zaangażowanie jako czyn patriotyczny. Wiemy, czym zajmowało się KBW i jakie były metody działania agentów informacji wojskowej. Na tej podstawie sformułowano wobec Baumana zarzuty o zbrodnie. Przed publikacją biografii Rosiaka, Wagner i Domosławskiego odpowiedzi na nie były udzielane w trybie publicystycznym i często powielały nieprawdziwe informacje. Że informacje te były nieprawdziwe, wynika z materiału faktograficznego przedstawionego krytycznie w trzech książkach. Okazuje się, że nie znaleziono żadnych śladów wskazujących na to, by przyszły socjolog zaszkodził komuś bezpośrednio.

Powie ktoś, że sama przynależność do KBW czy kontrwywiadu, samo zaangażowanie w system, którego celem było budowanie komunistycznego ustroju w powojennej Polsce wystarczą, by wytoczyć przeciwko Baumanowi najcięższe działa i skończyć dyskusję. W ten sposób jednak – pod pretekstem pozbycia się części przeklętej – upraszczamy obraz historycznej rzeczywistości, co z perspektywy bieżących kłótni politycznych może jawić się jako wręcz pożądane, ale na dłuższą metę musi okazać się destrukcyjne, gdyż wypacza rozumienie procesów społeczno-politycznych i pogłębia plemienne podziały.

Czy jesteśmy w stanie połączyć w jedną narrację dwie opowieści – tę o Polsce podziemnej i tę o Polsce komunistycznej? I nie chodzi tutaj o efekt pracy historyczek i historyków, lecz o możliwość większej elastyczności naszego społecznego imaginarium, o możliwość wypracowania bardziej pojemnej formy zbiorowego odnoszenia się do trudnej przeszłości. Losy Baumana mogłyby posłużyć jako punkt wyjścia do pracy nad taką wielowątkową, złożoną i niespieszną opowieścią, w której indywidualny los podlega potężnym presjom, a doświadczenie i tożsamość determinują i zawężają pole możliwych wyborów. W tej szarej strefie żołnierze podziemia nie tylko walczą o niepodległą Polskę, ale też mordują niewinnych, a w szeregi komunistów wstępują ludzie, którzy chcą zbudować lepsze państwo, dające wielu szansę na zmianę życia. W takiej historii nigdy nie będzie happy endu.

Tożsamość

Drugi wątek to kwestia tożsamości. W tomie rozmów przeprowadzonych przez Benedetta Vecchiego Bauman opowiedział o dylemacie, z którym musiał się uporać przed odebraniem doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Karola w Pradze. Zgodnie z obyczajem panującym na tej szacownej akademii podczas ceremonii odgrywa się hymn kraju, z którego pochodzi osoba uhonorowana. W przypadku Baumana krajem pochodzenia była, rzecz jasna, Polska, ale po fali antysemickich ataków z 1968 r. musiał

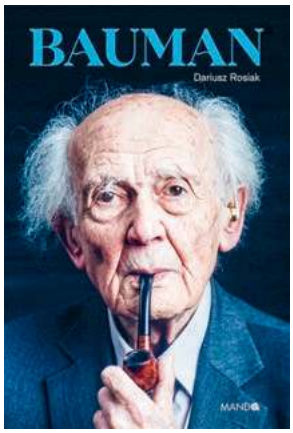

Dariusz Rosiak, **BAUMAN,** *Mando, Kraków 2018*

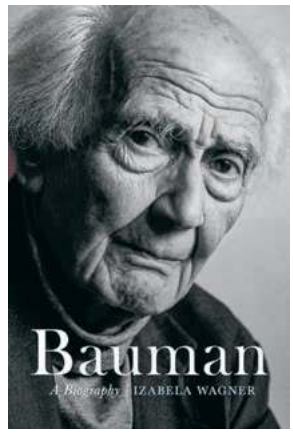

Izabela Wagner, **BAUMAN. A BIOGRAPHY,** *Polity Press 2020*

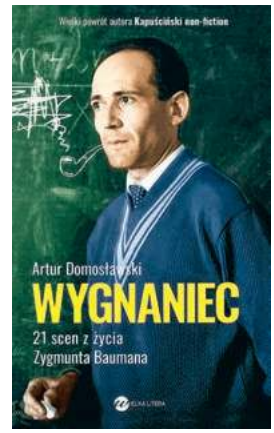

Artur Domosławski, **WYGNANIEC,** *Wielka Litera, Warszawa 2021*

ją opuścić. Wyjechał najpierw do Izraela, gdzie żył i pracował przez kilka lat, by ostatecznie osiąść w Anglii. Nie miał wątpliwości, który z tych krajów był jego ojczyzną, ale bolesne wygnanie, jakiego doświadczył ze strony Polski (na dodatek Polski komunistycznej, którą współtworzył), komplikowało wybór hymnu. Jego pierwsza żona, Janina, znalazła rozwiązanie: zaproponowała, by wskazał hymn Unii Europejskiej.

Dla Baumana owa anegdota stanowiła poręczną ilustrację większości, o ile nie wszystkich problematycznych kwestii związanych z tym, co nazywamy tożsamością. Opowiedział ją na samym początku książkowego wywiadu, ukazując rozmówcy i czytelnikom biograficzne zaplecze swoich rozważań. Wagner ma rację, gdy zwraca uwagę na napięcie między wewnętrznym przekonaniem na temat własnej tożsamości a jej narzucanym obrazem. Przez całe życie żydostwo Baumana okazywało się w Polsce problemem. Kilka razy wydawało mu się, że warunki społeczne i polityczne wreszcie zwolnią go z opresyjnej konieczności tłumaczenia się ze swojego pochodzenia. Ale nawet w okresie wczesnokomunistycznym pojawiały się sygnały świadczące o czymś przeciwnym.

Był ofiarą prześladowań zarówno przed wojną, jak i po niej, w czasach komunistycznych i w wolnej Polsce. Dysponował, rzecz jasna, wieloma intelektualnymi i emocjonalnymi narzędziami, za pomocą których mógł się nie tylko przed tymi atakami przynajmniej częściowo bronić, ale także pracować nad własną tożsamością. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że gdy w jego późnych pracach pojawiają się rozważania o obcości, a także o płynności wszelkich identyfikacji, to analiza zjawisk socjologicznych podszyta jest nadzieją, że czas twardych tożsamości wreszcie się skończył.

ARTUR DOMOSŁAWSKI, DARIUSZ ROSIAK i IZABELA WAGNER będą gościć na tegorocznej edycji Festiwalu Conrada. Dyskusję z ich udziałem, zaplanowaną na 19 października, poprowadzi Michał Paweł Markowski, dyrektor artystyczny Festiwalu.

Ale nie skończył się, nawet się nie zatrzymał. To, co w późnej nowoczesności zaczęło upłynniać formy życia, okazało się doskonałym narzędziem do promocji silnych tożsamości narodowych. Nie trzeba było nic więcej, by mechanizmom wykluczającym nadać nową dynamikę. Nawet jeśli grupy wykluczające nie potrafią domknąć realnych granic swej tożsamości, nie przeszkadza im to żywić przeświadczenia, że walczą z innością, która zagraża jedności i autonomii ich wspólnoty. I znów losy Baumana, gdybyśmy tylko potrafili je wykorzystać, mogłyby stać się zaczynem innej – złożonej, a przez to mniej opresyjnej – narracji o Polsce.

Był krytyczny wobec wszelkich form nacjonalizmu, odrzucał ideę czystości społecznych organizmów. Zamknięte granice państw i jednolite formy zbiorowej egzystencji postrzegał jako źródło rozmaitych zagrożeń. A przy tym do samego końca krytykował procesy wywłaszczające człowieka z życia, na czele z przechwytywaniem każdej drobiny naszej egzystencji przez kapitalizm.

W myśleniu o tożsamości żydowskiej bliska była mu – jak sądzę – tradycja marańska: obecność Żydów w innych wspólnotach i zasilanie tych wspólnot energią, wiedzą, wyobraźnią, życiodajną innością, która jest cenna dlatego, że przemieszcza punkty odniesienia i zapewnia twórczą pracę przekształceń.

W zmieniających się pod wpływem procesów cywilizacyjnych warunkach życia widział Bauman szansę dla emancypacji. Upatrywał jej w kontynuacji procesu „odkotwiczania" tożsamości, w uwalnianiu jednostki od zobowiązań wobec wszelkich plemiennych form egzystencji, w rozszerzaniu formalnych i praktycznych praw do wyboru własnej identyfikacji. Namawiał do krytyki państwowych i plemiennych mechanizmów, które te prawa próbują ograniczyć. Trudno nie odnieść wrażenia, że przemawiał również w swoim imieniu, że poruszając powyższe kwestie, miał w pamięci wszystkie momenty, w których ktoś decydował za niego o sposobach przynależności i pojemności granic języka, kultury, społeczeństwa czy państwa. Z pewnością miał świadomość, że jego życie jest i pozostanie żywotem politycznym, swego rodzaju wzorem-przykładem.

Te problemy będą nam towarzyszyć w bliższej i dalszej przyszłości, wspomniane zagadnienia nigdy się nie zdezaktualizują. Właśnie dlatego do dzieł Baumana – intelektualnych i życiowych – powinniśmy powracać i wciąż się o nie spierać. Uważam, że dwa tysiące stron to wciąż za mało. Spór o jego żywot nie jest zakończony. Zastanawiałem się, czy jego biografię mógłby napisać tylko ktoś spoza Polski, czy taka opowieść mogłaby powstać dopiero z pozycji całkowicie zewnętrznych. A jeśli tak, to co nam to mówi o naszej historii i społecznej wyobraźni?

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

Osiem kątów ciszy

KAJETAN PROCHYRA

Malarz odmówił przekazania swoich prac mocodawcy. Jego sztuka nie pasowała do zgrzytu sztućców w rękach elit Manhattanu.

PAUL HESTER / MATERIAŁY PRASOWE

Pięćdziesiąt lat temu otwarto Rothko Chapel, międzywyznaniową świątynię, w której ołtarzem jest czternaście monochromatycznych obrazów. Namalował je Mark Rothko. Inicjatorami budowy kaplicy byli Dominique i John de Ménil – francuskie małżeństwo, które podczas II wojny światowej wyemigrowało do USA. On – baron i katolik; ona – protestantka, studentka nauk ścisłych i miłośniczka sztuki, dziedziczka rodziny Schlumbergerów (koncern energetyczny Schlumberger Ltd. do dziś jest jednym z 500 największych przedsiębiorstw na świecie).

Sztuka, na miłość boską!

Dla obojga duchowym przewodnikiem był dominikanin Marie-Alain Couturier, który z równą pasją wprowadzał ich w świat dialogu międzyreligijnego i sztuki współczesnej. „Nasza sztuka kościelna jest całkowicie zbutwiała: martwa, zakurzona, akademicka. To imitacje imitacji, bez siły, by przemówić do współczesnego człowieka" – grzmiał o. Couturier na łamach magazynu „Time" w tekście pod sugestywnym tytułem „Sztuka, na miłość boską!" (1949). Couturier osobiście oprowadzał de Ménilów po „swoich" nowych świątyniach: Chapelle du Rosaire w Vence (niedaleko Nicei), zaprojektowaną przez Henriego Matisse'a (1951) czy wzniesioną przez Le Corbusiera w niewielkim Ronchamp (niedaleko granicy ze Szwajcarią) Chapelle Notre-Dame du Haut (1955).

Tak zrodził się pomysł, by podobne miejsce powstało w nowym mateczniku de Ménilów – w Houston. Małżeństwo już wtedy cieszyło się opinią teksańskich Medyceuszy. W swym domu zebrali pokaźną kolekcję sztuki. Wspierali finansowo niezależnych filmowców, awangardowych kompozytorów, dotowali badania archeologiczne, ale też wspomagali polityków i aktywistów, na czele z Martinem Lutherem Kingiem.

Seagram

Dominique de Ménil odwiedziła Marka Rothko pierwszy raz w 1960 r. w jego nowojorskiej pracowni – niedługo po tym, gdy umiarkowanie dotąd rozpoznawalny artysta otrzymał zamówienie stworzenia obrazów do ekskluzywnej restauracji Four Seasons w nowym drapaczu chmur, wzniesionym na Manhattanie za pieniądze firmy Seagram, producenta napojów alkoholowych.

Ateista i chrześcijańska aktywistka bardzo szybko znaleźli wspólny język. Oboje byli emigrantami z Europy. Rothko trafił do USA jako dziecko, gdy jego rodzina opuściła Dźwińsk (Dyneburg, dziś Daugavpils na Łotwie), uciekając przed sunącą przez Rosję na początku XX w. falę antysemickich pogromów. Oboje byli wybitnymi intelektualistami, odmieńcami, którzy nie do końca odnajdywali się w upojonej kapitalizmem Ameryce. „Dobrze nam znajoma tożsamość przedmiotów musi zostać skruszona po to, aby można było zniszczyć wszystkie owe skończone skojarzenia, którymi nasze społeczeństwo w coraz większym stopniu pragnie spowić każdy aspekt naszej rzeczywistości" – pisał Rothko w 1947 r., 60 lat przed pojawieniem się w internecie hasztagów.

Inspiracją dla cyklu Seagram była dla Marka Rothko podróż do Europy. Zwiedzał tam starożytne rzymskie świątynie, podziwiał kolorystykę fresków w Villa dei Misteri w Pompejach, zafascynowała go architektura florenckiej Biblioteki Laurenziana Michała Anioła – z zamurowanymi oknami, które zamiast wpuszczać światło do wnętrza, odgradzały obecnych w niej ludzi od zewnętrznego świata.

Rothko, w duchu Nietzschego, chciał, by sztuka wzmagała w odbiorcy świadomość dramatu, jakim jest ludzka egzystencja. Nie dziwi więc, że gdy po powrocie z podróży artysta udał się na obiad do Four Seasons – odmówił przekazania swoich prac mocodawcy, choć namalował już 30 paneli, które tylko czekały na zawieszenie. Jego sztuka nie pasowała do szczęku sztućców w rękach elit Manhattanu. Propozycja de Ménilów, by jego prace znalazły dom w nowej kaplicy, była dla malarza wybawieniem.

Pokój i sprawiedliwość

Rothko chciał, by kaplica miała kształt ośmiokąta – na podobieństwo XI-wiecznej świątyni Santa Fosca na wyspie Torcello koło Wenecji. Od strony architektonicznej za projekt odpowiadał Phil Johnson – o ironio, ten sam, który zaprojektował wnętrze restauracji Four Seasons. Dziś Johnson uchodzi za nestora amerykańskiej architektury, jako autor m.in. budynku Teatru Miejskiego w Lincoln Center (obecnie David Koch Hall, w której siedzibę ma balet nowojorski); w latach 30. był gorliwym entuzjastą Adolfa Hitlera. Współpraca między twórcami nie układała się najlepiej – i choć to Johnson zaprojektował budynek, konflikt z Markiem Rothko sprawił, że Rothko Chapel dokończyli architekci z Houston: Howard Barnstone i Eugene Aubry.

Nad płótnami Rothko pracował od grudnia 1964 do kwietnia 1967 r. W swojej nowojorskiej pracowni na Upper East Side stworzył kilka makiet kaplicy. Kluczowe było dla niego światło – budynek miał być pozbawiony okien, a jedyna droga dla słońca miała prowadzić przez świetlik w dachu – taki sam jak w jego pracowni. Rothko stworzył 14 wielko-

ELIZABETH FELICELLA / MATERIAŁY PRASOWE

Wnętrze Rothko Chapel. 10 lipca 2020 r. Obok: „Złamany obelisk" – rzeźba w sadzawce przed Rothko Chapel. 5 czerwca 2020 r.

formatowych płócien, które na pierwszy rzut oka mogą wydawać się czarne. Największe mają wymiary 4,5 na 2,7 metra – najmniejsze 3,3 na 1,8 m. Do kaplicy trzeba było wprowadzać je dźwigiem, przed zamknięciem dachu.

„Maluję bardzo duże obrazy. Historycznie takie formaty służyły przedstawianiu czegoś okazałego i pompatycznego. Jednak ja robię to, by [doświadczenie obcowania z obrazem] było intymne i ludzkie. Mały obraz pozostaje na zewnątrz: spoglądasz nań jak przez stereoptikon czy szkło pomniejszające. Stojąc przed większym płótnem, jesteś w nim, nie masz nad nim zwierzchnictwa" – pisał Rothko dekadę przed stworzeniem cyklu.

Artysta precyzyjnie zaplanował rozmieszczenie obrazów w kaplicy. Na wprost wejścia zawisnąć miały trzy połączone ze sobą płótna. Także po trzy obrazy zdobią ściany boczne. Na pozostałych pięciu ścianach prace wiszą pojedynczo. Obrazy, których barwa waha się od koloru śliwki po czerń, nie mają ram, to raczej sama kaplica – gipsowe ściany, czarna asfaltowa podłoga i wpadające z góry światło – stanowi ramę. Rothko nie zobaczył nigdy końcowego efektu swojej pracy. Trzy lata po ukończeniu obrazów i na rok przed otwarciem kaplicy przewlekle chory, przez lata walczący z depresją, odebrał sobie życie.

Kaplica pierwotnie pomyślana była jako katolicka, jednak de Ménilowie stopniowo rozszerzali swoją koncepcję. Najpierw miała być świątynią dla wszystkich wyznań chrześcijańskich, później dla wszystkich wiernych proroctwu Abrahama, by ostatecznie stać się miejscem dla wszystkich form duchowości, także dla tych, „którzy nie uznają Boga, lecz są blisko niego w poszukiwaniu pokoju i sprawiedliwości" – napisano w dokumentach kaplicy dziewięć miesięcy po otwarciu, w 1971 r.

Pięć razy p

Podczas otwarcia wśród gości obecny był kompozytor Morton Feldman. De Ménilowie zamówili wtedy u niego utwór „Rothko Chapel" na instrumenty i chór. Premiera odbyła się w kaplicy w roku 1972.

– Chór nie śpiewa słów, jest to rodzaj wokalizy. Niemal wszystko jest w dynamice *pianissimo*, czyli możliwie najciszej. Są tu nawet takie pasaże, gdzie w nutach Feldman zapisał 5p, czyli ekstremalnie cicho – tłumaczy Szymon Bywalec, dyrygent, dyrektor artystyczny Orkiestry Muzyki Nowej, który „Rothko Chapel" poprowadził podczas koncertu „Muzyka i medytacja" (NOSPR, 2017).

– W zamyśle kompozytora śpiewacy mieli być rozmieszczeni tak, by dźwięk otaczał słuchacza ze wszystkich stron. Instrument solowy, ten który powinien śpiewać: skrzypce – dla muzyków żydowskiego pochodzenia instrument, w pewnym sensie, święty – zastąpiła altówka. Jest to brzmienie mniej jaskrawe, drążące, silne, ale jednocześnie bardziej przytłumione, intrygujące – opowiada „Tygodnikowi". – Do tego fortepian, ale znowu w tradycyjnej formie zbyt banalny. Jest celesta: delikatna, eteryczna, kojarząca się z czymś ulotnym, może bardziej duchowym, wysublimowanym. I wreszcie trudno mówić o muzyce XX wieku bez perkusji: tu w postaci wibrafonu, wielkiego bębna, z rzadka używanych drewnianych pudełek, tam-tamów, kotłów i dzwonków. Od strony warsztatowej są to po prostu bardzo długie nuty. Jakikolwiek ruch, dzianie się ograniczone jest praktycznie do zera. Mamy tu zupełnie inne poczucie czasu, przypominające kontemplację rzeźby czy właśnie obrazu.

– Słuchacz ma dwa wyjścia: albo nie podda się tej muzyce i wyjdzie znudzony z sali, albo pozwoli sobie się w tym zanurzyć. Dzieło to, by zaistnieć, potrzebuje skupienia: to zaś zależy od dnia, oświetlenia, atmosfery i od tego, kto jest naszym słuchaczem. Czy publiczność weszła w ten utwór, czy zrobiło się nagle tak cicho, że te najniższe szmery są słyszalne – czuję od pierwszych taktów. Jeśli to się uda, wtedy rodzi się wartość dodana: wspólnota. O jej znaczeniu mogliśmy się przekonać dobitnie teraz, pozbawieni jej ↦

↦ przez pandemię – puentuje Szymon Bywalec.

Na rok 2022 zapowiedziana jest premiera nowego utworu dla Rothko Chapel. Stworzyć ma go wybitny perkusista, kompozytor i improwizator, wyróżniony „grantem geniuszy" MacArthur Fellow – Tyshawn Sorey.

Podanie ręki

Rothko Chapel odwiedza około 60 tysięcy pielgrzymów rocznie. Wśród nich byli m.in. Nelson Mandela, Jimmy Carter i Dalajlama.

Swoje wrażenie z wizyty w kaplicy opisał w wierszu „Rothko Chapel" Julian Kornhauser: „czarne matowe ściany / podają sobie ręce (...) przeglądam się w nich / ufając że zobaczę więcej / niż gdzieindziej". Fascynującą interpretację tego utworu opublikował w eseju „Czarne ściany" prof. Tadeusz Sławek: „Kaplica bowiem to miejsce, w którym to, co spotykam, staje naprzeciwko mnie, to znaczy każe mi nie tylko zadać pytanie »co widzę?«, lecz przede wszystkim prowokuje mnie do nieustannego indagowania siebie – »kim jest ten, który widzi?« (...) Medytacja nad malowidłami Rothki przeprowadza nas na drugą stronę – tam, gdzie jednostka zobowiązana jest odnieść się do rzeczywistości jako struktury powiązań z innymi ludźmi. Rzeczywistość staje się światem ludzi trzymających się za ręce".

W ramach obchodów 50-lecia Rothko Chapel otwarty został nowy budynek – Welcome House – w którym będzie można na jeszcze większą skalę prowadzić działalność edukacyjną i kulturalną. W internecie uczestniczyć można w bogatym programie wydarzeń towarzyszących rocznicy – w tym w spotkaniach „Kontemplacja i dźwięk" prowadzonych przez przedstawicieli wyznań od hinduizmu i judaizmu po zaratusztrian.

© KAJETAN PROCHYRA

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE TVP

Kadr z filmu „Ciotka Hitlera"

Biedni Żydzi, dobrzy Polacy

ANITA PIOTROWSKA

„Ciotka Hitlera" i „Cudak" – przed nami filmy tematycznie i stylistycznie wręcz skrojone dla telewizji publicznej, gotowe do emisji w czasie największej oglądalności.

Kilogram cukru i litr spirytusu – tyle można było dostać na ziemiach polskich za ukrywającego się Żyda. Filmy wyprodukowane i dystrybuowane przez TVP w ramach cyklu „Kto ratuje jedno życie, ten ratuje cały świat" wzięły sobie za cel obalenie stereotypu Polaka-szmalcownika czy Polaka-szabrownika, stawiając na pierwszym planie tych „sprawiedliwych". Cokolwiek pojawiłoby się na ekranie – jakiekolwiek postawy, dylematy, zagrożenia – bilans musi wyjść na plus.

W „Ciotce Hitlera" Michała Rogalskiego według scenariusza Wojciecha Tomczyka Żydzi są ratowani nawet wtedy, kiedy bardzo tego nie chcą. Jak bezimienny mecenas (Sebastian Pawlak), jego żona (Marta Ścisłowicz) i ich kilkuletnia córeczka, którzy po ucieczce z getta tułają się po obcych progach. Zmuszeni opuścić dotychczasową kryjówkę, odbijają się od kolejnych drzwi, ale on jest już wrakiem człowieka i postanawia, że oddadzą się w ręce gestapo. Granatowi policjanci odmawiają jednak dostarczenia ich na posterunek, bo uciekinierzy podczas brutalnych przesłuchań mogliby kogoś wsypać. W końcu mecenas popełnia samobójstwo, a gdy jego małżonka próbuje zrobić to samo, wbrew swej woli zostaje wraz z córką wyłowiona z Wisły przez trzech mazowieckich piaskarzy.

Poczciwy Leon (Piotr Kaźmierczak) tłumaczy wtedy swoim synom, przerażonym faktem, że „przecież to Żydówki": jakby trzeba było, uratowałby nawet tytułową ciotkę Hitlera. Wszak stare wodniackie prawo nie pozwala zostawić człowieka za burtą. A żona flisaka (Joanna Gonschorek), pomimo strachu i zazdrości o mecenasową, ugaszcza zziębnięte uciekinierki ciepłą kartoflanką i miejscem na strychu. Jej wątpliwości rozwiewa ostatecznie małżonek, gdy przypomina o etnicznym pochodzeniu Matki Boskiej.

W pełni lata i w nadrzecznej scenerii, trochę jak z ostatniej powieści Andrzeja Stasiuka, toczy się opowieść o losie żydowskiej matki i hitlerowskim terrorze, lecz nade wszystko odbywa się pogadanka o człowieczeństwie, uosabianym przez zwykłych polskich wieśniaków narażających swoje życie w imię czegoś wyższego niż prawo rzeki. Leon walczy o „swoje Żydówy" z okupantem, a na dodatek jeszcze z warszawskimi chuliganami, traktującymi je niczym towar

wymienny. Wie dobrze, co mu grozi (właśnie doszło do rzezi na sąsiadach), i mimo tego nie może przestać. I, co ważne, w tej ratowniczej pasji nie pozostaje całkowicie odosobniony. Na koniec jeszcze dzieli się z żydowskimi podopiecznymi nie tylko strawą i dachem nad głową, ale swą życiową mądrością.

Podobną obsesję pomagania przejawia bohater filmu „Cudak" Anny Kazejak wedle scenariusza Marka Kreutza, zagrany przez Kazimierza Mazura. Jego misja ma zrazu charakter czysto interesowny, jak w przypadku kanalarza Leopolda Sochy z filmu „W ciemności" (2011) Agnieszki Holland. Ponieważ muzyk Romek Cudakowski utracił podczas wojny źródła dochodu, a pilnie potrzebuje środków na leczenie córeczki, decyduje się wyciągnąć z getta utalentowanego skrzypka Szymona Akermana (Andrzej Kłak). Będą odtąd grać razem w hitlerowskich zamtuzach i nie przeszkadza im to, że przed wojną byli zapiekłymi rywalami. Choć teraz górą jest „Cudak", nie próbuje on nadmiernie wykorzystywać sytuacji i podejmuje starania, by również rodzina Szymona bezpiecznie opuściła getto – już za chwilę ma nastąpić jego likwidacja.

Osamotniony Roman naraża swoim zachowaniem nie tylko siebie i bliskich, bo ukrywając w swoim domu żydowskich uciekinierów wystawia na próbę swoje małżeństwo. W pewnym momencie to Szymon i jego mała żydowska córka stają się dla niego najbliższą rodziną. Zbliża ich też muzyka, choć to nie ona przecież sprawiła, że bohater położył wszystko na jednej szali. I tym razem silniejsza niż strach i osobisty dobrostan okazała się międzyludzka solidarność.

Oba filmy były inspirowane faktami, co wyczytać można z napisów końcowych. Następnie pojawiają się informacje o wyjątkowo trudnych warunkach życia w okupowanej Polsce – o zbiorowej odpowiedzialności i karaniu śmiercią za pomaganie Żydom. Pamiętamy, że filmy typu „Pokłosie" (2012) Władysława Pasikowskiego czy „Ida" (2013) Pawła Pawlikowskiego, skupione na zgoła odmiennym aspekcie wojennych relacji polsko-żydowskich, żadnych tego rodzaju przypisów nie posiadały. Uznano je więc z góry, bez względu na efekt artystyczny, za przykład „pedagogiki wstydu". Zapewne wpisze się w nią także czekające na premierę „Wesele 2" Wojciecha Smarzowskiego, w którym mowa o zbrodni w Jedwabnem.

Nie da się ukryć, że tytuły z cyklu „Kto ratuje jedno życie..." zostały pomyślane jako antidotum na tego rodzaju kino, podtrzymujące – wbrew aktualnej polityce historycznej – szkodliwy wizerunek Polaków. Tym razem przesłanie powinno być jasne i klarowne: choć po drodze bywało między nami różnie, ostatecznie więcej nas łączy, niż dzieli. I nie tylko dlatego, że mamy tutaj do czynienia z Żydami w pełni przed wojną zasymilowanymi. W finale filmu Rogalskiego biedni Żydzi patrzą z wdzięcznością na dobrych Polaków, a w powojennym epilogu filmu Kazejak owa wdzięczność wyraża się poprzez wspólne muzykowanie.

W „Ciotce Hitlera" i w „Cudaku" bardzo silnie obecny jest ów rys edukacyjno-pedagogiczny. Dialogi i sytuacje, zwłaszcza w pierwszym z tytułów, mają ilustracyjny, czytankowy sznyt. Nie pozostawiają miejsca na niedomówienia czy wieloznaczności, odwołują się do prostych skojarzeń i emocji. Potępiają antysemityzm i równocześnie sięgają po klisze w portretowaniu obu stron. Przed nami filmy tematycznie i stylistycznie wręcz skrojone dla telewizji publicznej, gotowe do emisji w czasie największej oglądalności. Toteż przedziwna wydaje się decyzja, ażeby wypuszczać je teraz na ekrany kinowe. Bo przecież to nie zgęstka tytułów po kolejnym lockdownie sprawiła, że na seansie „Ciotki" byłam dosłownie jedynym widzem. O dziwo, nie pomogła nawet potężna machina promocyjna.

Trzeba oddać sprawiedliwość twórcom: Michał Rogalski, podobnie jak we wcześniejszym swoim filmie „Letnie przesilenie" (2016), ładnie ogrywa rozlewność i zmysłowość polskiego pejzażu, jego równoczesną swojskość i obcość. Film Kazejak ma ciekawszych, bardziej skomplikowanych bohaterów i lepiej problematyzuje temat. Czuje się jednak, że powstawały nie z potrzeby zmierzenia się z czymś ważnym, trudnym i bolesnym, ale na zamówienie, w celu poprawienia zbiorowego samopoczucia. W obecnym klimacie politycznym, również na linii Polska–Izrael, taka „usługowość" sprawdza się jeszcze gorzej. ©

CIOTKA HITLERA – *reż. Michał Rogalski. Prod. Polska 2021. W kinach.*

CUDAK – *reż. Anna Kazejak. Prod. Polska 2021. W kinach od 9 lipca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Rojst '97

Serial, reż. Jan Holoubek, Polska 2021, Netflix, od 7 VII

Czy drugi sezon jednego z najciekawszych polskich seriali ostatnich lat sprosta oczekiwaniom? Tym razem kryminalna historia rozgrywa się w czasie wielkiej powodzi, kiedy to wychodzą na jaw różne ciemne sprawy – zarówno te niedawne, jak i z czasów II wojny światowej. Wystąpią m.in. Dawid Ogrodnik, Andrzej Seweryn, Magdalena Różczka i Łukasz Simlat.

2. Eksperyment eugeniczny Ungemach

Dokumentalny, reż. Vincent Gaullier, Francja 2020, Canal+ Dokument, 13 VII, 20.00

Tytułowe miejsce powstało w 1924 r. w Strasburgu. Miało postać miasta ogrodu i stało się poligonem eksperymentu, którego celem było stworzenie udoskonalonego gatunku ludzkiego. Wzięły w tym udział starannie wyselekcjonowane pary, a „przyspieszeniu ewolucji" sekundowali zarówno politycy, jak naukowcy. Trudno uwierzyć, że system funkcjonował aż do lat 80.

3. Złap i ukręć łeb

Miniserial dokumentalny, reż. Fenton Bailey, Randy Barbato, USA 2021, HBO GO), odc. 1, 2 (z 6) 13 VII

Za tę książkę Ronan Farrow (syn Mii Farrow i Woody'ego Allena) otrzymał Nagrodę Pulitzera. W ubiegłym roku reportaż o seksualnych drapieżcach w Hollywood ukazał się również w Polsce. Twórcy dokumentu podążają tropem dziennikarskiego śledztwa, uruchamiając nowe wątki i wykorzystując nieznane dotąd materiały filmowe.

4. Ostatni dzwonek

Dramat, reż. Magdalena Łazarkiewicz, Polska 1989, wfdif.online

Na zakończonym niedawno Koszalińskim Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film" Jantara 40-lecia otrzymał tytuł szczególnie ważny dla pokolenia, które dorastało podczas ustrojowego przełomu. Historia politycznego buntu maturzystów z małego miasteczka jest już dostępna (legalnie i bezpłatnie) na stronie Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych.

JAN

Klata:
Nerwy na wierzchu

Piszę ku przestrodze, lewą ręką, gdyż prawa nie działa, ni z tego, ni z owego odmówiła współpracy, zastrajkowała bez żadnego trybu, od łokcia w dół nic. Ubaw po pachy zatem, człowiek budzi się rano, a tu psikus. Z układem nerwowym negocjacje jawią się jako trudne, zwłaszcza gdy się czuł uciskany, wrażliwiec, i proszę bardzo: nerw promieniowy porażony-obrażony.

„Dobrze, że nie jestem pingpongistą" – zaserwowałem sobie pierwszą poranną myśl, wlokąc za sobą krnąbrnie nieresponsywną prawicę. Wiem, wiem, mógłbym być leworęcznym pingpongistą, ale co z serwisem? Starając się nie panikować, kojąco snułem dalsze możliwości czarniejszych scenariuszy: rewolwerowiec, dyrygent, badmintonista, wiolonczelista, strzałkarz, tłumacz języka migowego, chirurg-jubiler.

Pocieszające? Nie bardzo. Siatkarz, kajakarz, zegarmistrz, pływak synchroniczny, sztangista, dentysta... Pożartowawszy, idę po rozum do głowy, klamkę naciskając lewą ręką. Trzeba do neurologa/neurolożki. Idę, siadam, prezentuję zwiędłą kiść, a tu neurolożka pogodna, z lekka rozbawiona, że „syndrom sobotniej nocy". Ja na to, że nie sobotniej, jeno wtorkowej, i że na trzeźwo. Ona wobec tego, że nie chciała urazić, po prostu tak się nazywa (syndrom, nie ona), więc ja konstatuję, że fajnie, nie mam pretensji, ale chciałbym wiedzieć, jak już się żeśmy pośmiali, kiedy to przejdzie. „Czasem i w ogóle nie przechodzi" – słyszę i sztywnieję cały (z wyjątkiem prawej ręki, oczywiście). No, wyśmienicie. Dożywotnie przybijanie żółwika lewą ręką też może być frajdą, zapewne, ale wolałbym mieć wybór. Medycyno, nie bądź bezradna w obliczu syndromu sobotniej nocy, być może będę jeszcze chciał z jakiegoś powodu przepisowo zasalutować!

Przepisano mi, co mi najwidoczniej było pisane: zastrzyki dorzyćne, lekarstwa doustne, rażenie prądem i laserem, rehabilitację. Dostałem na plask przez łeb pełną paletą doznań. Powód? Spanie z ręką pod głową, z ręką, co to nagle uciśnięta. Żywot jest pełen niespodzianek, i jak tu się nudzić, aż strach zasnąć, po prostu. Nie polecam, zwłaszcza na prawicy. ©

Lektor:
Grecja, Polska

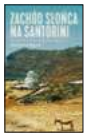

▪ *Dionisios Sturis*
ZACHÓD SŁOŃCA NA SANTORINI. CIEMNIEJSZA STRONA GRECJI
Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021, ss. 400.

„W systemie wyświetla się pan na czerwono" – słyszy w 2002 r. osiemnastoletni Dionis od greckiego strażnika granicznego. Owszem, jego ojciec jest Grekiem, a on urodził się w Grecji, ale małżeństwo rodziców się rozpadło i mając niespełna dwa lata z polską matką wyjechał do Polski. Ojca nie pamięta i nie zna greckiego. Wszytko to jednak nieważne – nie zgłosił się na pobór do greckiej armii. Połączone siły greckiej ciotki i polskiej matki sprawiły, że akcja „ratowanie Dionisa" się powiodła. A on sam zrzekł się greckiego obywatelstwa, by swoje relacje z krajem ojca ułożyć na własnych zasadach. Nauczył się greckiego i jako dziennikarz zajął się przeszłością i dniem dzisiejszym Grecji. Napisał „Nowe życie" – pionierską opowieść o losach Greków i Macedończyków, którzy, jak jego przodkowie, przyjechali do Polski na początku lat 50. po przegranej przez lewicę wojnie domowej. „Zachód słońca na Santorini" jest dalszym ciągiem książki „Grecja. Gorzkie pomarańcze" – portretem greckiej współczesności. Zacząłem od wątku autobiograficznego, obecnego we wszystkim, co pisze Sturis. Tym razem autor skupia się na neonazistowskiej partii „Złoty Świt", która zbiła polityczny kapitał na lęku przed uchodźcami. I nie ograniczyła się do haseł – były też ofiary śmiertelne. Dopiero śmierć Greka, rapera Pawlosa Fisasa, sprawiła, że zabójcy i ich mocodawcy stanęli przed sądem. To jest najważniejsza część książki – sprawozdanie z dramatu sądowego, w którym zarzuty wydają się oczywiste, ale prokurator Adamantia Ikonomu zamiast aktu oskarżenia wygłasza... mowę obrończą. Na szczęście przewodnicząca składowi sędziowskiemu Maria Lepenioti skazuje sprawców i kończy działalność polityczną „Świtu". Skąd to znamy? „Jeżeli w naszym kraju damy przyzwolenie na bezkarność nacjonalistów, jeżeli atak na obcego będziemy uważali za niewinny żart, a agresywne zachowania za niedojrzałość młodości, może nas spotkać to, co spotkało Grecję" – pisze Janina Ochojska, rekomendując książkę Sturisa.
Jest w „Zachodzie słońca..." także sprawa marmurów Elgina, czyli rzeźb z Partenonu, które trafiły do British Museum. Nie wiedziałem, że tak źle je potraktowano. Chętnie poczytałbym o tym więcej. Może w następnej książce Dionisa? Także w Wydawnictwie Poznańskim, które obchodzi 65-lecie i przeżywa właśnie renesans... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Nakrapiane piękno

Od dwustu do ośmiuset pestek kryje w swojej słodkiej czeluści przeciętny arbuz – a raczej krył, bo są poważne szanse, że ten, który kupiliście na upalny wieczór, jest już okazem jednej z nowszych odmian bezpestkowych. Wstyd podawać takie niechlujne dane, ale nic więcej nie znalazłem w dostępnych w sieci bazach. Niestety, nie miałem w ostatnich dniach dość czasu, żeby nabyć kilka arbuzów, rozpruć je, część zjeść, część przerobić na lemoniadę, a część rozdać dzieciom na podwórku (to figura retoryczna, w tych czasach nie ma dzieci na podwórkach), po czym skrupulatnie policzyć czarne punkciki pozostałe w kałużach lepkiego różowego soku.

Każdy i każda z nas, gdy wyciąga z pamięci jedno z najmilszych skojarzeń z letnią rozkoszą, i tak powie bez liczenia: pestek jest mnóstwo. Rozmaite są strategie radzenia sobie z nimi: można dłubać elegancko czubkiem noża, można bokiem noża zdrapać widoczną na przekroju część pestek, a resztę dyskretnie wypluć. Można też się nie przejmować wcale i połykać, co poleca autor waszej ulubionej rubryczki. Po co mamy narzucać jakieś wędzidła naszej łapczywości, która wielce konweniuje z tym owocem? Jedyny argument, żeby jakoś je oddzielić, to ten, że po uprażeniu są nie tylko całkiem smaczne, ale i bogate w białko, magnez i inne ważne składniki niezbędne dla zdrowia, szczęścia, pomyślności.

Tyle że może być coraz trudniej sobie to zorganizować w domu. W Ameryce już 90 proc. arbuzów na rynku to odmiany bezpestkowe, Europa prędko za tym trendem nadąża. Lubimy jeść niekłopotliwie. Jeśli chodzi o owoce, to bardzo sobie chwalę postęp w kwestii zmniejszenia gniazd nasiennych pomidorów (tak, pomidor to owoc, nie tylko w brukselskich tabelkach), a teraz czekam, aż ktoś wynajdzie sposób na moją ukochaną opuncję bez kolców. W sklepach, co prawda, można dostać ją z poobcinanymi kępkami igieł na skórce, lecz to nigdy nie udaje się na sto procent, można się naprawdę przykro pokłuć.

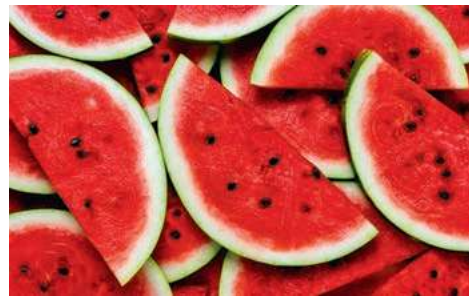

ADOBE STOCK

Ale są takie momenty, kiedy wczytując się w szczegóły manipulacji hodowlanych człowiek się zastanawia, czy zawsze warto bawić się w ucznia czarnoksiężnika. Arbuzy bezpestkowe to zasługa kolchicyny, silnej trucizny, która upośledza segregację chromosomów podczas podziału komórki, przez co powstaje np. arbuz mający trzy zamiast dwóch zestawów tychże chromosomów. Brzmi groźnie, na pierwszy rzut oka kojarzy się np. z trisomią, ale wśród roślin takie zjawisko występuje dość często – w każdym razie efektem tej komórkowej, wywołanej na życzenie człowieka demolki jest bezpłodny arbuz, który kryje w miąższu tylko niewielkie, słabo widoczne białe nibynasionka. Smaku nie powinno to w żaden sposób naruszać.

Z drugiej strony jednak wiadomo, że człowiek je nie tylko żuchwą, ale i oczami. Przekonali się o tym piarowcy amerykańskiego stowarzyszenia hodowców arbuza. Weszli w alians ze studiem Pixar, aby skorzystać promocyjnie z wylansowanego właśnie animowanego filmu „Luca". Opowiedziana tam historyjka osadzona we Włoszech połowy zeszłego wieku jest oczywiście zlepkiem stereotypów *bella Italia*, a więc jej bohaterowie zajadają arbuzy. Hodowcy promujący na co dzień odmiany bezpestkowe musieli się pogodzić z tym, że wszystkie widoczne w filmie kawałki owocu są wyraźnie nakrapiane na czarno. Tak jest po prostu ładniej, nasz mózg reaguje ślinotokiem. A przy okazji zgodnie z prawdą i idealnym wzorcem. Platon już coś o tym pisał, ale nie czuję się na siłach brnąć w te rejony, nie zdążyłem się zapisać na kursy, kiedy Lenin zachęcał kucharzy do studiowania filozofii.

Z pewnością jednak Platona musieli czytać norwescy posłowie, którzy uchwalili przepis, by każdy reklamodawca miał obowiązek informowania, jeśli użyte przez niego zdjęcie ludzkiego ciała zostało jakkolwiek przerobione: chodzi nie tylko o wyszczuplenie czy uwypuklenie ust, piersi lub pośladków, ale nawet o zmianę faktury skóry. Dotyczy to także instagramowych influencerów, o ile ich post jest sponsorowany (czytaj: prawie zawsze, tam nie ma nic za darmo). News przemknął przez dalekie strony gazet i marginesy stron portali – a w porządku wartości i ważności wydaje mi się co najmniej wiadomością tygodnia. Nie tylko dlatego, że może mieć dobre skutki dla psychiki kobiet sterroryzowanych chorymi kanonami urody. Ale też dla samego świadectwa, że piękne jest to, co prawdziwe. Choćby przyszło do nas nakrapiane setką czarnych plamek. ©℗

Na stronie stowarzyszenia hodowców arbuzów watermelon.org znajdziecie różne przepisy promowane przy okazji disneyowskiego filmu. Część z nich mogła powstać tylko w głowach Amerykanów – np. arbuzowa pizza, czyli okrągłe plastry arbuza pokryte kremowym serkiem zmieszanym z pomarańczowym jogurtem i esencją waniliową, po czym posypane kawałkami kiwi, truskawki i gruszki. Ale może to sprytny sposób, żeby przemycić dzieciom owocowy posiłek? Bardzo mnie za to przekonuje połączenie arbuza z fetą i octem w postaci czegoś na wzór insalata caprese: z miąższu arbuza wykrawamy krążki wielkości i grubości plastra pomidora, odsączamy na ręczniku papierowym, posypujemy pokruszoną fetą, polewamy sosem z dwóch części oliwy i jednej części octu balsamicznego z czosnkiem, na wierzch listki bazylii. Natomiast przepis na makaron z bazyliowo-miętowym pesto posypany kostkami arbuza to jakiś horror, z wyjątkiem jednego szczegółu: faktycznie, robiąc domowe pesto, można spróbować część listków bazylii zastąpić miętą. Ale nie dodawać potem arbuza, który wprawdzie lubi się z miętą, ale jednak bez udziału klusek, błagam.

NA KOŃCU ŚWIATA

Wciąż pojawiają się nowe warianty losu HMS „Bounty". Najsłynniejsza historia morskiego buntu nie daje nam spokoju. O kapitanie Blighu i oficerze Fletcherze jeszcze nie raz usłyszymy.

MICHAŁ SOWIŃSKI

Ot, zdawałoby się incydent, jakich wiele możemy znaleźć w annałach brytyjskiej marynarki. Wydarzenia z 28 kwietnia 1789 r. jednak znacząco wpłynęły na kształt zachodniej cywilizacji. Tuż przed świtem na pokładzie pełnorejowca HMS „Bounty", płynącego z ładunkiem sadzonek drzewa chlebowego, gdzieś na środku Pacyfiku, część załogi pod dowództwem Christiana Fletchera przejęła kontrolę nad statkiem. Wpierw obezwładnili kapitana Williama Bligha, a potem zmusili go, aby wraz z garstką wiernych mu ludzi odpłynął w niewielkiej, przeciekającej szalupie. Było to równoznaczne z wyrokiem śmierci, tyle że rozciągniętym w czasie.

Buntownicy nie wzięli jednak pod uwagę zawziętości brytyjskiego oficera, a także jego nadzwyczajnych zdolności nawigacyjnych. Bez map i kompasu, ze skromnymi zapasami wody i jedzenia, ruszył w stronę Timoru Wschodniego, podówczas niewielkiej faktorii holenderskiej, a zarazem najbliższego przyczółka zachodniej cywilizacji, gdzie mógł szukać ratunku. Tyle że do przepłynięcia było 7 tys. kilometrów.

Żądza zemsty Bligha okazała się silniejsza od potęgi oceanu. Po 48 dniach – wyczyn do dziś uznawany za jeden z najbardziej spektakularnych w dziejach żeglugi – udało się dopłynąć do celu. W ten sposób świat dowiedział się o dramatycznych wydarzeniach, które rozegrały się na pokładzie „Bounty".

Apostołowie imperium

Trudno sobie dziś wyobrazić, co oznaczał i jakie konsekwencje niósł ze sobą bunt na XVIII-wiecznym okręcie wojennym. Skuteczność machiny kolonizacyjnej zależała bowiem od ślepej i bezwarunkowej lojalności podwładnych, a szczególnie oficerów marynarki. Dlatego najdrobniejszy nawet przejaw niesubordynacji karany był ze spektakularną surowością.

Jeszcze na początku XIX wieku w portugalskiej marynarce panował upiorny zwyczaj – zbuntowane załogi wieszano na masztach, a sam okręt, bez ludzi i żagli, zostawiano na łasce prądów i wiatrów. Niektóre z tych pływających szubienic potrafiły latami dryfować po wodach całego świata, stanowiąc przestrogę dla wszystkich potencjalnych renegatów. Skuteczną.

Na wyposażenie dumnego oficera imperium składały się, oprócz broni i munduru, również przekonanie o słuszności europejskiej misji cywilizacyjnej, a także podręczny zestaw najważniejszych dla ojczyzny wartości i przekonań. Skondensowane i dobrze zabezpieczone, niczym żelazne racje w szalupie ratunkowej, pozwalały załodze bez ideologicznego szwanku przemierzać krainy barbarzyńców.

Nic dziwnego więc, że zdrada imperialnego porządku stała się niewyobrażalnym, budzącym powszechną zgrozę skandalem. Tłumiony lęk przed nią od wieków nawiedza anglosaską podświadomość. Nie przypadkiem to właśnie „Jądro ciemności" Josepha Conrada stało się jedną z najważniejszych opowieści anglojęzycznej kultury, która do dziś pączkuje i wypuszcza nowe fabularne warianty. Intrygujące jednak, że stworzył ją nie prawdziwy syn Albionu, a jedynie przyszywany krewny morskiego imperium zza kanału, urodzony gdzieś tam, w samym sercu kontynentu.

Tragiczni herosi

Ta dygresja jest niezbędna, aby zrozumieć powagę i znaczenie wydarzeń sprzed 232 lat. Cóż bowiem musiało się stać, żeby gentleman i arystokrata, młodzieniec o świetlanej przyszłości, w jednej chwili skazał siebie na (i to w najlepszym razie) wieczną banicję i tułaczkę po dzikich rubieżach świata? I dlaczego konflikt między Blighem a Fletcherem błyskawicznie stał się jednym z założycielskich mitów nowoczesnej anglosaskiej kultury?

Powodów jest wiele, ale wszystkie dają się sprowadzić do jednego – w pierwszych promieniach słońca tamtego kwietniowego dnia na pokładzie „Bounty" doszło do tragicznego, i to w rozumieniu antycznym, zderzenia dwóch, niedających się uzgodnić wartości. Z jednej strony Bligh, którego surowość i bezwzględność ustępowała jedynie fanatycznej lojalność wobec imperium, z drugiej Fletcher, również oddany swojej ojczyźnie, jednak inaczej rozumiejący powinności płynące z honoru oficera – dla niego największą wartością brytyjskiej cywilizacji była wolność i godność człowieka (w tej epoce oznaczało to oczywiście białego mężczyznę z zachodniej Europy).

Dwie postaci – dwa filary rodzącej się właśnie nowoczesności, a także fundament formującego się właśnie imperium, nad którym już wkrótce słońce nie będzie miało okazji, by zajść.

Zaczynała się nowa epoka, potrzebni więc byli nowi herosi. Dlatego też w pustym jeszcze panteonie Bligh i Fletcher stanęli naprzeciw siebie, a konflikt między nimi stał się paliwem dla proimperialnej wyobraźni.

Sadzonki

Tyle jeżeli chodzi o mitologię, teraz garść faktów. Biorąc pod uwagę polityczne, społeczne i kulturowe znaczenie wydarzeń na „Bounty", zaskakuje niewielka liczba faktów, co do których historycy nie mieliby zastrzeżeń. Podstawowym materiałem źródłowym są listy oraz pamiętnik Bligha, skrupulatnie prowadzony nawet podczas dramatycznej żeglugi w szalupie. Z oczywistych jednak względów trudno uznać te dokumenty za relację obiektywną. Więcej światła na tamte wydarzenia rzucają materiały sądowe z procesu, jaki został wytoczony wszystkim ocalonym członkom załogi – w tym Blighowi, jako że utrata okrętu, zwłaszcza w takich okolicznościach, była skandalicznym wykroczeniem. Kapitana ostatecznie oczyszczono z zarzutów, ale nie pozwolono mu uczestniczyć w pościgu za buntownikami, co bez wątpienia było jego największym marzeniem.

Niżsi rangą oficerowie, a także niektórzy marynarze, również musieli się gęsto tłumaczyć ze swoich nieudanych prób stłumienia rebelii. I to właśnie ich wersje wydarzeń, choć w wielu szczegółach sprzeczne, pozwalają z grubsza zrekonstruować powody dramatycznej decyzji Fletchera.

Pomijając mnożące się przez wiele dekad XIX wieku apokryficzne odnogi tej historii, rzecz miała się następująco: 23 grudnia 1797 r. „Bounty" opuścił Anglię i ruszył w kierunku Tahiti. Nie był to wdzięczny ani dostojny statek – wyjątkowo mocna i pękata konstrukcja, przy stosunkowo niskim zanurzeniu, czyniła go praktycznym ↦

Tarita (jako Maimiti) i Marlon Brando (porucznik Fletcher Christian) w filmie „Bunt na Bounty" (reż. Carol Reed i Lewis Milestone) z 1962 r.

METRO GOLDWYN MAYER / ARCOLA PICTURES

↦ transportowcem, odbierała mu jednak szyk i dostojność. To jednak właśnie zalety logistyczne zdecydowały o wysłaniu go na tę szczególnie ważną misję – chodziło o zdobycie sadzonek drzewa chlebowca i przetransportowanie ich na Jamajkę.

Nie chodziło więc, wbrew współczesnym wyobrażeniom, o pełną przygód podróż w nieznane, niemniej rejs ten miał mieć niebagatelne znaczenie dla brytyjskiej gospodarki. Miał zapewnić tanie i wydajne pożywienie dla niewolników pracujących na karaibskich plantacjach cukrowych. Imperialnym urzędnikom marzyła się subtropikalna wersja ziemniaka – rośliny, która ponownie zmieni bieg historii (nic z tego ostatecznie nie wyszło). Załoga jednak z pewnością zdawała sobie sprawę, że ludzie przyczyniający się do epokowych rewolucji agrarnych rzadko zapisują się w pamięci potomnych. Takimi botanicznymi anegdotami trudno też brylować w towarzystwie, jakiekolwiek by było.

Dla Bligha liczyło się co innego. Statek miał dotrzeć na Tahiti w odpowiedniej porze roku, zanim chlebowce zdążą zakwitnąć. W innym przypadku trzeba było czekać prawie pół roku, by sadzonki znów nadawały się do transportu.

Statek wypłynął z Anglii z dwumiesięcznym opóźnieniem. Aby nadrobić stracony czas, Bligh zdecydował się na rzecz szaloną – zamiast płynąć ustaloną i względnie bezpieczną trasą na wschód wokół Przylądka Dobrej Nadziei, postanowił opłynąć przylądek Horn, miejsce budzące wśród marynarzy grozę nawet w miesiącach sprzyjającej pogody. „Bounty" dotarł tam w kwietniu, gdy właśnie zaczynał się okres największych sztormów. Po dwóch tygodniach walki z żywiołem nawet żelazna wola Bligha musiała skapitulować. Statek zawrócił na pierwotną trasę.

To i kolejne odnotowywane zdarzenia, same w sobie być może mało istotne, składają się na obraz człowieka balansującego na granicy szaleństwa. Kapitan powtarzał, że „jest na wojnie z oceanem, którą musi wygrać dla brytyjskiego imperium".

Wraz z upływem czasu zawziętość Bligha miała zacząć objawiać się coraz okrutniejszym traktowaniem załogi. Nawet drobne wykroczenia karane były w najsurowszy sposób, czyli chłostą testującą granice wytrzymałości ludzkiego organizmu. Niektórzy historycy twierdzą, że punktem zapalnym rebelii była kara wymierzona jednemu z marynarzy dwa dni przed buntem. Za kradzież butelki rumu winowajca miał otrzymać dwanaście uderzeń wyjątkowo perfidnym narzędziem zwanym kotem (dziewięcioogonowy bicz, który zdzierał całe płaty skóry, często trwale okaleczając ofiarę). Przy dziesiątym uderzeniu marynarz stracił przytomność, co zgodnie z powszechnym zwyczajem kończyło kaźń. Bligh jednak kazał nieszczęśnika ocucić i dokończyć wykonywanie wyroku. Tego było za wiele, zwłaszcza że załoga wciąż miała w pamięci półroczny pobyt na rajskiej wyspie.

Kosz kwiatów

Wróćmy do porządku chronologicznego, do momentu, gdy „Bounty" po ponad 50 tys. przepłyniętych kilometrów dotarł wreszcie do celu. Tahiti leżało po drugiej stronie świata – i to dosłownie. W stosunku do Londynu to najdalszy punkt, do którego można dotrzeć, nie rozpoczynając jednocześnie drogi powrotnej. Sama geografia podsuwa w tym miejscu naręcza metafor. Pierwsi marynarze, którzy dotarli tam wraz z kapitanem Cookiem, byli porażeni pięknem wyspy. Mówili o koszu kwiatów rzuconym na wodę, rajskim ogrodzie zagubionym na bezkresnym oceanie. Louis Antoine de Bougainville, który dotarł tam kilka miesięcy po Cooku, nazwał ją Nową Cyterą, a w swoich tryskających zachwytem opisach używał zdań składających się z ponad dwustu słów. Nie potrafił, nie mógł skończyć.

Archipelag wydawał się marynarzom odwrotnością wszystkiego, co do tej pory znali. Umęczeni pracą ponad ludzkie siły, wygłodniali, zamknięci miesiącami w drewnianej klatce, w której trudno było się poruszać, do tego bez perspektyw na poprawę życia po powrocie do domu – nietrudno zrozumieć ich zachwyt krainą wiecznego lata, pięknych kobiet i ekstatycznych tańców. Jak na ironię, metaforycznym domknięciem tego doświadczenia okazały się właśnie chlebowce. Ci wycieńczeni fizycznie i zniszczeni psychicznie mężczyźni dotarli do miejsca, gdzie chleb rośnie na drzewach.

Był to oczywiście obraz fałszywy. Tahiti końca XVIII w. nie było krainą wiecznej szczęśliwości. Obowiązywał tam system kastowy i to bardziej rygorystyczny niż w Anglii. Religia, niepodobna do chrześcijaństwa, surowo regulowała wiele obszarów życia – w tym seksualność. Często toczyły się międzyplemienne wojny, w których chodziło o pełną eksterminację wrogiej populacji. Badania współczesnych archeologów sugerują, że jeden z takich konfliktów zakończył się tuż przed przybyciem „Bounty", co tłumaczyłoby panującą atmosferę radości i święta.

Idealny moment dla spragnionych wytchnienia marynarzy był fatalny dla Bligha. Chlebowce właśnie zakwitły i nie było wyjścia – załogę „Bounty" czekało kilka miesięcy przymusowego postoju w miejscu, które przypominało raj.

Ostatnie archipelagi

Słowo „raj" nie jest w tym kontekście jedynie wyświechtaną metaforą. Pod koniec XVIII w. znacząca część mórz i oceanów przestała kusić tajemnicą i przygodą. Definitywnie skończyła się już epoka piratów i korsarzy, którzy zwyczajnie przestali być potrzebni. W 1776 r. z Karaibów wypłynęła ostatnia hiszpańska Srebrna Flota, która przez dwa wieki nieprzerwanie przerzucała z obu Ameryk do Europy niewyobrażalne ilości szlachetnych kruszców i innych cennych surowców. Cztery lata później dogorywające już imperium znosi embargo na handel ze swoimi koloniami, co można uznać za symboliczny początek globalnego kapitalizmu, a przy okazji kolejny krok na drodze do supremacji brytyjskiej marynarki.

Gdy „Bounty" wypływał po sprawunki, na morskiej mapie globu zostało niewiele białych plam. Najważniejsze lądy dawno już odkryto, wytyczono też optymalne szlaki handlowe. Epoka odkryć geograficznych miała się ku końcowi.

Wyjątkiem pozostawał południowy Pacyfik. Odkrycia dokonane przez Jamesa Cooka podczas jego trzech podróży z lat 70. XVIII w. przez długie dekady rozpalały wyobraźnię Europejczyków. Choć udało mu się zmapować sporą część Oceanii – setki mniejszych i większych wysp, a także fragmenty linii brzegowej Australii – ten odległy kawałek globu jeszcze długo pozostawał tajemnicą. Nic więc dziwnego, że to właśnie tam znalazły schronienie ostatnie fantazje o cudownych przygodach, dla których nie było już miejsca w szybko kurczącym się świecie.

Niestety, po przejęciu statku Fletcher i jego ludzie nie mogli tam wrócić. Wiedzieli, że to pierwsze miejsce, gdzie będzie ich szukać karząca ręka sprawiedliwości. O powadze sytuacji i palącej konieczności ukarania buntowników świadczyć może fakt, że w pościg za nimi wysłano fregatę „Pandora", okręt wyjątkowo szybki i ważny z militarnego punktu widzenia. Pomimo toczonej właśnie wojny z Francją zdecydowano się wyłączyć go na długi czas z walk.

Wyjęci spod prawa marynarze musieli szukać nowego domu. Po wielu miesiącach żeglugi trafili na bezludną wyspę Pitcairn. Ten maleńki spłachetek ziemi na środku oceanu, z dala od szlaków handlowych, idealnie nadawał się na kryjówkę przed całym światem. Dalsze, tragiczne losy buntowników, jak również ich potomków, to już osobna historia, świetnie zresztą opisana przez Macieja Wasielewskiego w reportażu „Jutro przypłynie królowa".

DINO DE LAURENTIIS / EAST NEWS

Mel Gibson (jako Fletcher Christian) i Anthony Hopkins (kapitan William Bligh) w filmie „Bunt na Bounty" (reż. Roger Donaldson) z 1984 r.

Jestem w piekle

Wróćmy na „Bounty". Gdy wreszcie ładownia statku została wypełniona po brzegi sadzonkami, członkowie załogi stracili zapał do dalszej żeglugi. Bligha to oczywiście nie obchodziło. Jako jedyny odmówił sobie rajskich rozkoszy, przez co najprawdopodobniej stał się jeszcze bardziej zgorzkniały i okrutny, czym przypieczętował swój los.

Tyle że to wszystko może być nieprawdą. Przez ponad dwie dekady wojen napoleońskich niewielu interesowało się historią „Bounty". Gdy jednak nastał w Europie nowy ład, historia Fletchera i jego towarzyszy, którzy wybrali życie z dala od zepsutej cywilizacji, trafiła na niezwykle podatny grunt. Szybko okazali się idealnymi bohaterami dla kiełkującej właśnie wyobraźni romantycznej.

Fletcherem – bojownikiem o wolność, równość i braterstwo – zachwycali się William Wordsworth i Samuel Coleridge, a George Byron, który w poemacie „Wyspa, czyli Christian i jego towarzysze" niby wychwala męstwo i honor kapitana Bligha, co rusz jednak zdradza swoją fascynację postacią „zuchwałego mordercy". Po nich był Jules Verne z opowiadaniem „Buntownicy z Bounty" (które, swoją drogą, potajemnie odkupił od pracownika Biblioteki Narodowej w Paryżu, żeby wydać je pod swoim nazwiskiem), a także absolutny bestseller – listy z podróży na „Bounty", które Fletcher pisał do brata w Anglii. Choć szybko udowodniono, że są one jedynie zręcznym falsyfikatem, nie zaszkodziło to ich olbrzymiej popularności w całej Europie.

W XX w. pojawiło się aż pięć filmów o buntownikach, pierwszy już w 1916 r. Dziś widz zapewne kojarzy tylko dwa ostatnie: „Bunt na Bounty" (1962) i „Bounty" (1984). W pierwszym Bligha zagrał Trevor Howard, a Fletchera Marlon Brando, w drugim, odpowiednio, Anthony Hopkins i Mel Gibson. Każdy z nich stworzył oryginalną kreację swojego pierwowzoru, co tylko pokazuje, jak plastyczna jest ta opowieść. Każdą z fabułą łączy natomiast to, że racja zawsze wydaje się być po stronie zbuntowanego oficera, który w powszechnym wyobrażeniu stał się uosobieniem walki z tyranią.

Czy sprawa jest faktycznie taka prosta? Oczywiście nigdy się nie dowiemy, co naprawdę wydarzyło się na „Bounty" – to mało istotne w przypadku mitu. Historycy nie przestają jednak drążyć pasjonującego tematu, publikując kolejne monografie. Większość badaczy skupia się na rehabilitacji Bligha, argumentując, że okrucieństwo wobec załogi zostało *ex post* wyolbrzymione, a jego metody dowodzenia nie odbiegały od standardów epoki. Inna sprawa, że jego proces poruszył dużą część opinii publicznej, nieświadomej realiów, w jakich żyli marynarze. Bunt na „Bounty" stał się ważnym punktem odniesienia dla wielu późniejszych reform w brytyjskiej marynarce.

Niektórzy idą dalej i stawiają tezę, że Fletcher cierpiał na poważne zaburzenia psychiczne, a sam bunt był wynikiem narastającej od miesięcy paranoi. Scenę, gdy kapitan zmuszony jest opuścić pokład swojego okrętu, wszyscy świadkowie opisują zgodnie. Każdy z nich przytacza też te same słowa Fletchera, który wezwany po raz ostatni przez Bligha do opamiętania się, miał powiedzieć: „za późno, jestem w piekle, jestem w piekle".

Trudno powiedzieć, co miał na myśli. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można natomiast stwierdzić, że historia najsłynniejszych buntowników mórz południowych była dobrze znana Conradowi. Czy Fletcher dotarł na skraj świata, za którym ziała już tylko czarna otchłań? Być może jako pierwszy dostrzegł czający się w niej horror, na który sto lat później natknął się również Kurtz w „Jądrze ciemności".

Bastylia południowego oceanu

Można też inaczej. Wydarzenia z 28 kwietnia 1789 r. rozegrały się ledwie kilka miesięcy przed szturmem rozwścieczonych paryżan na mury Bastylii. Z zachowaniem wszelkich proporcji można pokusić się tu o analogię – w obu przypadkach bowiem mamy do czynienia z walką o ludzką godność i powszechne prawo do lepszego życia.

Historia „Bounty" jeszcze za życia jej bohaterów zamieniła się w matrycę dla kolejnych opowieści, które później przez dekady formatowały rodzącą się w bólach nowoczesność, szczególnie w jej atlantyckim wariancie. W zależności od bieżących potrzeb albo porywów serca inaczej rozkładano na szachownicy dobrze już opatrzone figury. Tej partii jednak żadna ze stron nie była w stanie wygrać. Bligh i Fletcher od ponad dwustu lat tkwią w patowej sytuacji, bo ich racje wywodzą się z różnych porządków. Nie ma tu miejsca na negocjacje, możliwe jest jedynie zwarcie – wciąż elektryzujące.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

JACEK

Podsiadło:
Pan Birara

To kolejny bezecny egzemplarz w mojej kolekcji egzotycznych ministrów. Będzie wisiał. I to w gablocie z samymi barwnymi okazami, w Alei Zasuszonych, między ministrem Hatakumbą i ministrem San Escobarem. Na zawsze stracił dla mnie swe pospolite nazwisko i występował będzie wyłącznie pod swym świeżo nabytym a dźwięcznym pseudo. Skąd je wziąłem? Z projektu rozporządzenia ministra edukacji, tego zawierającego spis lektur. Zwróciły tam moją uwagę trzy pozycje. Nie, nie chodzi mi o trójcę wielkich polskich pisarzy młodzieżowych Podsiadło-Wojtyła-Wyszyński, choć i ta jakże obleśnie mnie dotyka. Chodzi o trzy pozycje zrządzeniem boskim bezpośrednio poprzedzające Podsiadłę na abecadłowej liście lektur wymarzonych jako uzupełniające dla klas IV-VI. Sat-Okh, „Biały Mustang" (*à propos de bottes*, „Okh" to nie jest nazwisko), Longin Jan Okoń, „Tecumseh", Ferdynand Antoni Ossendowski, „Słoń Birara". Toż to wszystko lektury mojego dzieciństwa! „Słonia Birarę" jako najwcześniejszą z nich w ogóle zapomniałem, została mi po niej tylko znajomość słowa „kornak" występującego w książce z ogromną częstotliwością. Książki Sat-Okha i Okonia przeczytałem później, na fali zainteresowania Indianami wywołanej przez Karola Maya. Właśnie, „Winnetou" akurat zniknął z listy, na której pojawił się „Tecumseh". Czyżby pan Birara z jakichś tajemniczych przyczyn był wrogiem Apaczów, a przyjacielem Szawanezów?

Nie. Chodzi o to, że Karol May, owszem, pisał lepiej niż Okoń i Sat-Okh, który nie pisał w ogóle, ale May był to Niemiec. Natomiast Okoń pisał gorzej, ale za to po polsku. Więcej, bohaterem „Tecumseha" też nie jest Tecumseh, tylko Ryszard Kos, Polak jakże prawdziwy, który „prześladowany przez carat i żandarmów pruskich" musiał uciekać do Ameryki, ponieważ brał udział w Erekcji, *pardon*, kto się nie przejęzycza, niech pierwszy rzuci kalumnią, w Insynuacji Kościuszkowskiej. Kos jest bohaterem kilku dzieł Okonia i we wszystkich określany jest jako „postać autentyczna". Niestety, inne od książek Okonia piśmienne źródło potwierdzające jego istnienie czeka jeszcze na swego odkrywcę, myślę, że IPN wkrótce kogoś oddeleguje. U Sat-Okha musiała się panu Birarze spodobać jego biografia przez niego samego stworzona. Wynika z niej, że to pół-Polak, pół-Indianin urodzony w Kanadzie w plemieniu Szawanezów, które żyło o setki mil na południe, w USA, przez zesłańczynię, uciekinierkę z Syberii przez cieśninkę Beringa, który stracił nazwisko Supłatowicz dla dźwięcznego indiańskiego pseudonimu, akowiec, który strzelał do Niemców z łuku, a w latach 90. zaczął nawet tych Niemców skalpować, gwiazda Teleranka, dla którego likwidacji Jaruzel stan wojenny musiał zaprowadzić, uciekinier z transportu do Oświęcimia itp., itd. *Noch einmal à propos de bottes* – gdyby poważnie traktować wojenne życiorysy polskich bohaterów, to pewnie wyszłoby, że z transportu do Oświęcimia więcej ich uciekło, niż dojechało na miejsce.

À propos gdyby. Gdyby lista lektur uzupełniających dla pana Birary mogła zawierać cokolwiek poza ogólnym zaleceniem „proszę jak najwięcej czytać", należałoby na niej umieścić wydaną przez Czarne książkę Dariusza Rosiaka „Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha". Pan Birara dowiedziałby się z niej, że z Sat-Okha taki Indianin i pisarz jak z niego minister. Zdążyliśmy się przyzwyczaić, że wciska się dzieciom ramoty napisane obcym dla nich językiem przez minione sławy, których noty w Wikipedii podobają się aktualnemu mistrzuniowi gier tych. Ale żeby z bogatego urobku Supłatowicza wybrać na lekturę dla dzieci akurat „Białego Mustanga", nieudolnie splagiatowany zbiór rzekomych legend indiańskich traktujących nawet nie o dupie Maryny, która od biedy mogłaby dzieci zainteresować, ale o Wielkim Duchu ni z gruchy ni z pietruchy wstępującym w niedźwiedzia grizzly, żeby molestować nudnymi przemowami niegramotną *squaw*, nie wystarczy być tak zwyczajnie nieinteligentnym. Trzeba mieć jakąś skazę ekstra, jakiś błysk przeciwieństwa geniuszu, dopust Boży łamany przez odpust zupełny. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań dodajemy gratis „TP Historia. Wiślna 12"!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo tu Ziemia", „Dobre życie", „Moc kobiet", „Święto spotkania", „Kryzys w Kościele" oraz „Moc mózgu".

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

synergio.
Z ENERGIĄ W PRZYSZŁOŚĆ

Prąd dla Rodziny

Jesteśmy dla Ciebie i Twoich Bliskich.
Z nami zbudujesz własną
instalację fotowoltaiczną
i zamontujesz pompę ciepła.

600 220 096

- Przeprowadzimy Cię przez wszystkie formalności
- Zapewniamy wsparcie w uzyskaniu finansowania i dotacji
- Zaprojektujemy i zbudujemy Twoją własną elektrownię
- Zaproponujemy najwyższej jakości komponenty
- Wybierzemy najlepsze ubezpieczenie od szkód materialnych oraz niedoboru energii
- Posiadamy polisę ubezpieczeniową OC na 5 000 000 PLN

www.synergio.pl